ŻYWOT I SPRAWY

JPana Medarda z Gołczwi

PEŁKI

ŻYWOT I SPRAWY

JMPana Medarda z Gołczwi

PEŁKI

Z NOTAT FAMILIJNYCH SPISANE

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Tom III.

WARSZAWA.
GEBETHNER i WOLFF.

1876.

Дозволено Цензурою

Варшава 17 Сентября 1875 г.

Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

Trzy lata upływało od czasu gdy nasz Pełka wyruszył zaciągnąć się do wojska... W ciągu nich nie spoczął na chwilę, życie obozowe stało się lekarstwem na smutki i zawody, na tęsknoty niemęzkie. Gdy go opanowywały wspomnienia przykre i serce gryźć zaczęły, porywał misiurkę, szablę, konia i wypraszał się na czaty, na wycieczkę, tam gdzie trzeba było czuwać, bić się i zamęczać. Dziwnym sposobem to, coby zabić mogło innego, jego trzymało krzepkim i zdrowym, silnym i młodym.

W ciągu tych lat horyzont jasny w czasie elekcyj wybrańca szlachty, zachmurzył się, zawyły burze i dotknęły plagi. Rzucić na tron mogły głosy tysiąców, ale na nim utrzymać nie umiały. Dały mu koronę, lecz prymas co ją wkładał na skronie młodego króla, uczynił cierniową. Po za nim stało wszystko co miało znaczenie, wziętość, co w istocie rządziło Rzecząpospolitą. Wybrany narodu mu-

siał się uciekać do nieprzyjaciela dawnego Polski, do rakuskiego domu i rakuskich praktyk, aby się na tronie utrzymać. Cesarz dał mu siostrę własną przeciwko jéj woli, małżonkę przymuszoną, niechętną, dumną i nie kryjącą się z tém, że sercem i myślą gdzieindziéj była...

Zemsta tych, którym postrachem narzucono nieznanego człowieka, była powolna, obrachowana, okrutna. Najpotężniejszy umysł i serce nie byłyby się jéj mogły oprzeć z temi siłami, jakie prawa dawały w ręce panującemu.

Trzy lata męczarni, klęsk, zawodów, moralnéj tortury na tronie, złamały nareszcie tego króla niedoli, — odpokutowującego grzechy cudze na łożu Madejowém, nie mającego chwili spoczynku i odetchnienia...

Rośli do koła nieprzyjaciele, on wysychał, malał i upadał. Opuszczało go wszystko: żona, druhowie, lud... naostatek przyszła sromota zwyciężonego przez niewiernych... Kamieniec, ów klejnot Polski, był w rękach tureckich... Sobieski rósł na nieszczęściach króla i w rzeczy już był sam panem kraju, który męztwem i energią obraniać umiał. Dawne jego laury odrastały coraz nowemi, władza skupiała się w rękach — losy Rzeczypospolitéj spoczywały na jego głowie nie na Michale, któremu nie dano ani zdobyć zaufania, ani rozwinąć siły.

Zrozpaczony król, jechał do obozu, aby na czele wojsk zginąć przynajmniéj... Rycerstwo pa-

trzało całe na hetmana, nie znało innego wodza...

I Pełka też pod wrażeniem tych klęsk i wypadków musiał uledz, oddając hołd Sobieskiemu, choć dla Wiśniowieckiego miał miłość i poszanowanie... Lecz sparaliżowanemu nieszczęściami zaufać już nie było podobna...

Widmo to było zawadzające na tronie, a oczekujące wyzwolenia...

Nadzieje pokładane w szlachcie, która wybrała go królem, spełzły z konfederacyą gołąbską, grożącą wojną domową w przededniu walki z nieprzyjacielem krzyża i Rzeczypospolitéj... Sobieski tryumfował... nikczemne obwinienie i spisek, który go chciał uczynić zdrajcą, posłużył mu tylko, dodając nowego blasku...

Ze śmiercią zajadłego swojego nieprzyjaciela prymasa Prażmowskiego, król nie odzyskał spokoju; miał on wielu spadkobierców swéj myśli, zawziętości i knowań.

Zwątpienie o sobie zawiodło króla do obozu pod Glinianami. W wojsku koronném, które tu było zgromadzone, znajdujemy Pełkę pod hetmańską pancerną chorągwią, już ulubieńcem tego bohatera, który się miał Janem nazywać, a zwał się jeszcze Janiną Sobieskim. Czytelnicy przypomną sobie, iż Pełkowie z Gołczwi także się tém godłem pieczętowali. Nie było u nas pewniejszego znaku powinowactwa krwi nad jedność herbu —

wyjąwszy tych, których rzadko przyjmowano do niego, wszyscy herbowni jakiegokolwiekbądź nazwiska, liczyli się i składali rodzinę. Przy pierwszém poznaniu bliższém z hetmanem, gdy Pełka mu przywiódł Turków pochwyconych na wycieczce, cały okrwawiony ich szablami... Sobieski go zapytał o nazwisko...

— Pełka jestem z Gołczwi... a Janiną się pieczętuję.

Sobieski rękę mu podał.

— Obajśmy jednego rodu, mosanie, rzekł wesoło, i widzę, że jak ja lubisz wojenkę a obóz... powinowategobym rad mieć u boku. Proszę więc do mojéj chorągwi...

W taki sposób dostał się Medard między pancernych... a osobiście znany hetmanowi z męztwa i przytomności umysłu, wielkiéj używał w wojsku wziętości. Gdziekolwiek niebezpiecznego coś wykonać przychodziło, używano go do rady, a najczęściéj i do sprawy. Pełka nie odmawiał nigdy. Smakowało mu to właśnie co najtrudniejsze było...

Chociaż z czasu elekcyi, w któréj trzymał ze szlachtą za królem przeciwko Sobieskiemu, zostały mu uprzedzenia przeciw niemu, w polu się ich pozbył.

Żołnierza wódz za serce pochwycił wielkiém sercem na każdym objawianym kroku. Kraj ginął poddany łasce tureckiéj i ohydnéj niewiernych niewoli, szło o jego losy, a zbawienie już w dłoni

hetmana tylko widziano. I ci, co pod Gołębiem na niego się odgrażali za króla, którego od pańskiego spisku obronić chcieli, z wolna przechodzili na stronę jedynego człowieka, który od sromoty i od upadku ostatecznego mógł ocalić. . .

Małe kółko otaczające chorego i znękanego króla, w chwili gdy wojska gromadziły się pod Glininami, gdzie już tylko na Paca czekano — bo ten z Litwinami zwlekał — namówiło go, ażeby stanął na czele wyprawy... Jechał posłuszny Olszowskiemu król, więcéj w nadziei końca swym utrapieniom niż szczęśliwego obrotu.

Wojsko złożone z téj saméj szlachty, która króla sobie wybrała, najuboższym go mieć chcąc i najmniéj znaczącym, aby swą moc w nim objawić — wojsko to, na czele swém nie widzące nigdy Michała, wiary w niego nie miało...

Obóz pod Glinianami wrzący ochotą bojową, bo zdobyty Kamieniec wiele łez kosztował nawet tym, co go nigdy nie widzieli, czekać musiał na przybycie króla, jak czekał na Paca i Litwinów...

Naostatek jednego pięknego dnia jesieni rozeszło się po obozie, iż król miał przybyć... tegoż wieczoru... Wystąpiły więc chorągwie jak od święta lub od boju, z całym rynsztunkiem, z bębnami, kotłami i muzyką, a hetman z buńczukiem swym i dworem — tak wspaniałym, jak gdyby nim się chciał z króla naśmiewać i w obliczu wszystkich go upokorzyć. . .

Na czele rycerstwa ciągnęły huzarskie i pancerne chorągwie. . .

Ówczesny huzar był może najwspanialéj przybranym w Europie żołnierzem.. Każdy ze szlachty co pod chorągwią służył, silił się o konia i sadził na zbroję i rząd, tak, że najmniejszy towarzysz na pana w szeregu wyglądał. Dywdyki szyte, siodła kute srebrem, rzędy sadzone kamieniami, nie były tu żadną osobliwością, ile chlebem powszednim. Świeciły na piersiach błyszczące zbroje, i zarzucone na ramiona skóry lamparcie i tygrysie, a gdy podniesione proporczyki zaszeleściały nad głowami, a skrzydła zagrały jak do lotu, miło było spojrzeć na ten mur z żelaza i piersi zbudowany, który łamał jak taran niewiernych szeregi. Obok nich mniéj okazale może wyglądali pancerni, lecz to był żołnierz nie na pokaz, ale do czynu, nie do parady, ale do rozprawy. I w ostatnich rzędach pachołków znalazłbyś jeszcze takie serca, że je w pierwszych można było postawić... Tu stał Pełka w żelaznéj misiurze, w zbroi i kolczudze, patrząc z dala na królewski dwór i na samego pana, nie konno, lecz kolebką przybywającego do rycerstwa.

Michał wysiadł, podpierając się na lasce, — w stroju owym niemieckim, który zawsze nosił, a którego nie cierpiano — w peruce na głowie, w haftowanéj sukni, w pończochach i trzewikach...

Nie trzeba było więcéj, aby serca odwrócić. Cały ten tłum nawykły w ubiorze obcym widzieć

godło niechęci odwiecznych, poczuł się niemal zawstydzonym, spostrzegłszy króla pieszo, okrytego wstążkami, w kapeluszu z pękiem piór — a co gorsza — bladego, strwożonego — zdającego się obcym temu co go otaczało.

Działa grzmiały na przyjęcie, powiewały chorągwie — szeleściały kitajkowe proporce, brzmiała muzyka i kotły — ale radość nie wstąpiła w serca... Chmurno spoglądano na Michała.

Hetman na koniu z buławą, w stroju przepysznym, zdawał się otoczony aureolą — i rwał ku sobie oczy i dusze żołnierza... Stali tu przed czołem wojska nie jako pan i wódz, ale niemal jako dwaj nieprzyjaciele, z których jeden zwyciężał, a drugi do walki już nie miał siły...

Dwór téż królewski z jego ulubieńców, Austryaków i rakuskich duchów złożony, smutny miał pozór i obcy. Hetman zsiadł z konia, aby królowi w przeglądzie wojsk towarzyszyć.

Wszyscy patrzali na nich; wspaniałéj postawy wódz zaćmiewał tego, przed którym skłaniał głowę z uśmiechem. Twarz Sobieskiego była jasna i pogodna... Michał szedł blady, krokiem niepewnym, zamyślony...

Wiedziano już w szeregach, iż przed wojsk przeglądem złożono radę wojenną z rozkazu króla, który na niéj się odezwał z obawą o losy wyprawy i wahaniem. To mu bardziéj jeszcze odjęło serca...

Powtarzano sobie, iż największy nawet króla przyjaciel kanclerz Olszowski, sprzeciwił się mu, — przypominając, że Rubikon przebyli i oglądać się za siebie późno już było... Krzywo spoglądano na Paca, który Sobieskiemu zazdrościł sławy, zimno na to dziecię Jeremiego, które w ślady ojca iść nie umiało...

Pełka stał ze swymi w pierwszym szeregu... z politowaniem zwróciły się oczy jego na tego biednego umęczonego wybrańca, który zdawał się ledwie na nogach już trzymać. Szedł podpierając się na lasce i co chwila ustawał. Twarz zżółkła, to się okrywała chorobliwym rumieńcem, to bladością śmiertelną... oczy zdawały się patrzeć i nie widzieć.

— Po cóż mu tu już było się wlec — szepnął Kryszkowski stojący obok Pełki: kiedy mu do trumny pono bliżéj niż do siodła?... Patrzno panie bracie — ta to trup...

W istocie, król nie doszedłszy do połowy linii, stanął... zimny pot oblewał mu czoło... chwiał się... zwrócił błagające wejrzenie ku Olszowskiemu... i szepnął mu kilka słów niezrozumiałych... W kółku otaczających widać było zamieszanie, Niemiec doktor przypadł niespokojny... Król zasłabł... Wojsko stało oczekując jeszcze, by oblicze pańskie oglądać mogło, gdy wsparty na ramionach dworzan Michał zwolna opuścił pole popisów...

Od hetmana poszły rozkazy, aby muzyka i strzały ustały...

— Tegom się spodziewał, rzekł Kryszkowski, bo mu z oczu źle patrzało... Nie pójdzie więc z nami na Turka, co i lepiéj, boby nam serca odjął.

Rozjechało się zaraz rycerstwo — nie wykrzyknąwszy ani razu na cześć pana... Król odjechał do Lwowa. Gruchnęła o tém wieść — przyjęta nie politowaniem nawet, ale niemal lekceważeniem...

Ciągnęli tedy nie czekając koronni ku Dniestrowi, gdzie się Pac z nimi miał połączyć. Pełka jeden pamiętny owéj elekcyi, przed towarzyszami, ba! nawet i przed panem hetmanem króla bronił — ale go nie słuchano. Pora była jesienna, a jesień zawczesna, mroźna i wietrzna, i śnieżysta... Z pod Glinian ruszywszy, i konie, i ludzie podkarmieni wnet poczuli ciągnienie, gdy się głębiéj ku granicom posunęli. Niejednemu zatęskniło się do domu, i nowa wyprawa zdawała się szaleństwem... Sobieski tylko, który bywał sam za młodu w Konstantynopolu, a naturę Turków znał — wiedział, iż im łatwiéj z zahartowanym na zimno żołnierzem podoła, niżeli w innéj porze... Rozeszła się téż była wieść straszna, iż Rzeczpospolitą uważając po budżackich traktatach za hołdowniczą, sułtan wysłał agę do króla z firmanem pańskim i kaftanem w podarku, który toż znaczył co kajdany...

Kaftan ten miał być szatą Dejaniry dla nieszczęśliwego Michała — ostatnim ciosem co go miał

dobić... Hetman wolał wojnę nieszczęśliwą i ofiarę rycerstwa a krwi, niż owo poddaństwo niewiernym, i śpieszył, aby się pomścić sromoty, nimby nadeszła. Ale w wojsku nie wszyscy tak myśleli, a potęga turecka trwożyła wielu. Na wojennéj radzie odezwał się hetman ze słowem, które przeważyło:

— Czyja łaska za mną, pójdziemy choćby ginąć; czyja wola do domu, z Panem Bogiem... my pójdziemy na tureckich trupach położyć głowy...

Zrodziły się téż między Pacem a Sobieskim spory; bo koronni przodem idąc, kraj ogłodzali, tamtym zostawały pustki i wymiecione spichlerze... Załatano i to przecież, i przeszedłszy Dniestr, cała siła weszła na Bukowinę... Tu sprawdziły się przepowiednie hetmana: zajechał im drogę aga ze Stambułu do króla z listami wyprawiony, który się o haracz miał upomnieć... Chciał go hetman zatrzymać i okutego wieść z sobą, ale ostrożność puścić kazała...

Tak po nad Prutem jakiś czas się ciągnąc, podeszli pod twierdzę chocimską. Dobrą wróżbą dla hetmana było wspomnienie ojca i pierwszéj owéj wojny chocimskiéj... Gdy na prawym brzegu Dniestru pokazało sią nędzne owo miasteczko i śpiczaste wieże a mury twierdzy... całe rycerstwo jakby jeden człowiek je powitało... Serca urosły... Położono się obozem na widoku zameczku... Listopad był, czas mroźny, pora śnieżysta, żywności skąpo...

a Sobieskiemu laurów ojcowskich się chciało... postanowił zdobyć Chocim...

Pac się sprzeciwił na radzie...

Była już późna godzina w noc, gdy dworzanin hetmana począł szukać Pełki w obozie się rozbijając, i ledwie go znalazłszy, z sobą do Sobieskiego prosił. Koniom jeszcze obroków nie miano czasu zasypać, a Pełka zbroi z siebie nie zdjął, i dopiero mu Gabryk rzemienie odpinał, gdy Gałka, pokojowiec Sobieskiego, wpadł pod szałas z gałęzi narzucony, domagając się Pełki, aby go wziąć z sobą.

Nie było co rozmyślać, bo powinność żołnierska, posłuszeństwo. Właśnie o owéj chocimskiéj rozprawiali z Kryszkowskim, gdy się Gałka ukazał. Kazał pan Medard na nowo rzemienie pospinać i ruszył nie zwlekając... Hetmański namiot był już rozbity, choć on tam pod nim mało mieszkał, bo rycerstwu serca dodając, ciągle z niém potrzeba było być, a nie tulić się od szarugi za płótno... Lecz tylko co się narada kończyła i Pac wyszedł był konia dosiąść... a hetman jeszcze po namiocie się błąkał trąc czoło i wąsa kręcąc, — gdy Pełka stanął u wnijścia i powitał wodza.

Żywo zbliżył się ku niemu Sobieski, uderzając po ramieniu...

— Bóg zapłać, żeście mi się tak rychło zjawili — pójdźcie bliżéj waszmość, bobym nierad,

aby nasza rozmowa uszu ciekawych doszła, a jest tu ich nad potrzebę...

Na twarzy hetmana nie frasunek lub niepokój, jak przed bitwą, ale się jakby radość malowała i spokój wielki...

Zatarł ręce.

— Mówiliście mi waszmość niegdy, żeście u króla Jmości mieli dosyć zachowania, i żę mu dobrze życzycie...

— O pierwszém nie wiem, bo to nie moja rzecz sądzić, a drugiego się nie wypieram, rzekł Pełka.

— Powiem wam więc rzecz smutną, odezwał się hetman... Gdyśmy się pod Glinianami rozstawali, pytałem doktora o chorobę; zeznał mi, iż wrzód ma we wnętrznościach, i że chyba cud mu zachować może życie... Dosyć mu je ludzie zatruli, a losy... Nie byłem jego partyzantem — dodał, aliści dziś, gdy pod Wszechmocną ręką Boską pada... żal mi serce uciska...

Zamilkł... i ciągnął daléj zbliżywszy się do Pełki.

— Chocim weźmiemy, rzekł — Pac mi grozi ciągle, że ze swymi precz pójdzie, bo ich na rzeź i jatki dawać nie chce; ale go znam, rycerskie ma serce, i gdy się bój rozpocznie, pójdzie w ogień z nami. Aniby wstrzymał swego żołnierza, boby się sromem okrył. Wiem co Turcy mają i jak stoją. Chocim wzięty być musi — zwycięztwa jestem pewien...

Rozumiesz mnię waszmość? Zanieś królowi na łoże śmiertelne tę pociechę, że pod murami stoimy, a nie ustąpimy, aż je zdobędziemy...

Lękam się tych co króla otaczają, aby mu zgonu nie zatruli. Widziałeś waszmość agę, co z listami od sułtana jechał... Zatrzymać go chciałem, aby ich nie wiózł, bo wiem co zawierają...

Haraczu się Turek domaga i kaftan poddańczy szle panu naszemu. A nuż go Olszowski wpuści, a nuż go dobiją, gdy my tu pomścimy sromu? Chrześcijanin jestem i sumienie mam, a miłosierdzie — waćpan mi pomóż Pełko...

— W jaki sposób? odezwał się Medard... Aga uprzedził mnie, więc go już nie doścignę... a drogi niepewne?

— Agę prowadzą ludzie, których ja mu dodałem, odezwał się hetman, więc go manowcami powiodą — bom na myśli miał co się stanie. Ale nie chciałem waszmości słać, pókibym nie doszedł pod Chocim i nie mógł powiedzieć, żem tu jest... i że mi twierdza nie ujdzie... Z pomocą bożą zwyciężymy... Godzi się utrapionemu panu osłodzić zgon, aby Bóg tak samo i nam miłosiernym był w godzinie ostatniéj.

Pełka milczał.

— Jedź waszmość — dodał hetman: — listy gotowe mam, ludzi weź do wyboru... tylko mi ich dużo nie chciéj, bo tu każdy człowiek drogi.

— Mam jechać, gdy właśnie bić się będą? odezwał się Pełka. Od największego przysmaku, gdy zastawiony, wola mnie pana hetmana odsuwa... to twardy orzech do zgryzienia.

— Wiem ci ja to — rzekł Sobieski, ale człowieka jak wy nie mam, bo o drugiego Pełkę niełatwo... Zaklinam więc waszmość jedź — proszę, i domagam się...

— Dość rozkazu, odezwał się Pełka.

— Ciężar mi zdejmujesz z sumienia, rzekł wzdychając hetman. Bolało go nieraz to co szło odemnie — chciałbym mu choć przed zgonem chwilę osłodzić, aby mi Pan Bóg moje też grzechy przebaczył. Uczyń więc waszmość o co proszę, choćby ciężko ci było, uczyń dla króla i dla mnie, a uczynisz dobrze... Zanieś mu konającemu tę wieść, żeśmy wstydu pomścili i że haniebne traktaty skruszone...

Pełka zrozumiał chrześciańskie uczucia Sobieskiego, który z żywym mógł walczyć, a wybranemu od narodu chwilę ostatnią osłodzić pragnął, nie rzekł więc ani słowa, skłonił się i oświadczył gotowość do drogi.

— Kilka godzin zejdzie nim gotów będę, rzekł w ostatku; pojadę sam ze starym i wypróbowanym sługą moim, który mi w najgorszych razach był wiernym towarzyszem, więcéj nie potrzebuję nikogo.

W drugim namiocie kancelarya hetmańska już pisma przygotowała, nie zabawiło więc i Pełka

opatrzony został w papiery... Z niemi powrócił do szałasu i do Kryszkowskiego, który z dala już nawoływał go, chcąc się dowiedzieć czego do hetmana był wzywany. Nie spowiadał mu się Pełka ani z czém, ani dokąd jedzie, tylko Gabrykowi konie kazał opatrzyć i być w pogotowiu. Témbardziéj żal było plac opuszczać, iż tu się widocznie na noc gotowała rozprawa. Sobieski stać długo na śniegu i zimnie a trzymać ludzi i wyczekiwać nie myślał; więc choć zamieć się wzięła ze śniegiem i spoczynek był potrzebny, sam zaraz wyszedł z namiotu do pułków, obchodząc je, krzepiąc i do napadu na zamek gotując.

Nie spoczął, póki usty i przykładem nie ożywił tak rycerstwa, iż mimo tych, którzy się opierali zuchwałéj nocnéj wycieczce, postanowiono przed brzaskiem na Chocim uderzyć. Pełka jednak czekać już na to nie mógł, Sobieski mu przechodząc ponowił rozkaz, aby śpieszył, chcieli króla żywym zastać, trzeba więc było konia dosiąść i jechać.

Pora czyniła tę podróż przykrą i ciężką, lecz na to przygotowany był Pełka, i wiedział, że gdyby mu koń padł lub ustał, radę znajdzie w którymkolwiek szlacheckim dworze po drodze. Popasy musiały być krótkie, a o noclegach nie było co i myśleć.

Szczęściem koń, którego wówczas miał, żelazny był, i choć natury powolnéj, wytrwały nad podziw, a kilkodniowa i nocna podróż nie odebrała mu sił,

byle jeść miał podostatkiem... Pod Gabrykiem téż szkapa ciężka i wołowita, o baraniéj głowie, sławę miała w całém wojsku ze swego chodu, a w dodatku słomą ze strzechy gotowa się była przeżywiać. O oszczędzenie koni nie chodziło, choć naówczas koń prawie z żołnierzem na równi się cenił. Pisze ks. Birkowski o tém, jak w konie ludzie ufali; wspomina Skarga o téj miłości dla nich. Człowiek się z towarzyszem tym zrastał ciągle z nim żyjąc, a obaj się téż lepiéj rozumieli i wzajem wspomagali, niż dziś, gdy się ledwie kiedy spotykają.

Podkowy wprawdzie na grudzie rozbite kilka razy odmieniać było potrzeba, ale konie doskonale drogę wytrzymały i przebiegły ją w nie do uwierzenia krótkim przeciągu czasu.

Gdy się lwowskie wieże pokazały, Bogu Pełka dziękował, że mu cało dał tu przybyć, chociaż po drodze już dowiedział się, że go ten nieszczęsny aga sułtański uprzedził i od pół dnia przynajmniéj w mieście już być musiał. Chwili więc nie tracąc, z konia do gospody nie zajeżdżając, jak stał tak wprost jechał do króla, o którym tylko się mógł dowiedzieć w mieście, iż jeszcze żył...

O życiu wszakże dłuższém i wyjściu z choroby, lekarze zupełnie zwątpili; pomiędzy ludem, mieszczanami i szlachtą, uparte krążyły wieści, iż króla w cyrance, którą rad jadał, struto. Struły go raczéj ludzkie niechęci i żółć, którą go napawano.

Dopadłszy naostatek antykamery królewskiéj, Pełka zastał tam dwór cały, i podkanclerzego, i kanclerza, i mnóztwo panów, w rozpaczy niemal nad stanem zdrowia króla tracących głowy... Przed kilku dniami wrzód sam z siebie pękł, lekarze odzyskali nieco nadziei, która krótko trwała, przyspieszało to tylko koniec nieuchronny. Pełka wedle instrukcyi hetmana sam królowi oddać pragnął list i ustnie przynieść zaręczenie, iż Chocim wzięty być musiał... Ksiądz Olszowski jednak dopuścić go nie chciał, i wymógł na nim oddanie papierów...

Aga od dwóch dni był we Lwowie z listem sułtana, ze szkatułką dla króla, zawierającą znaki hołdownictwa; dopuścić go nie chciano, czując, że pismo i upakarzające poselstwo byłoby nieszczęśliwego dobiło. Zwlekano pod rozmaitemi pozorami. Natomiast o pośle od wojsk i hetmana znać dano natychmiast... lecz król mało uczuł ztąd pociechy... Zapytał tylko, ktoby tę wieść przywiózł, — wymieniono Pełkę po nazwisku — przypomniał go król i wprowadzić kazał.

Późny był wieczór już, gdy wszedł do królewskiéj sypialni, w któréj chory na łożu spoczywał, blady i do niepoznania zmieniony. Twarz Pełki przypomniała mu snadź dawne czasy, i wyciągnął doń rękę białą, zimną, wilgotną, którą niebieska sieć żył opasywała. Zestarzały był, wychudły, a oczy okrążały plamy ciemne... Przy łożu siedział kanclerz, stał doktór i kilku ulubieńców króla, wszyscy

niemi i przerażeni... Gdy Pełkę przed łoże wprowadzono, usunęła się część przytomnych, biskup tylko pozostał. Michał kazał się Pełce przysunąć ku sobie i opowiadać o wojska pochodzie. Mniéj na te szczegóły nastając, Pełka dla spełnienia poselstwa głównie się przywiązał do tego, by królowi dobrą wolę i serce hetmana odmalować...

— N. Panie, kończył z wolna, zaledwieśmy doszli pod Chocim, gdy wszystkie już przygotowania do nocnego szturmu dokończone były — pierwszą myślą hetmana stało się wysłać mnie do W. Kr. Mości z zaręczeniem, iż Chocim wzięty zostanie, a przeszłych nieszczęść pamięć się zatrze... Chciał pan hetman uspokoić W. Kr. Mość, i to mu najbardziéj na sercu leżało, aby troskę o powodzenie wojsk Rzeczypospolitéj odjąć W. Kr. Mości.

Król podniósł oczy zmęczone i zatrzymał je długo nic nie mówiąc na twarzy Pełki; odwrócił się potém, jakby chciał wiedzieć czy go kto słucha. Kanclerz się ku oknu oddalił. Po chwili ozwał się głosem słabym:

— Wierzę waszmości, iż teraz, gdy już mnie widzą konającym... gdy nikomu nie zawadzam, gdy mogą czynić co chcą — litują się nademną... Czemuż nie wprzódy?

Zamilkł jakby zmęczony.

— Przypomnij waszmość elekcyę, mówił cicho: — daliście mi koronę na przekór woli starszéj braci, aby swą wolę okazać — aleście mnie uczy-

nili ofiarą... Musiałem walczyć przeciw wszystkim, aby się na tym chwiejącym tronie utrzymać, z którego śmierć mnie zabiera... Zaprawdę — zabójczy był dar wasz! dodał wzdychając i spuszczając głowę na piersi — przywiódł mnie on... na to łoże, na którém widzisz waszmość... Za dzień tryumfu waszego drogom opłacił.

Pełka odezwać się nie śmiał...

— Tak — dodał Michał na wpół do siebie mówiąc — był to brzydki sen tylko — wyglądam spoczynku, rad mu będę... Wszystko spiknęło się na mnie, ludzie, okoliczności, przyjaciele i wrogi... w moich rękach zmieniało się dobro w szkody... żywność w truciznę... nie miałem chwili wytchnienia... a srom pić musiałem za napój powszedni, jak wodę...

— N. Panie, przerwał Pełka, chcąc odwrócić tę bolesną rozmowę — tém szczęśliwszy jestem, że W. Kr. Mości uroczyste zapewnienie zwycięztwa przynoszę. Wojska, mimo pory niedogodnéj, doszły pod Chocim najlepszym ożywione duchem... hetmanowie są zgodni... w chwili téj Chocim jest w ręku naszych i zwycięztwo przy W. Kr. Mości...

— Nowy laur dla Sobieskiego — westchnął Michał — nową siłę pozyskał... i tak już był tu on panem i królem, a nie ja... Jam był męczennikiem — Bogu niech będą dzięki, że szczęśliwszą dla Rzeczypospolitéj erę zwiastuję, która się z nowém panowaniem rozpocznie... Do mojego imienia

i osoby przywiązane było nieszczęście . . . ja schodzę... i zorza się ukazuje... Umrę spokojny...

Nadszedł Olszowski, król zobaczywszy go zamilkł. Pełka stał w niepewności czy ma odejść, czy dłużéj zostać . . . Michał podniósł oczy nań i kazał mu się zbliżyć do łoża.

— Waszmość mi lepsze przypominasz czasy — rzekł, — miło mi nań patrzeć... Pamiętam, gdyśmy się spotkali raz pierwszy, gdym waszmość zastał u matki... i na tém już nieszczęśliwém polu, gdziem się wam wymodlić nie mógł od korony... Uczyniliście ze mnie owego Ecce homo... Ecce rex . . . na szyderstwo narodowi, w płaszczu krwawym, w cierniu na skroni, ze trzciną w ręku zamiast berła. Zwyciężyła szlachta... alem ja lat cztery pokutował za jéj tryumf i naukę, aby się przeciwko silniejszym nie porywała... Cóżeście dla mnie zrobili pod Gołębiem, choć takeście się oświadczali? Nie mogłem dozwolić, by dla mnie lała się krew braterska... dałem za to życie...

Zbliżył się lekarz, i słysząc króla mówiącego długo, chciał go powstrzymać, by uchronić od znużenia.

— W. Kr. Mości potrzebny spoczynek, odezwał się.

— Wkrótce też spocznę — uśmiechając się smutnie, rzekł Michał — nie brońcie mi wypowiedzieć z duszy co na niéj ciężyło. Odwrócił się i spytał o godzinę... zdając się liczyć niespokojnie, ile mu

ich jeszcze zostawało — a gdy Pełka stał nie śmiejąc się oddalić, król uleglszy woli Olszowskiego i lekarza, wyciągnął mu rękę do pocałowania i pożegnał słabym głosem.

— Utrudziłeś się waszmość drogą pospieszną, począł oglądając się jakby szukał czegoś — chciałbym mu podziękować za to... Powiedzcie hetmanowi, gdy go zobaczycie, iż dla poczciwéj chęci téj, jaką mi okazał, chętnie mu odpuszczam wszystko...

Zawahał się, popatrzał na doktora.

— Przyjdź waszmość do mnie jutro... skończył głosem słabym...

Z przykrém uczuciem jakiéjś zgryzoty wewnętrznéj opuścił Pełka sypialnię. Bolesny też obraz wystawiał cały ten dwór, w którym czuć było rozstrój, niepokój i obawę jutra. Stan króla był zrozpaczony... wszystkie czoła chmurzyły się obawą o jutro... U łoża tego ledwie garść zmuszonych pozostawała z obowiązku... Wiadomo było wszystkim, iż królowa Eleonora, któréj serce od dawna było księciu lotaryńskiemu oddane, zamiast przywiązania przyniosła Michałowi wyrzuty, pogardę i jedną jeszcze boleścią więcéj...

W chwili, gdy król konał, na jéj dworze snuto już plany, jakimby sposobem odżywić kandydaturę księcia lotaryńskiego... i królową pozostawić na tronie... Inni myśleli o Neuburgu, inni szukali kandydatów za światem zrażeni tym wyborem Wi-

śniowieckiego, który zdawał się Piasta na zawsze usuwać od tronu...

Żył jeszcze król Michał, gdy już na wszystkie strony intrygowano, knowano, obmyślano jakiego mu dać następcę... Opuszczony od wszystkich niemal, biedna ofiara losu, Wiśniowiecki czuł się już prawie z tronu strąconym.

Przez ostatni wzgląd dla umierającego oszczędzono mu tylko listów sułtana i kaftanów, nie dopuściwszy doń agi.

Nazajutrz, gdy Pełka jeszcze spoczywał, obudziły go dzwony wszystkich Lwowa kościołów, których dźwięk przeraził go... biły ponuro, jakby na gwałt i trwogę...

Wchodzący Gabryk rzekł we drzwiach...

Król umarł!

Razem niemal ze śmiercią nadbiegł od wojska wysłany Kryszkowski, który przynosił wiadomość o zwycięztwie odniesioném pod Chocimem. Najlepszym dowodem tego był on sam, bo mnóstwem rzeczy zdobytych się obładował, które mu do sprzedaży we Lwowie nadawano.

Nim żałobę wydzwoniono, radość ze zwycięztwa, szalona, niepomierna, wrzawliwa o trumnie niezawartéj jeszcze kazała zapomnieć. Ciało królewskie leżało opuszczone... a ludzie biegli głosząc sławę Sobieskiego i ciesząc się z odzyskanéj czci...

Było coś bolesnego w widoku téj żałoby zrzu-

conéj nim została wzięta, w tym szale ludu ściskającego się po ulicach, gdy katafalk króla ostawiony świecami miał przy sobie zaledwo kilku dworzan i kilku biedniejszych duchownych... w zapomnieniu tego nieszęśliwego, z którego zgonem szczęście wracało...

Nikt się nawet nie odezwał z żalem po zmarłym, prócz kilku sług jego... Najwierniejsi myśleli już o przyszłości.

Imię Sobieskiego było na wszystkich ustach. Obiecywano sobie nowe tryumfy z nim i przez niego; nikomu jednak na myśl nie przyszło, ażeby szczęśliwego hetmana królem uczynić.

Miał zbyt wielu nieprzyjaciół, ażeby mógł sam o tém pomyśleć. Po Czarnieckim wprawdzie on był ulubieńcem narodu — lecz nie z tysiącami rachować się było potrzeba, ale z tą falangą stojącą u steru, która dowiodła, iż nikt bezkarnie przeciw jéj woli, nad nią wynieść się nie może. Ofiarą jéj padł nieszczęśliwy Michał.

Szlachta zrozumiała i uczuła to, iż nie dorosła do rządzenia Rzecząpospolitą, choć się zwała elektorką królów i miała wolę — nadania sobie pana.

Pełka mając wiadomość przez Kryszkowskiego, iż Pac postanowił odciągnąć, a Sobieski miał do Lwowa przybyć, postanowił tu czekać na niego... Obaj razem z towarzyszem spędzali dni, gdyby humor służył, dosyć wesoło, bo ich tu na rękach niemal noszono, a dosyć opowiadaniami nakarmić

ciekawych nie mogli. Pełka do nich niesklonny, był więcéj słuchaczem niż świadkiem dla Kryszkowskiego, który na rachunek wyprawy, chciwym szczegółów niestworzone opowiadał rzeczy. Należał on do tych rycerzy co i w polu nie zaśpią, i odbywszy co do nich należało, popisać się z tém umieją. Nikt nad niego łatwiéj poematów nie tworzył i historyi prawie z niczego, bohaterów z pospolitych ludzi i wiekopomnych czynów z najzwyczajniejszych wypadków. Pełka podziwiał ten talent, bo Kryszkowski właściwie rzekłszy nie kłamał, lecz z tematu, jakich tysiące dostarczała wojna, tworzył rzeczy, których naocznym będąc świadkiem towarzysz, zaprzeczyć im nie mógł, a potwierdzać jednak się lękał.

— Mój Kryszkowski, mówił do niego Pełka, gdy zostali sami — powiedz ty mi, zkąd ty to wszystko bierzesz u licha?

Stary wojak wąsa pokręcił.

— Juściż nie poluję — rzekł z powagą — prawda tam zawsze jest we środku, a że mi Pan Bóg taką naturę dał, iż z dala mi się rzeczy ogromniejsze i cudowniejsze wydają, temum ja nie winien... Ludzie zawsze połowie tego ledwie uwierzą, co im powiesz, potrzeba więc trochę przypuścić na wyrost, — inaczéjby to na nic zeszło...

I śmiał się poczciwy Kryszkowski, a zapraszano go tak iż pokoju nie miał na chwilę, i ugaszczali wszyscy, a łupy chocimskie, nawet łup kołczanów tatarskich i ladajakie rupiecie tak dobrze spienię-

żył, iż mu się wszystkie straty w pochodzie wynagrodziły.

Pełka tymczasem wprosił się do dworu, aby biednemu królowi szlacheckiemu ostatnią oddać posługę.

* * *

Pozjeżdżało się było naówczas do Lwowa ludzi wiele, których spodziewane przybycie hetmana tu ściągało... Oczekiwano na tego zbawcę z niecierpliwością wielką, wiedząc, iż on teraz na przyszłe losy Rzeczypospolitéj najwięcéj miał wpływać... Nawet nieprzyjaciele osobiści i zazdroszczący mu sławy, widząc, iż z niéj go odrzeć nie potrafią, grali rolę adherentów, na czém się Sobieski znać umiał.

W tym natłoku ludzi znalazł Pełka wielu, których się widzieć nie spodziewał. Wpadł nań jak burza Rożański, otylszy niż był, weselszy niż kiedykolwiek, a serdeczny jak zawsze, szczęśliwy, że druha napytał.

— Co ty tu będziesz robił? zawołał przy pierwszém spotkaniu; zimować ci nie dam we Lwowie, choćby i hetman tego żądał: ze mną musisz na wieś. Dosyć już téj włóczęgi i bałamuctwa, czas się żenić... a daléj pora nie będzie...

— Wiesz przecie, żem ja chłopcem poprzysiągł,

a stary dotrzymać muszę mojéj bogdance... odparł Pełka...

— Która tymczasem trzeciego sobie męża wzięła! śmiejąc się zawołał Rożański. Już ludzie nawet wierzyć nie chcą, gdy im o tém powiadamy, bo o waszmości i jego miłości jak o Sylorecie bajki rozpowiadają. A no, by tego było dosyć... panien jest do wyboru jak maku, jedna po drugiéj piękniejsza... Choć moją Julkę kocham, a patrząc na nie, aż mi czasem żal, że się żenić nie mogę. Żebyżeś ty tak życie zmarnował!

— Wola boża snadź była — mówił Pełka ze zwykłą swą spokojnością.

— A toś i tu pewnie dla tego przybył, aby na podorędziu zawsze się znaleźć, gdyby co męża spotkało... szydersko odparł Rożański; a no — twój Pac nie wygląda coś na to, żeby ci miał tak prędko ustąpić.

— Alboś go widział? zapytał Pełka.

— Oboje mi ich pokazywano, bo co prawda, jejmość jeszcze za trzecim mężem wygląda, jakby dopiero jednego miała, taka piękna!

— Gdzież ją pokazywano? krzyknął Pełka zdziwiony — ja o niczém nie wiem...

— Jakże to może być? zdumiony odrzekł Róžański — aleć oni tu oboje...

Dla Medarda nowina ta była zarazem pożądaną i niepokojącą. Nie zobaczyć Jadwigi... przechodziło

siły jego; a jakże się tu do niéj dostać? nawet jak o nich się dowiedzieć?

Tegoż dnia poszli na wzwiady. Okazało się, że młody Pac naprawując co hetman jego imiennik, sporząc z Sobieskim, popsował dla rodziny, zjechał tu w przeczuciu przyszłych konjunktur, zyskując sobie panią hetmanową.

Piękna Marysieńka już naówczas miała ten wpływ na męża, którym na nim wszystko co chciała wymódz mogła, a umiała nim władać tak, iż on sam wędzidła nie czuł i cugli. Wszystko więc cokolwiek Sobieskiego potrzebowało, a zalecać mu się chciało, garnęło się do pięknéj Marysieńki...

Pac téż, oprócz imienia, nie mający nic, a potrzebujący pleców, wcześnie chciał zaskarbić łaski hetmanowéj, któréj niegdyś żona jego dosyć była miła. Wiózł więc i ją tu z sobą, czemu piękna Jadwiga bardzo była rada, bo samotnością się brzydziła, na wsi żyć nie umiała i czuła się do wielkiego świata stworzoną.

Wiedział już wieczorem Pełka, który dwór zajmowali państwo Pacowie, i kędy ich miał szukać — Rożańskiego więc, który się do niego wpisał na kwaterę, zostawując z Kryszkowskim, który mu chocimską opowiadał z talentem sobie właściwym, pan Medard ubrany jako mógł najwytworniéj, a na stroju mu nigdy nie zbywało, — puścił się z Gabrykiem do mieszkania swéj pani.

Była godzina przedpołudniowa, a dzień zimowy

piękny — i pierwszy wczesny śnieg sanek mnóztwo na ulice wywołał, paradowali panowie Rusini, dobywszy co mieli najpiękniejszego.

Przybywszy do dworku, gdzie się liczną służbę i dwór pokaźny znaleść spodziewał, zdumiał się Medard, czeladź widząc ladajako przybraną i skąpą. Gdy zsiadłszy z konia, o pisarzową zapytał (bo tytuł ten Pacowi dano za króla Michała), odpowiedziała służba, iż jest w domu... ale jegomości nie ma. O tego téż mu tak bardzo nie szło, i zameldować się kazał... Stał w progu pierwszéj izby, gdy w drugiéj okrzyk posłyszał, i piękna Jadwiga wybiegła z żywą radością nie tajoną przeciw niemu.

Kilka lat upłynęło od czasu, jak jéj nie widział, ale z obrazem na sercu i w pamięci się nosił. Lękał się, aby nie była zmieniona... W istocie znalazł ją inną nieco, tylko niemniéj piękną niż była...

Są takiéj krwi konie, które się późno składają; można było toż samo (bez urazy) powiedzieć o pani pisarzowéj, która dopiero teraz w całym blasku piękności kobiecéj występowała...

Jeszcze gdy ją księżną podkomorzyną widział Pełka, coś miała w sobie dziecinnego — teraz rozkwitła w pełni świeża, różowa, promieniejąca, z oczyma błyszczącemi jak dwa dyamenty czarne — zdawała mu się cudowniejszą jeszcze...

Z Jadwisi wprawdzie stała się Jadwiga, lecz niktby jéj nie dał nad lat dwadzieścia kilka...

Wbiegła do pokoju trzymając sznur pereł, który właśnie na szyję kłaść miała, cała rozradowana, szczęśliwa, uśmiechnięta... nie kryjąc się wcale z uczuciem, jakiego doznała, gdy jéj o Pełce oznajmiono. Zmierzała go bystremi oczyma i pierwszém jéj słowem było:

— A moja kokarda?

Pełka milcząc sięgnął pod żupanik na piersi, i dobył zbladły węzeł już niemal biało wyglądającéj wstążki. Przez tych lat tyle utrapień, wojen, przygód nie opuściła go nigdy pamiątka pięknéj Jadwisi... która na widok swojéj wstążki stanęła jak wryta.

— Boże mój! cóż to się z nią stało! zawołała ręce łamiąc — miałożby to być ze mną! Wypełzła, blada, zmięta... tyle lat...

— Ale od tych lat tylu leżała zawsze przy mojém sercu — odezwał się Pełka, całując pulchną podaną mu rączkę drżącą.

— Schowajże ją sobie, niech ja na nią nie patrzę, śmiejąc się zawołała pani pisarzowa; bo przyznam się, że nie radabym, żeby ją mój mąż zobaczył... Tu nagle przerwała sobie i ręce łamiąc:

— Wiesz — znowu mam zazdrośnika! dodała lamentująco...

Nie dała mu odpowiedzieć i szczebiotała daléj:

— Ale tak, tak jest! okrutnie zazdrośny i nudziarz... i —

Ugryzła się w usta...

— Cóż się z wami działo? zaczęła jakby się pomiarkowawszy: mówcie o sobie!

— Nie ma nic ciekawego — mruknął Pełka — wolałbym się dowiedzieć coś o pani pisarzowéj...

— A! jak to brzmi! pani pisarzowéj! fe! zawołała Jadwiga — ale cierpliwość mieć muszę... Drugie są hetmanowe, kanclerzyne... podkomorzyne, marszałkowe... mnie się dostało być — pisarzową!...

Ale bo mnie p. Medardzie, jak was, jakieś nieszczęście ściga...

Tu westchnęła...

— Siadaj pan proszę, rzekła. Mąż pojechał do kanclerza Olszowskiego, pewno nierychło powróci — a! tém lepiéj. Zdaje mi się, że mu matka o was mówiła... i o was być gotów zazdrośnym... Powiadam wam, bardzo nudny... O mnie nie myśli, ambicyą żyje cały... Tylko się wstrzymuję, bo go ogadywać nie chcę.

Nagle podniosła głowę i roześmiała się.

— Wiesz pan, że matunia za mąż poszła! Na co się jéj to zdało?... Takiego sobie gbura wzięła, teraz czyste ma piekło w domu! Zupełnie zestarzała, nie poznałbyś jéj.

Co do mnie, trzymam się jak umiem, żeby się nie gryźć, nie gniewać, nie poruszać i przez to jak matunia nie zbrzydnąć... Bo już przyznam się wam, że nie mogłabym znieść, gdybym przyszła do zwierciadła, a ono mi pokazało... maszkarę...

Poczęła trzepać rączkami.

— Dla tego choćbym się czasem powinna pogniewać, choć mi się chce popłakać, choć mi smutno i źle na świecie — śmieję się, tak się boję zestarzeć...

Pełka z zachwytem słuchał tego szczebiotania: byłby tak siedział nie mówiąc słowa wiek cały, patrząc jéj w oczy, pojąc się muzyką jéj głosu, karmiąc jéj dziecinną prostotą. Przerwała jeszcze:

— Mów mi waszmość o sobie — rzekła. Już się nawet nie pytam o to, czyś się gdzie przypadkiem nie ożenił, bo wiem, że to być nie może... O! gniewałabym się bardzo na niego...

Spojrzała mu w oczy... Pełka był oburzony... roześmiała się...

— A! tak! dodała kładnąc mu rękę na dłoniach — pozostaniesz mi wiernym... do śmierci! To będzie bardzo, bardzo pięknie... Ja często sobie myślę, że mam takiego w was rycerza, który jest moim, zupełnie moim, którego gdybym kiedy zawołała... przyszedłby mi w pomoc. Prawda?

— A... pani moja — odparł Pełka zachwycony — toby było szczęściem dla mnie.

— Ja zawsze mówię, że takiego drugiego, jak mój rycerz, nie ma na świecie.

I roześmiała się, pokazując z za obsłony różowych warg białe drobne swe ząbki.

— Czy zestarzałam? spytała go po namyśle.

— To nie może być! jesteś pani...

— Zmieniłam się trochę — rzekła smutnie... sama to widzę, gorsety mi się nie spinają... gniewam się na gorsety i na siebie... To mnie tylko pociesza, że zawsze mnóztwo się we mnie kocha... i tak się bałamucę jak sama chcę... a to taka rzecz zabawna! Gdyby mój Pac nie był taki zazdrosny... Ale — ale mówże mi o sobie?

— Nic do powiedzenia nie mam...

— Byłeś pod Chocimem?

— Tylko żem go widział, bo mnie hetman do umierającego wysłał króla... i przy zdobyciu go nie byłem...

— A! to szkoda! słyszałam, że tam takie piękne rzeczy u Turków dobrali, dodała pani pisarzowa... I zastałeś króla przy życiu jeszcze? rzekła natychmiast zmieniając rozmowę.

— Ostatniego dnia przed śmiercią przybyłem — odpowiedział Pełka.

— Biedny to był król — przerwała Jadwiga — ale bardzo nieładny. Ja się nie dziwuję, że go królowa kochać nie mogła: minę miał zawsze utrapioną, znudzoną i smutną... a ją biedną wydali gwałtem za tego chorego, gdy się kochała w Lotaryńskim...

Jakże się wam zdaje, kogo mieć królem będziemy? spytała po chwili.

— Ja tego odgadnąć nie potrafię — uśmiechając się rzekł Pełka. Gdyśmy na Michała głosowali, nikt o nim nie myślał nawet przed godziną, a przy-

najmniéj nikt się tak łatwego wyboru nie spodziewał... Dziś? któż może przewidzieć, komu Bóg przeznaczył koronę?

— Ja jestem za Lotaryńskim — mówiła piękna pani, — dla tego, żeby ta nieszczęśliwa królowa Eleonora szczęśliwą być mogła, kiedy go kocha...

— A! pani! rzekł Pełka — ci co kochają, bardzo rzadko bywają szczęśliwi.

Jadwiga umilkła... spojrzała w okno...

— Waszmość tu zabawisz? spytała.

— A państwo? odrzucił pytaniem także Pełka.

— Czyż ja wiem, co ten tyran ze mną zrobi? — cicho szepnęła pisarzowa — ja muszę jechać i siedzieć jak on zechce... nigdy nie zrobi nic dla mnie, wolałabym w Warszawie... Lwów mi się nie podoba... on o to nie dba, a ja nawet wypłakać się nie mogę, gdy się pogniewam, bobym sobie oczy popsuła... i ten nudziarz z tego korzysta...

Załamała ręce nieszczęśliwa ofiara, nad któréj losem Pełka się w istocie litował.

— Wyobraź pan sobie, trzech mieć mężów i być zawsze tak nieszczęśliwą! Z pierwszym myślałam, że zrobię co zechcę... gdzie tam! tyran był stary... Drugi... nie chcę już o nim mówić nawet... człek okropny! kat prawdziwy... Trzeci zdawał się młody, zakochany, posłuszny, a co to się to z niego zrobiło!... Kochać się nie umie — i zazdrosny.

Właśnie wśród tego narzekania, szelest w po-

dwórzu zwiastował czyjeś przybycie. Był to powracający do domu Pac, który wszedłszy do pokoju, zdziwił się mocno widząc nieznajomego człowieka na poufałéj z żoną swą rozmowie.

Mąż pięknéj Jadwigi miał cale pańską postawę i twarz przystojną, wypieszczoną, młodą jeszcze. Znać w nim było wychowańca obcych krajów, których też strój nosił... W rysach jego malowało się wszakże jakby znudzenie życiem i niesmak do wszystkiego...

Pisarzowa zaprezentowała mu Pełkę, jako dawnego sąsiada Horbowa i dobrego przyjaciela domu. Przyjął go Pac bardzo grzecznie i bardzo zimno. Spytał zaraz zkąd przybywa? a dowiedziawszy się, że był przy hetmanie i w poselstwie od niego wysłany został do króla, pogrzeczniał znacznie, zaczynając o Sobieskiego dopytywać, mówiąc o nim z pochwałami wielkiemi.

— Wiem — dodał — żę z panem hetmanem stryjem moim nie zawsze bywali w zgodzie, lecz sądzę, mimo pokrewieństwa naszego, iż wina w tém pana Paca... Z takim wodzem jak Sobieski, w zgodzie być potrzeba...

Spodziewano się właśnie przybycia zwycięzcy i Lwów wybierał się go jak wybawcę kraju przyjmować — rozmowa więc zwróciła się ku temu.

Pan pisarz się wielce ożywił — ale pisarzowa widząc się niemal opuszczoną i zapomnianą, cicho wysunęła się z pokoju.

Pełka który się i takiego przyjęcia nie spodziewał, niezmiernie był w duszy rad, że mu ono do domu państwa pisarzostwa drzwi otworzyć może.

Pac nie podobał mu się chłodem i sztywnością wielkiego pana; nic w nim nie było szlacheckiego, polskiego niewiele, wyglądał na cudzoziemca, lecz był to człowiek widocznie łagodny i pan siebie, a w towarzystwie znośny...

Niewielu ze szlachty jak Sobieskiemu, udawało się mimo zachowania cudzoziemskiego na pół, pozostać na wskroś starą naturą ową szlachecką, trochę butną, czasem do zbytku otworzystą, ale poczciwą i serdeczną.

W Pacu wszystko stało zamknięte na siedm pieczęci. Znać było, że się pilnował, aby mu kto za głęboko w serce nie zajrzał. Przywitanie z żoną przekonało Pełkę, że byli z sobą bardzo na zimno, a inaczéj téż być nie mogło z naturami dwiema tak przeciwnemi sobie i tak mało harmonizujacemi... Oboje nawzajem musieli się niecierpliwić...

Jadwiga po chwili powróciła ustrojona w perły, które wprzódy trzymała w ręku — z takiemiż samemi kolcami u uszek i ozdobą perłową na białém czole zakończoną błyszczącą perłą, w któréj Pełka poznał tę, która niegdyś przy jego balsamce wisiała.

Pani pisarzowa widocznie była strojną w odwiedziny, kolebka stała u ganku, Pełka więc powstał, aby ich pożegnać a pan pisarz wyprowadza-

jąc go do progu, mruknął coś niezrozumiałego o zaszczyceniu jego domu i t. p.

Pełka się skłonił nizko, bo potrzebował tego pozwolenia, aby jeszcze Jadwigę zobaczyć, która mu przy rozstaniu uśmiechnęła się tajemniczo, misternie, stanąwszy za mężem tak, aby tego pożegnania zazdrosny Pac widzieć nie mógł...

Dosiadłszy konia, choć dzień był mroźny, rycerz nasz tak potrzebował być sam z sobą, aby się napawać rozkoszą rozmowy, wspomnieniami cudnie pięknéj pani swych myśli, iż wyjechał za miasto konia i siebie nużąc wyścigiem po polu i górach... Było w tém coś odrodzonéj fantazyi młodzieńczéj, którą Pełka czuł się na chwilę szczęśliwym. Bujał tak po świeżym śniegu dobrą godzinę... unikając z ludźmi spotkania...

Trzeba było wszakże w końcu do domu powracać. Tam czekali nań Kryszkowski i Rożański, którzy się tymczasem zabawiali doskonale opowiadaniami, przesadzając się jeden nad drugiego w fantazyach... Szczególniéj Kryszkowski nabrawszy humoru, słuchając samego siebie (bo się zwykł był upajać swą wymową) — niestworzone rzeczy prawił. Rożańskiemu téż na szlacheckiéj swadzie nie zbywało. Gdy Pełka wszedł, zastał ich tak z siebie szczęśliwych a wesołych, jak mu ich się widzieć nie zdarzyło. Naturalnie, przebrawszy przedmioty do gawędy, wpadli obaj na przybyłego, z którego byli zwykli prześmiewać się z powodu wier-

néj jego miłości dla téj pani, która już pomijając go trzeciemu ślubowała.

— Otoż jest nasz kawaler! zawołał Rożański — a no! mówże, jak cię jejmość przyjęła? czyś choć rękę dostał do pocałowania?

— Widać zaraz z czoła, że mu się coś dobrze powiodło i że męża nie zastał, dodał Kryszkowski. Teraz napiwszy się owych nektarów z jéj oczu, na jakie kilka lat do sytu mieć będzie.

— Żartujcie zdrowi! odezwał się Pełka poważnie — znać, że żaden z was poczciwie kochać jak ja nie potrafiłby.

— Nie, tak jak ty, miły Pełko — rzekł Wacek — tak jak ty, żaden z nas! To rzecz pewna... Znają twoje dzieje wszyscy, więc nie ma co się z niemi taić. Mogłeś ją przecie mieć, bo ci dosyć sprzyjała, odwagi tylko brakło. Zawsześ się ubiedz dał...

— A no! a no! odparł Pełka. Gdy dziewczynką była, od matki jéj kraść nie byłbym śmiał... Gdy po wojewodzie owdowiała, przybyłem, a tu mi matka figla spłatała i z przed nosa ją wzięła...

— No — a za trzecim razem? dodał Rożański.

— Toć gwałtu trzeba było dokonać, z matką ją poróżnić, wykradać... Nie chciałem szczęścia mojego zawdzięczać choćby chwilowo zadanemu jéj gwałtowi... Cóż chcecie! los... przeznaczenie...

— Ależ waszmość jesteś ostatni z rodu! bodaj już Janinów Pełków zabraknie — rzekł Kryszkow-

ski... i dla téj miłości dasz wygasnąć poczciwemu imieniowi? Toć się to nie godzi! Waszmości trzeba ożenić się gwałtem...

— Trudno — odparł Pełka — a w dodatku, jam jéj wierność poprzysiągł...

— Któréj ona waszmości nie dochowała...

— Bo mi jéj nie przyrzekała — rzekł Pełka żywo, — a gdyby to i uczyniła, nie władała sobą, nie była wolną nigdy! Nie mam do niéj żalu i pretensyi mieć nie mogę... Dajcie mi waszmość pokój...

Rożański ramionami ruszył.

— Szkoda człowieka — odezwał się — zmarnuje się...

— Nie ze wszystkiem — bronił się Pełka — boć przecie wojskowo służę i na coś się przydam.

— Ale zimą Sobieski na Turków nie pociągnie, potém téż w maju elekcya, nie ma co tymczasem robić — dodał Rożański; jedź ze mną na wieś w Krakowskie... Mięsopust przepędzisz wesoło... na post, choćbyś sobie do Lwowa powrócił...

Pełka nie odpowiedział nic — a wtém Kryszkowski wyrwał się:

— Dalipan, z nim to i jabym jechać gotów...

— W to mi graj! jedźmy wszyscy... zawołał Rożański... Co ty Pełko na to?

— Nic, tylko tyle, że na hetmana czekam, i bez niego się nie ruszę...

— Tylko co go nie widać — dokończył Kryszkowski.

— A jeśli myślicie, że mnie tam która z waszych dziewek upoluje... mówił Pełka — to się mylicie mocno...

W tém Kryszkowski palnął się po łysinie i śmiać począł.

— Co on prawi o hetmanie! on się ztąd nie ruszy, póki pani pisarzowa tu będzie.

Zarumienił się Pełka i zmilczał. Żartowali zeń długo jeszcze, a w końcu tyle potrafili, że gdy sam został i Gabryk go rozebrał, a na skórze łosiowéj legł do snu... począł jakoś inaczéj o sobie myśleć. Zdawało mu się w istocie, iż życia było szkoda, ze czekać na to, aby mu trzeci mąż się ustąpił... śmiesznie było... że zresztą Jadwiga cale mu nie płaciła za jego przywiązanie... albo przynajmniéj monetą bardzo lekką. Lecz gdy sobie potém wspomniał jéj twarzyczkę, szczebiotanie, wdzięk, głos... załamywał ręce.

— Cóż, kiedy mi w życiu żadna nie podobała się krom niéj? a gdy o niéj myślę, drżę cały!

Do północy tak przewracając się, stękając, ważąc co robić — oka zmrużyć nie mógł... Nazajutrz, gdy wstał zaledwie Różański z drugiéj izby wpadł, oznajmując, że hetman albo już przybył, lub tego jeszcze dnia będzie.

Zatém co najspieszniéj na konie obaj siedli, spiesząc przeciwko tryumfatorowi. A tu się téż całe

miasto sypało, aby go widzieć i witać. Hetmanowa dniem wprzódy wyjechała była na spotkanie.

Właśnie na trakt się dostali wśród ogromnéj ciżby zalegającéj ulice, rycerstwa konnego, kolebek, pieszego mieszczaństwa, ludu wreszcie mnogiego okrywającego nawet dachy domostw... gdy we dzwony uderzono i moździerze... Magistrat i mieszczaństwo, cechy z chorągwiami, duchowieństwo, wszystko się sypało przeciwko hetmanowi, ciekawe oglądać go i z serca pragnące zawołać: Vivat redemptor noster! Już naówczas hetmański dwór z królewskim mógł iść o lepszą, i choć z wojny jechał Sobieski, miał z sobą dosyć ludzi i koni i taboru, by wystąpić jak na pierwszego Rrzeczypospolitéj dygnitarza przystało... Było tam więc na co patrzeć, na dworzan, czeladź w barwie, pacholików, hajduków, masztalerzy, konie powodne pod dywdykami, wozy ładowne, kolebki i rycerstwo otaczające. Sobieski był naówczas w saméj jeszcze sile wieku, nim mu późniéj przybyła otyłość w ciele postaci odjęła, dorodnéj postawy, budowy silnéj, piersi szerokich, twarzy pełnéj, rysów regularnych i pięknych, oblicza jakby śmiejącego się i powagą a zarazem dobrocią i prostotą tchnącego.

Nie był téż pan hetman na strój obojętny, i ubrać się umiał wspaniale a smakownie i bogato. I nie poskąpił tego dnia aksamitnéj delii z sobolami spiętéj klamrą drogiemi kamieniami sadzoną,

ani kołpaka z kitą i osadą bogatą, ani szabli złocistéj, koniowi rzędu kapiącego od złota.

Koń téż pod nim był turek, szedł jak z partesów z szyją wyciągniętą, nogami gdyby do tańca przebierając. Niesiono przed nim buńczuk, a buława, którą trzymał na ramieniu, cała rubinami jak kroplami krwi świeciła.

Tuż kolebka szła, z któréj twarz pięknéj Marysieńki, z bratem swym kawalerem d'Arquien jadącéj, wyglądała wielce wdzięczna i uśmiechnięta. A jakże nią nie miała być dnia tego, gdy najodleglejsze ziemie Rzeczypospolitéj przez posłów swych przychodziły zbawcy dziękować!

Widok to był zaprawdę wspaniały, a dziwny tém, że wśród żałoby po królu zapomnianéj, obudzał taką radość. Prowadzono tedy jakby w tryumfie Sobieskiego, który zdawał się owo zbiegowisko przyjmować wcale ani zeń dumny, ani zdziwiony.

Zbliżyć się w téj chwili do pana hetmana nie było sposobu, tak, że Pełka i myśli téj nie miał. Téj tylko pociechy dostąpił, że mu Sobieski się uśmiechnął z dala głową kiwnąwszy, a stojąca w kolebce pani pisarzowa do drzwiczek jéj go przywołała.

Skoczył tedy co rychléj ku niéj.

A była tego dnia wypiękniona i strojna, bo chciała swym zwyczajem, aby oczy na siebie zwróciła. I nie brakło jéj wielbicieli a ciekawych, dopytujących się coby za jedna była? Pan pisarz

mąż jéj wreszcie z innymi konno musiał wystąpić dla powitania hetmana, tak, że w kolebce sama była piękna Jadwiga. Nie mogła się téż powstydzić Pełki, jako assystenta, bo się na ten dzień przystroił jak mógł i umiał najpiękniéj, przewidując, iż się swéj pani pokaże.

Zbroję więc wdział od parady złocistą łuskową, koszulę najcieńszą, misiurkę najśliczniejszéj roboty z piórem, a szabla, a siodło, a czaprak i hetmanowiby przystały.

Lamparcia skóra spływała mu z ramion spięta pazurami złotemi. Zwracała oczy wszystkich i postawa męzka, i twarz jeszcze piękna, i smutek, który na niéj nosił.

— Jakże mi mój rycerz dziś pieknie wygląda! śmiejąc się i wychylając zawołała piękna. — Otóż tak to lubię widzieć mężczyznę... A mój pan pisarz, w długim płaszczu i kapeluszu z piórami... aż nieboszczyka króla przpomina...

— Widziałaś pani hetmana, na tego to dopiero miło spojrzeć! zawołał Pełka — wyglądał jak starożytny bohater, jak Germanikus w tryumfie wiodący podbitych Allemanów... Nawet nie brakło niewiernych, bo ich za nim dosyć pędzono...

Jadwiga która snadź mało tu jeszcze miała w orszaku takich rycerzy, a tego dnia nikogo sobie nie mogła oderwać, aby jéj towarzyszył, przykazała Pełce, żeby się od kolebki nie oddalał i do domu ją przeprowadził. Można sobie wystawić,

z jaką radością rozkaz ten spełnił pan Medard — a że rozmowy prowadzić wśród wrzawy było niepodobna, oczyma tylko uwielbienie swe wyrażał.

Pani pisarzowa bałamuciła go i czarowała, jak tylko umiała...

Naostatek, gdy cały pochód przeciągnął, a tłum się rozpływać zaczął, kazano kolebce jechać do domu, a u boku jéj ruszył na straży Pełka...

Gdy do dworku przybyli trudnoż go tak było odprawić. Chociaż nie było pana pisarza, zaproszono, aby spoczął nieco. To nadzwyczajne szczęście rozradowało tak Pełkę, iż jak pijany na pokoje wszedł, całując rączki białe pani pisarzowéj.

I w istocie był upojony, że się nie czuł panem siebie.

Sam na sam z królową swych myśli — stanął przed nią wryty... oczaroway... a ona się śmiała radośnie...

— Oto tak, to lubię mojego rycerza! odezwała się... Ile to lat kochasz się już we mnie, a zawsze jak pierwszych dni umiesz waszmość kochać młodo i gorąco!

— Ale sam jeden kocham! zawołał Pełka, bo mi pani ledwie miłosierdziem płacisz...

Jadwiga pokręciła główką misternie.

— Wiesz waszmość co? szepnęła — gdybym ja choć troszeczkę okazała wam coś więcéj, toby tu jego miłość zagasła!

— Nie znasz mnie pani pisarzowa dobrodziejka —

krzyknął Pełka w piersi się uderzając: w jéj mocyby było uczynić ze mnie cobyś zapragnęła... Urósłbym w olbrzyma...

Znowu popatrzała nań zalotnica, upajając go do reszty...

— Ale na cóż się to zdało? — zawołała — na co się to zdało? mam męża! jestem zaprzysiężoną jego niewolnicą... cóż waszmości po miłości mojéj?...

Pełce zachmurzyła sią twarz... oczy spuścił...

— Mnie się zdaje, rzekł stłumionym głosem, że gdyby nawet pana pisarza na świecie nie było— a nas tylko wolnych dwoje — jeszczebym do szczęścia dostąpić nie mógł. Taka już dola moja... Byłby wybrany kto inny...

Pisarzowa przeglądała się w zwierciedle gdy to mówił, i jakby sama do siebie odezwała się:

— Fryzura mi się całkiem popsuła! Potém zwróciła się do niego...

— Powiem wam szczerze, odezwała się — ot — może masz słuszność... bo gdybyś się waszmość ze mną ożenił, jużbyś mnie tak nie kochał... Możebym ja się znudziła z wami, bo ja się wszystkiem nudzę, a możebyś waszmość zbrzydził mnie, gdybym mu ciągle była na oczach. Ot — i szkodaby było téj rycerskiéj miłości waszéj, któréj drugiego w całéj Rzeczypospolitéj nie ma przykładu...

Wszyscy to mówią — dodała z uśmiechem... mnie i was pokazują palcami...

— Smutnaż to rzecz — odezwał się Pełka — taka sława, gdy szczęścia nie ma...

Na te wyrazy wszedł pan pisarz wracający z przyjęcia, mierząc dosyć posępném wejrzeniem rycerza, który mu się snadź już wydał pono za częstym gościem...

Pisarzowa zapragnęła to wytłómaczyć.

— Prosiłam, rzekła, pana Pełki, aby mi towarzyszył, boście mnie wszyscy opuścili dla tego Sobieskiego. Śliczna rzecz przy kolebce nie mieć nikogo i żadnéj attencyi. Chciałam sią téż bliżéj przypatrzyć rycerzowi, bo przyznam się, że ten strój wolę niż wasz, choć mówicie, że tak pół świata chodzi...

Pisarz nie chcąc być niegrzecznym, zmilczał...

— Bardzo mi przykro, szepnął po chwili — żem nie miał szczęścia pani pisarzowéj dobrodziejce się podobać — ale na to rady nie ma...

— Przejrzyjże się w zwierciedle, żeś podobniejszy do komedyanta niż do mężczyzny, do żołnierza — a ja — nie taję się, że tylko rycerzy lubię!

Pac poczynał się coraz mocniéj chmurzyć, lecz trzymał na wodzy.

— Szkoda, żeś waćpani nie wybrała sobie jednego z nich za małżonka...

— Zapewne, że szkoda! śmiejąc się zawołała Jadwiga — ale nie ma co żałować czego nie można przerobić!

Pełka stał jak na żarzących węglach, nie dobrze wiedząc co począć z sobą...

Pisarz oparłszy rękę o stół, na który rzucił kapelusz, rozglądał się po pokoju. Jadwiga po nim chodziła, Medard misiurkę trzymał i patrzał na aksamitne dno, jakby w niem co czytał.

Wcale niezręcznie Pac starał się rozmowę odwrócić. Uśmiechnął się szydersko.

— Nieprawdaż, rzekł, iż waszmość musisz sobie w duchu winszować, iż mu Bóg małżonki nie dał?... Takiemi to nas słodyczami karmią drogie połowice nasze!

Medard oczy podniósł zaiskrzone.

— Mnie się zdaje, odparł — że na wielkie szczęście nie żal téż trochę przykrości przypłacić... boć to nie co innego jak trefny żart pani pisarzowéj.

— O! bardzo przepraszam — przerwała, odwracając się cała zapłomieniona Jadwiga — ja nie żartuję nigdy.

— Słyszysz waszmość? rzekł pisarz.

— Affektu, gdy go nie masz, nie kłamię, dodała Jadwiga.

— A gdy go waćpani uczujesz, nie taisz! odezwał się Pac.

— Zapewne, że tak jest...

— I w tym razie... nie utaiłaś go waćpani dla pana Pełki — dodał unosząc się nieco pisarz, —

któremu tego winszuję.... Przecież jako mąż radować się nie mogę.

— Panie pisarzu — począł skłopotany nad wyraz Pełka, — zaprawdę zadaleko idziemy...

— Tak daleko — rzekł Pac — iż dalipan sam nie wiem na czém się to skończyć może.

Jadwiga z boku się im przypatrywała, i znać było, że ją ta niespodziana scena zajęła mocno... Pac stał mitygując się, lecz podraźniony widocznie i cały drżący; Pełka nie ustępował, lękając się żonę mu na pastwę zostawić.

— Jam tu pono wszystkiego tego nieporozumienia przyczyną, odezwał się po namyśle — jedynym więc końcem, gdy państwa pisarzostwa pożegnam i usunę się...

— Nie idź pan! rozkazująco zawołała Jadwiga, któréj téż krew do twarzy się rzuciła — nie pozwalam!

Pac się odwrócił zdziwiony, ale milczący.

— A gdybym ja był przeciwnego zdania — odezwał się — cóżby tu tedy pięknemu rycerzowi zostawało do wyboru?

Pełce serce bić zaczęło i ręce drżeć.

— Nie spodziewam się, zawołał, abyś pan pisarz chciał mnie stawić w tak przykréj sytuacyi, bo posłuszeństwo płci pięknéj nakazują prawa rycerskie.

— Ale i gospodarz w domu ma téż pono jakieś...

— Gościnności! odrzekł Pełka ukłonem...

— Dopóki jéj kto nie nadużyje! zawołał pisarz.

— Czym to uczynił? przerwał Pełka...

Zamilkli... Jadwiga chodziła żywo po jednéj stronie pokoju i zdawała się namyślać. Pac ciągle wsparty o stolik, nogę założył na nogę, wziął się w bok i dawał czekać, by go Pełka pożegnał. Ten stał posłuszny rozkazowi...

Potrwało to chwilę tylko. Położenie zbyt było nieznośne, aby się przedłużyć mogło.

— Pani pisarzowa pozwoli mi się oddalić — cicho wyjąknął Pełka.

— Nie! odwracając się wybuchnęła Jadwiga — dla tego nie — że pan pisarz tego żądać się zdaje... Czyni on mi na przekór całe życie wszystko, nie mogę mu ustąpić... taką monetą płacę, jaką mi dają...

Pac śmiać się począł. Śmiech to był straszny, dokuczliwy, suchy, dojmujący, zwiastun gniewu, który się wydobyć nie śmiał teraz, a miał może wkrótce wybuchnąć. Wziął się oburącz pod boki i śmiechem coraz głośniejszym przerażał Pełkę i żonę... Nagle zbliżył się do stojącego rycerza i zawołał:

— Otoż to jest szczęście domowe! to nasza dola... to błogosławieństwo małżeństwa skojarzonego pod najszczęśliwszemi wróżby! Patrz waćpan i winszuj sobie, żeś nie dostąpił tego losu... któ-

ryby spotkał tak dobrze rycerza jak waszmość, równie jak mnie prostego człeka... Spójrz waszmość na tę twarz anielskich rysów, na ten uśmieszek dziecięcy... na tę słodyczą tchnące usta i szczęście obiecujące oczy... Wszystko to tak cudnie wygląda, aby człowieka zaprowadziło... gdzie ja dziś stoję...

— Waćpan jesteś — nikczemny! zawołała w gniewie pisarzowa... Idź sobie, Pełko — dodała — abyś tych bluźnierstw nie słuchał...

Jak szalony wybiegł Medard... i z przedsieni usłyszał krzyk i zwadę... od których rad był uciec co prędzéj.

*
* *

Nazajutrz Pełka, od którego się nikt słowa tego dnia dopytać nie mógł, bo chodził posępny jak noc, lub stał w oknie zamarzłém, przez które nic widzieć nie było można, odział się z rana bardzo skromnie i oznajmił pytającemu go Rożańskiemu, iż do hetmana iść musi.

Jakoż pieszo zaraz wyruszył, a że tam między dworem miał dobrych przyjaciół i znajomych, łatwy znalazł przystęp, choć ludzi od rana był tłok na pokojach... Sobieski wyszedł doń z promieniejącą twarzą... i rękę mu podał... Trzeba było do kolan się pochylić wedle obyczaju...

— No, cóż ty mój Janino porabiasz? zawołał

śmiejąc się — rychło w pole znowu razem pójdziemy?

Pełka westchnął.

— Kościomby spoczynku potrzeba, rzekł z cicha — właśniem szedł do pana hetmana o uwolnienie prosić...

— Póki wiosna nie przyjdzie, jedźcie do domu... Nic przeciw temu nie mam... ale mi powracajcie, bo takich niewielu jest jak waszmość, a będą potrzebni.

— Na siłach coś i na zdrowiu szwankuję — ozwał się Pełka pomięszany; niewiele ze mnie będzie pociechy...

— Hypochondryi dostałeś czy co? śmiejąc się rzekł hetman — jedźże się lekarza poradź, niech ci wątrobę oczyści i powracaj...

Nadchodzący mówić już więcéj nie dali; Pełka się wyniósł zadumany, żegnając dworzan hetmańskich. Wyszedłszy w ulicę, pobłądził trochę i do kościoła wszedł. Poklęknął w ławce, modlił się długo... na rękach głowę położył, myślał summował, aż jakby go co dźwignęło powstał i pobiegł do domu.

Nikogo tam nie było, bo i Rożański i Kryszkowski w świat już poszli, szukając sobie kompanii. Pełka zawołał Gabryka... Stanął wierny sługa, patrząc w oczy panu, a zobaczywszy go posępnym, strwożył się.

— Słuchaj Gabryk, odezwał się do niego po

cichu Medard... zrób tak, jak ci powiem... Zabieraj wóz i konie, i co tam jest... zostaw mi podróżną opończę jaką taką, jednego konia... no... nic więcéj — i ruszaj do domu...

Gabryk zdziwiony milczał.

— A pana kiedy się tam spodziewać mamy? rzekł po chwili.

— Mnie? zmieszany począł Pełka — nie wiem... Wasza rzecz w Gołczwi siedzieć do dalszych rozkazów...

— A no... chciał począć Gabryk...

— A no — ani słowa już więcéj. Ładujcie wóz, zabieraj ludzi i konie, i żebyś mi dziś był w drodze...

Gabryk stał niespokojny...

— Słyszałeś, dodał Pełka — znasz mnie, że ja długo mówić nie lubię. Gdyby mnie doczekać się było ci ciężko... a znudziło ci się... Laskowski ci grunt da i dworek — żeń się i żyj zdrów...

Rzucił mu się do kolan Gabryk niemal płacząc.

— Co pan myślisz! na miłosierdzie boże! jeszcze przedemną, wiernym sługą, nigdy tajemnic nie było! Paneńku, źle wam z oczu patrzy...

Pełka się odwrócił.

— Mój Gabryk — rzekł — nie ciągniéj ze mnie czego ci zwierzyć nie mogę. Jedź z Bogiem... Ani słowa nikomu, gdyby cię pytano. Do Gołczwi jedźcie, Laskowskiemu listy oddacie, i pani siostrze...

Mimo nalegań sługi nie powiedział mu już nic

więcéj. Poszedł z nim tylko zaraz do izby gdzie rzeczy złożone były, wybrał odzież najprostszą, konia kazał zostawić jednego i to nie najpokaźniejszego, siodło podróżne, rząd rzemienny prosty, szablę w czarnych pochwach... sakwy małe... a nalegał tak na odjazd Gabryka, iż mu nie dał spokoju, aż go z podwórza odjeżdżającym zobaczył... przeżegnał go krzyżem świętym i do izby powrócił...

Tu chodząc a bijąc się od ściany do ściany, bo była niewielka, czekać się zdawał na towarzyszów. Ale i wieczór, i noc nadeszła, a Rożańskiego z Kryszkowskim nie było. Lwów pełny szlachty, posłów, urzędników, wojskowych, kipiał i wyrwać się było trudno znajomym a braciom bez liku. Przyszli już późno, obaj pod hełmem, weseli, śpiewając, pod ręce się trzymając, a zobaczywszy Pełkę, który izbę mierzył chmurny, padli nań ze staremi drwinami.

— Cóżeś to waszmość u pani pisarzowéj dworował, że go nigdzie widać nie było? — wołał Rożański.

I śmieli się — on milczał.

— Com robił, to już moja rzecz — odezwał się. — A no! wam, dobrzy przyjaciele, nie zostaje pono nic, jak tylko spać się położyć, aby jutro rzeźwymi wstać...

To mówiąc, wziął Rożańskiego oburącz, objął i począł w twarz całować, jakby go żegnał... aż

Wacek się zdumiał... Lecz że podochocony był, oddał mu uścisk z nawiązką i na tém się skończyło... Toż samo z Kryszkowskim uczyniwszy, wyszedł.

Gdy sami zostali, dopiero Rożański zadumany rzekł:

— Coś mnie ten Pełka nie cieszy! już to bieda, kiedy człowiek się zanurzy dla baby... rozum pewnie postrada...

Kryszkowski, który miał zawsze *ad rem* coś do opowiadania, począł zaraz historyę o niejakim Zakrzewskim, który rozmiłowawszy się w pannie Rolance, majętności dla niéj wszystkie i rozum w końcu postradał. Lecz nim opowiadanie dokończył, już Rożański chrapał, co słysząc i Kryszkowski, przeżegnawszy się, spać położył.

Po traktamentach tych nie dziw, iż nazajutrz wstali obaj późno, a Rożański ledwie się ocknąwszy, dla niesmaku w ustach o kwaśne ogórki wołać zaczął...

Wbiegło pacholę jego, chłopak bardzo rozgarniony, a może i na swój wiek do zbytku... z uśmechem na ustach. Wiedział on, że się bez ogórków z rana nie obejdzie, i niósł je już a razem i wódkę na tacy, Kryszkowski właśnie oczy przecierał.

— To szatan nie chłopiec — zawołał przeżegnawszy się — wszak ci to już wiedział czego nam najbardziéj potrzeba.

Pełka stał w izbie obok, poczęli tedy obaj chórem wołać:

— Bywaj na ogórki! bywaj!

A tu chłopak głową trzęsie i śmiać się począł.

— Gdzie jest pan Pełka? rzekł wreszcie.

— A no? czy wyszedł już?

— Jeszcze wczoraj z wieczoru wyjechał.

— Co ci w głowie? krzyknął Rożański przestraszony, w koszuli wyskoczywszy i drzwi otwierając do drugiéj izby, w któréj już nic nie było oprócz tapczana, stołu i stołka...

— Cóż się stało? wołał Kryszkowski... Pełki nie ma?

— Nie ma!...

Gdzie się podział? Wołania tedy, pytania, gwar, lament... Chłopiec nie mógł do słowa przyjść, aż w ostatku dali mu się wygadać.

— Jeszcze wczoraj się wybrali, rzekł, najprzód dwór, i Gabryka, i konie wyprawiwszy. Gdy panowie wrócili do domu, jeden tylko koń stał okulbaczony... reszty już nie było...

— A czemużeś nie gadał? zakrzyknął Rożański.

Chłopak się spuszczając oczy uśmiechnął, nie chciał przypominać snadź, że wczoraj do kogo gadać nie było.

Sądny dzień stał się z powodu téj jakiéjś ucieczki Pełki, dobadywania, domysły, narzekania, co się z nim stało. Zwalono oczywiście wszystko na panią pisarzową, że nieboraka o fiksacyę jakąś wyprawić musiała... Tego jéj Rożański darować nie mógł.

Kryszkowski odziawszy się pobiegł na dwór do hetmana, gdzie się tyle tylko dowiedział, że wczoraj Pełka się z nim pożegnał... Najwięcéj dawała do myślenia to, iż nie mówiąc nikomu o celu podróży, z nienacka i jakby go co nagle kolnęło, wyrwał się w świat.

Struło to tak Rożańskiemu pobyt we Lwowie, iż chociaż tu miał przyjaciół wielu i zabawić się mógł dobrze, począł się téż wybierać. A że to był człowiek serdeczny, zamiast do domu, pojechał wprost do Gołczwi. Chciał bowiem koniecznie Pełkę wyrwać z tych amorów niezdrowych, jak je nazywał, a choćby gwałtem ożenić, bo to być miało według niego już jedyne i ostatnie lekarstwo.

— Jeżeli to nie pomoże, mówił — chyba nic.

Nie dojechawszy jednak do Gołczwi, dowiedział się już po drodze Rożański, iż tam Pełki wcale nie było, że ludzi, konie i rzeczy odesławszy, sam zniknął jak w wodę wpadł.

Zamiast więc do Gołczwi nadaremnie jechać, zwrócił do Laskowskich, aby tam języka dostać, bo słyszał, że listy były. Szwagier go przyjął sercem całém i ugościł — ale od niego i od siostry niewiele się téż było można dowiedzieć. Oboje oni utyskiwali wielce na tę nieszczęśliwą passyę, która Pełce życie zatruła i zwichnęła. Siostra szczególniéj we łzach się rozpływając mówiła o tém. Pokazali téż listy przywiezione przez Gabryka do nich obojga pisane. Nie było w nich nic oprócz

bardzo tkliwego pożegnania i smutnych słów. Szwagra upraszał, aby nad majątkiem opiekę miał, a rozrządzał wszystkiém jakby własném.

— „Jednemu Bogu wiadomo, pisał w końcu, jak i kiedy do waszmościów powrócę, a nawet czyli wrócę kiedy. Tego ja dziś sam nie wiem, ale chorym się czuję, a na chorobę ciężką i wielkiego lekarstwa szukać należy.“

Chorobę, o któréj wspomniał, rozumieli wszyscy, lecz lekarstwa nikt odgadnąć nie umiał... Wiedzieli, że już raz się tak w świat puścił, a potém go przez lat z górą dziesięć nie było — lecz wówczas nie lekarstwa szukał, ale bogactwa, w które mu podczaszyna ufać kazała, że ono cudów dokazuje. Teraz je miał, a na nic mu się nie zdało.

Różne więc były domysły — Laskowski sądził, że jako człowiek wojskowy, znowu kędyś wojny szukał, choć trudno było przypuścić dokądby po nią kryjomo szedł, kiedy mógł ją znaleźć łatwo nie tając się wcale. Rożański nie wiedział już nawet, coby mógł o tém sądzić.

Wszyscy przyjaciele Pełki boleli na tym jego szałem, bo tego inaczéj nazwać nie umieli, a winę składali na tę nieszczęsną pisarzową.

Dowiadywano się téż z tego powodu i o nią, co się z nią działo... bo byli i tacy, co przypuszczali, że się do niéj może chciał przybliżyć. Mówiono powszechnie, iż pożycie państwa Pacowstwa

nieszczególne było, że oboje sobie wcale wielkiéj miłości nie okazywali. W kilka miesięcy po bytności we Lwowie, pojechała, pono się męża nie pytając o pozwolenie, pisarzowa do matki, gdzie czas jakiś zabawiła... Ztamtąd do własnych się dóbr wybrała i rozkazawszy sobie rezydencyę sandomierską cale opuszczoną wyporządzić, w niéj zamieszkała.

Mówiono, że mąż tam kilka razy do niéj przyjeżdżał i po dni kilkanaście bawił, usiłując ją namówić do domu — na co się nie zgodziła...

I tak to osobliwsze małżeństwo niezerwane rozeszło się, każdy w swoją stronę, bo pan Pac do dawnéj protektorki powrócił, a pisarzowa dwór osobny sobie sztyftować zaczęła...

Krewni Pacowscy, którym to było bardzo boleśnie, a najwiącéj im szło o to, aby złośliwe języki na sławie nie szarpały młodéj jeszcze kobiety — jeździli z kolei namawiać i przepraszać, a wracali z niczém. Stara kiedyś podczaszyna, teraz pani podkomorzyna Cyrulska, z namowy ich pojechała téż, aby córkę nawrócić, lecz i to nie pomogło, że zaś i jéj w domu z mężem gburem wcale było nie smaku, siadła przy córce.

Więc się dwór po myśli obu urządził, a choć same były, otworzył się dla gości, którzy tam radzi bywali... Nikt wszakże nic złego powiedzieć nie mógł na panią pisarzową, bo choć ludzi i kompanie lubiała, wysoko patrzała i przystępu do siebie nie dawała nikomu. A gdy się kto ośmielony

nieco zadaleko puścił w amorach, wnet odprawę brał taką, że już nie miał po co powracać.

Wprzód jeszcze nim matka przybyła na rezydencyę do pisarzowéj, snadź na coś jéj potrzebnym być musiał Pełka (może, aby ją od natręctwa mężowskiego zasłonił) — bo posyłała aż do Gołczwi, nakazując doń, żeby się do niéj do Przyborowa stawił. Przywieziono wiadomość, że ani w domu, ani między przyjacioły nie wiedział nikt kędy się Pełka obracał i w jaki sposób zniknął bez wieści.

Zgryzła się tém i zniecierpliwiła pisarzowa, posyłała jeszcze raz, zaufanym ludziom śledzić i dowiadywać się kazała, nic to nie pomogło.

Płynęły tak lata. Król Jan obrany został, rycerswo prawie z konia nie zsiadało dla Turka. Szczęściło się orężowi i Rzeczpospolita trochę odetchnęła, bo ją było komu piersią zasłonić.

Nierychło przyszło do koronacyi — czekał na nią, król, czekała więcéj może królowa, przeciw któréj koronowaniu odzywały się różne głosy, a byli i tacy, co go dopuścić nie chcieli — czekały zwłoki dwóch królów, bo się i Janowi Kazimierzowi na wygnaniu zmarło, a ciało jego i Michała leżało bez pogrzebu. Sobieski chciał zarobić szablą na tę koronę, którą miał włożyć na skronie. Nieustannie stało wojsko na granicach, a ten, który już elektem był i panem się zwał, w nędznych chatach na wspól z żołnierzem zimy spędzał lub razem z nim,

jak prosty szlachcic, zapominając, że wodzem był, upędzał się za niewiernymi.

I nie było téż innego środka utrzymania zmęczonéj szlachty na koniach i w ciągłéj wojnie, tylko z nią razem zażywając tego samego niewczasu, głodu i chłodu, dając przykład na sobie jak się kraju bronić powinno. Zarobił téż Sobieski na tak wielką miłość u rycerstwa, iż z nim i za nim szło nie licząc nieprzyjaciela, nie pytając czy w dziesięćkroć liczniejszym był, bo wiedziało, iż go znał, a zawsze wiedział jak sobie począć.

A była w tradycyi tego rodu walka z pogany, i Jan jeszcze za młodu do Stambułu i do krajów tureckich z Markiem jeździł, aby się ludzi tych uczył, a nauczył się ich języka i obyczaju, i natury, i charakteru, że wiedział jak zażyć, czém straszyć, jak pokonać.

Wyprawiano nań tych, co największéj sławy nabyli i z męztwa słynęli, żaden mu nie sprostał. Z małą rycerstwa garścią szedł, a w rękach mu rosła, bo był wodzem takim, że i serca dodawał, i męztwa użyć umiał. Naostatek już mu się korona dla skroni należała, o którąby może sam nie dbał, ale pięknéj Marysieńce, co się już była z królów francuzkich wywieść potrafiła, chodziło o nią wielce, i nastawała na wodza, aby się z nim wspólnie na Wawelu w dyademie pokazać. A umiała co chciała dokazać. Na dzień 2gi lutego, więc w dzień imienia Maryi, naznaczono koronacyę (1676). Gru-

chnęła o tém wiadomość po kraju całym, a kto tylko mógł, chciało mu się tam być i widzieć, czego mało czyim oczom dano oglądać — dwa pogrzeby królewskie i nowego pana uwieńczenie.

Na wsi pobytem znudzona pani pisarzowa, gdy jéj o tém znać dano, zerwała się, oświadczając, iż na koronacyi musi być. Ani się matka temu mogła sprzeciwić, bo sama była równie ciekawa.

Jakoś około świąt Bożego Narodzenia, które *Godami* naówczas zwano — zaczęły się przygotowania. Pisarzowa znajdowała, iż jéj tyle rzeczy brakło, iżby się wcale na tak wielkim świecie pokazać jak należało nie mogła. A że do Krakowa już zatém jechać nie było co myśleć, bo tam ludzi zawczasu było pełno, a z Warszawą dla męża, który tam przebywał, rozbrat uczynić musiała Jadwiga, więc do Lwowa pod tę nową wyprawę jechać postanowiono.

Cały arkusz papieru był zapisany tém wszystkiém, czego nieodzownie jejmość potrzebowała. Były tam i forboty, i bramowania, i atłasy, i aksamity, i wszelkie białogłowskie ochędóztwo, wedle ówczesnéj mody. Chciała pisarzowa tak się pokazać i wystąpić, aby oczy obrócić i wielbicieli za sobą ciągnąć, bo bez nich żyć nie mogła. Podczaszyna już się była wyleczyła wiekiem z téj zalotności, którą córce ze krwią oddała, i skłaniała się więcéj ku dewocyi, stając się pobożniejszą coraz, Jadwiga zaś światu wcale nie chciała tak rychło dać za wy-

graną, choć trzydzieści i kilka lat miała w metryce. Wyglądała mimo to piękną bardzo i prawie niezmienioną, od czasu jak się z mężem rozstała... Nie miała utrapień żadnych, strzegła się płaczu, który oczy psuje; gniewu, który płeć ciemną czyni; zbytniego wzruszenia, który twarz wykrzywia... i tak szczęśliwie wdzięki zachowując, mogła się pochlubić, iżby jéj dwudziestu pięciu lat nie dał, ktoby dawniéj nie znał i nie wiedział, jakich już losów doznawała.

Sanną w tym roku Pan Bóg pobłogosławił taką, iż się można było śmiało w dłuższą puścić podróż nie oglądając na koła.

Drugiego dnia świąt wyjechały obie panie z Przyborowa, przodem komornik jejmości z otrokami i jako stanowniczy, aby gospody były po drodze opatrzone... Przebyły więc tę drogę ani się spostrzegłszy, ani niewygody doświadczywszy. Pani expodczaszyna, która się chętniéj tym tytułem zwała, niż nowém swém nazwiskiem, wybierając się do Lwowa, zamówiła sobie dworek u panów Żeleńskich, z którymi miała znajomość — aby nie potrzebować gospody. Stanęły więc wygodnie i zaraz nazajutrz zabierały się do sklepów, gdy starsza jéjmość, która teraz była bardzo pobożna, namówiła córkę, ażeby rozpocząć dawnym obyczajem od kościoła, i zawiozła ją do Bernardynów.

Godzina była poranna, osób mało, cisza... i spokój... msza święta właśnie wychodzić miała u bo-

cznego ołtarza Śgo Antoniego, do którego podczaszynu miała wielkie nabożeństwo. Zakrystyan zapalił świece, a braciszek bernardyńsbi wyszedł niosąc ampułki i przechodził kościół powoli, gdy stukaniem trepek jego o posadzkę obudzona Jadwiga podniosła oczy...

Zaledwie spojrzała nań, wstrzęsła się cała, na pół chwyciła z ławki, jakby wstać chciała, i z ust jéj wyrwał się wykrzyk stłumiony. Głos ten doszedł snadź uszu idącego z ampułkami braciszka, gdyż i on obejrzał się obłąkanym wzrokiem, zobaczył Jadwigę, zachwiał się i tacka z ampułkami na posadzkę upadła.

W tym laiku bernardyńskim z ogoloną głową odzianym grubym habitem, pani Jadwiga poznała, nie wierząc oczom swoim, Medarda Pełkę. On także snadź przerażony z razu jéj widokiem, zawstydzony potém wrażeniem, jakie uczyniła na nim, zbierał teraz potłuczone szkła szczątki i drżąc odnosił je do zakrystyi co najspieszniéj, poczém się już nie ukazał.

Pani ex-podczaszyna miała téż czas poznać Pełkę, i dziwne jakieś uczucie nią owładło... zarumieniła się, zacisnęła dłonie, spojrzały na siebie z córką...

Pisarzowa siedziała z brwiami ściągniętemi, na wpół gniewna, wpół zamyślona, nie mogąc ani książki otworzyć, ani się modlić. W miejscu braciszka,

zakrystyan wyniósł ampułki do ołtarza, zasygnowano i ksiądz wyszedł ze mszą.

Czyli się obie panie modlić mogły i jak, tego powiedzieć nie umiemy. Czytana msza nie trwała długo... Pomodliwszy się chwilę jeszcze, Jadwiga zdawała się się namyślać i walczyć z sobą, i nim ją matka powstrzymać mogła, wstawszy skierowała się wprost do zakrzstyi. Ex-podczaszyna zdziwiona tą determinacyą córki, nie miała czasu temu zapobiedz.

Jadwiga wsunęła się żywo do zakrystyi, w któréj ksiądz tylko co ze mszy powracający, klęczał modląc się, a drugi się właśnie do ołtarza ubierał... Oprócz zakrystyana nikogo tu więcéj nie było.

Do niego więc zwróciła się przybyła pani, prosząc o widzenie się z braciszkiem, którego przed chwilą spostrzegła w kościele. Zakrystyan milcząco przyjął prośbę i datek, który ją popierał, i ostatecznie uczynił uwagę — iż trzeba było iść do parlatorium i prosić o pozwolenie u ks. gwardyana. Śmiała pisarzowa nie dała się tém zrazić, i kazała prowadzić po za klauzurą do wskazanego jéj miejsca. Zakrystyan, na którego mocno nalegała obiecując mu nagrodę, pospieszył, kazał na siebie czekać dosyć długo, i wrócił zmieszany z odpowiedzią, iż w téj chwili... niepodobna było znaleźć owego braciszka.

Pisarzowa usiadła na ławce i prosiła o ks. gwardyana.

Po dobrym kwadransie oczekiwania, wszedł ksiądz pięknéj postawy, słusznego wzrostu, poważny, i zbliżył się do pani pisarzowéj, pytając, czegoby sobie życzyła?

— Ojcze gwardyanie — żywo poczęła pisarzowa — chcę widzieć laika, którego w kościele przechodzącego zobaczyłam... jest to dawny sąsiad nasz, znajomy, człowiek, dla którego mam obowiązki... muszę go widzieć koniecznie.

Przez jakiś czas milczał ks. gwardyan, niby odpowiedzi szukając...

— Przebaczycie mi, rzekł w końcu — ale muszę odpowiedzieć jako mnich... i z kapłańską szczerością. Ludzie, którzy w tych murach szukają spokoju i przychodzą poświęcić się służbie bożéj — nie rozrządzają sobą. Uczą się oni posłuszeństwa — nie wolno im nikogo widzieć, z nikim mówić, dopóki zwierzchność nie dozwoli...

— Więc ks. gwardyana o pozwolenie proszę... poprawiła się pisarzowa.

Ksiądz spojrzał na ożywioną i niecierpliwą kobietę i spytał poważnie:

— A nie zakłócicież mu spokoju? zważcie! Przypominać świat temu co go chce porzucić — nie jestże to utrudnić mu wyrzeczenie się jego? Odżyją dawne sentymenta... żale, i cierpieć musi. Nie lepiéjżeby wam wyrzec się przyjemności małéj, a jemu oszczędzić bolu wielkiego?...

— A! nie sądzę — przerwała Jadwiga, żeby widzenie się ze starą znajomą...

Nie dokończyła, gdy gwardyan ukłoniwszy się z lekka odszedł... i po kilku minutach powrócił.

— W téj chwili, rzekł — niepodobieństwem jest, aby przyszedł, bo go wysłano na miasto... niepodobieństwo... bardzo żałuję...

O. gwardyan był mocno zmieszany, pisarzowa gniewna, z oczu jéj to było można wyczytać.

— Ks. gwardyanie, odezwała się — gdyby od poważnéj osoby duchownéj obrazić co mogło, czułabym się taką odprawą dotknięta mocno.

— A więc otwarcie acani dobrodziejce powiedzieć muszę, odezwał się gwardyan, iż osoba żądana sama sobie nie życzy tego...

To mówiąc, z lekka ruszył ramionami.

— Raczże mu powiedzieć mój ojcze — przerwała pisarzowa: iż ta, która się z nim widzieć życzy... ma obowiązek koniecznie mówić z nim, i od tego nie odstąpi...

Z kolei O. gwardyan był prawie oburzony taką natrętnością, zawahał się czy ma iść z tém poselstwem, spojrzał na panią pisarzową... która nienawykła do tego, aby się jéj sprzeciwiano, poruszała się na ławce niespokojna.

— Przecież szatanem kusicielem nie jestem! zawołała — a to pięknie! żeby też nie chciał wynijść do mnie! to nie może być...

Tych słów domawiała, gdy przez drzwi, które-

mi gwardyan chciał wyjść, wsunął się nagle wzruszony i jakby panem siebie nie będąc Pełka...

Okrutnie zmieniony, wychudły, blady, zachował dawną piękność rysów twarzy szlachetnych, lecz pobyt w klasztorze, walka wewnętrzna, którą odbywał — cierpienia ducha, uczyniły go innym człowiekiem. Coś pozostało z rycerza pod habitem, ale znikła owa butaszlachecka; szedł jakby zgnieciony suknią, którą dźwigał... na wpół obłąkany, z załamanemi rękami... kilka kroków posunął się naprzód i stanął.

Jadwiga wstała i podbiegła ku niemu, jakby się lękała, ażeby jéj nie uciekł. Stojący obok gwardyan, który był świadkiem rozmowy, znikł jéj z oczu.

— Co się wam stało? zawołała — co to jest? waćpan oszalałeś chyba! wam, wam do klasztoru iść? cóż to? czyście kogo zabili?

— Nie pani pisarzowo, odparł spuszczając oczy Pełka: nie zabiłem nikogo od tego czasu, jakem drugiego jéj męża zgładził ze świata... ale we mnie zabiłaś waćpani wiarę we wszystkie ludzkie sentymenta... i wszelką nadzieję... Nie było co na świecie robić...

Westchnął.

— Chciałem spróbować, czy tu nie znajdę spokoju!

— Aleć waćpan mnie przysiągł, a ja się domagam, abyś był rycerzem moim do zgonu i nie zwal-

niam go z przysięgi. Dałeś mi waszmość słowo! poczęła pisarzowa.

Pełka zdziwiony na nią patrzał.

— Ja waćpana potrzebuję, a waszmość jeseś nie swój, ale mój! dodała nogą uderzając o posadzkę.

Gwardyanowi wydawało się to tak jakoś niezrozumiałém i nieprzyzwoitém, iż postąpił naprzód parę kroków...

— Za pozwoleniem, odezwał się — wstępując do nowicyatu, zaręczyłeś nam, że jesteś wolny, żeś nie ślubował...

Pełka był zmieszany mocno.

— Ojcze gwardyanie — rzekł cicho — pozwólcie mi dokończyć rozmowy z panią pisarzową... wytłómaczę się z tego...

Piękna Jadwiga mówić już nawet nie chciała, taki ją gniew ogarniał.

— Co się waszmości stało? wołała. Do klasztoru! wam! a to skończenie świata! Piękny z was mnich będzie... Samże się rozmyśl... to jeszcze szczęście, żem ja przypadkiem go zobaczyła, ażeby wyrwać ztąd... Ani klasztor dla was, ani wy dla niego! Zrzućcie mi zaraz ten habit...

— Ale moja mościa dobrodziejko — wtrącił gwardyan — to niesłychana rzecz... Jakże można człowieka chcieć Panu Bogu odbierać?...

— Panu Bogu on służyć może i we zbroi! przerwała pisarzowa... a mnichem byłby złym,

boby mu nigdy z pamięci i serca nie wyszło przeszłe życie... On do tego niestworzony! ja go znam! grzechemby było go tu zostawiać...

Spojrzała na Pełkę...

— To niedorzeczność! zawołała — zaraz mi waszmość zrzucisz ten habit! Klasztor sobie na jego miejsce braciszka znajdzie... a waszmość jesteś na świecie potrzebny....

Pełka milczał; ile razy chciał się oderwać, coś mu się zdawało krępować usta i spojrzenie na gwardyana onieśmielało. Gwardyan spoglądał chmurno i poruszał się niespokojny...

— To coś niewidzianego, taka scena w klasztorze... bracie Serafinie... Jeśli wam zbawienie wasze miłe — idźcie z tąd... nie słuchajcie... Mieliście dobre natchnienie nie wychodzić, trzeba go było słuchać...

I zwrócił się ku pisarzowéj.

— Co pani czynisz? zawołał wzruszony: na sumieniu mieć go będziesz! A czyż tu się godzi?

— Małabym go na sumieniu, gdyby to został! to właśnie! przerwała pisarzowa. Dla tegom tu przyszła. To nie jest powołanie klasztorne, ale fantazya i bałamuctwo... Coś mu się przyśniło... a gdyby na wojnę zatrąbiono, nie wytrzymałby w murach...

Słuchaj mnie, Pełka — dodała — ja waćpanu dobrze życzę, waszmość jesteś na świecie potrzebny

królowi Jmości, dzieciom siostry, w ostatku mnie, która w nikim obrony nie mam... Ja gonię i szukam was... ja jestem prześladowana... ten człowiek...

Pełka podniósł głowę nagle i oczy mu się zaiskrzyły, począł drżeć... Gwardyan dostrzegłszy to, wziął go za zękę, a pisarzowa położyła swoją na habicie, jakby zamierzała nie puszczać.

— Miły Pełko mój — dodała po chwili — ja nie mam nikogo oprócz was, ja nawet rachowałam...

— Ale cóż ja mogę? zapytał Medard...

— Co? obronić mnie od napaści! Mnie chcą porwać i osadzić w klasztorze... zamknąć... ja umrę... ja z nim żyć nie będę!

Gwardyan był oburzony tak, iż się uniósł.

— A! dosyć tego! krzyknął — to miejsce poświęcone... to klasztor... tuż ściana kościelna... Cóż to jest? oszalałaś waćpani! Gdybyś nie wiem kim była, musisz mi ztąd natychmiast wynijść — dłużéj nie ścierpię tego skandalu...

— Bracie Serfinie — dodał z gniewem... do celi, na kolana i pokutę! natychmiast... krzyżem leżeć...

Pełka stał nieporuszony, pisarzowa téż ustępować nie myślała.

— Bezbożna niewiasto — począł gwardyan — ustąp mi ztąd natychmiast, wzywam, żądam, rozkazuję, jam tu gospodarz...

Ręką począł zmieszany zwierzchnik posuwać Pełkę ku drzwiom, lecz znalazł w nim opór... On stał jak wryty, nie mogąc czy nie chcąc się ruszyć — walcząc jeszcze z sobą.

Podczaszyny oczy się iskrzyły.

— Waćpan natychmiast wyjdziesz za mną, odezwała się do Pełki, nie spoglądając na gwardyana — gwałtem go tu zatrzymać nie mogą przecie... to nie dla was miejsce...

— Miejcie litość nademną — odezwał się Pełka ręce łamiąc — Już mi się dusza uspakajać zaczęła! Po co ciągniecie mnie w świat, w którym nigdy szczęśliwym być nie mogę,

— Waćpaniu się w głowie chyba pomięszało — prędko mówiła pisarzowa... tu także szczęścia się spodziewać nie możesz! Chodź waćpan za mną.

Gwardyan szepnął z cicha:

— Człowiecze — uciekaj... uchódź — nie słuchaj...

Jeszcze krótką chwilę wahał się Pełka, potém nagle westchnienie mu się ciężkie wyrwało z piersi, schylił się gwardyanowi do ręki, którą on mu cofnął, i rzekł zawstydzonym, ledwie dosłyszanym głosem:

— To darmo — ojcze — iść muszę...

Przełożony cofnął się zakrywając oczy... kilka kroków zrobił ku ścianie, i nie odzywając się słowa, upadł na ławę zwyrazem bolu na twarzy...

Pisarzowa patrzała ciągle na Pełkę; obawiała

się snadź, aby się jeszcze nie cofnął. Potém rozmyśliwszy się, przybliżyła i żywo poczęła mu szeptać na ucho... Gradem sypały się słowa, oczy iskrzyły... mówiła i mówiła, i dokończyć nie mogła. Wreszcie nie spojrzawszy już na gwardyana, wymknela się z parlatoryum, szukając drogi do zakrystyi. Tu już zastała matkę, która nie doczekawszy się jéj w kościele, biegła szukać niespokojna... Pisarzowa obawiając się wymówek i rozmowy, pociągnęła ją z sobą z kościoła do kolebki...

Ledwie szła za nią zagniewana matka i zaledwie téż siadłszy do sań, gdy wybuchnęła.

— Szaleństwo cię ogarnęło! krzyknęła — co to było? poszłaś szukać Pełki! Co ci ten Pełka? obcy... Jeszcze on na naszéj drodze... już się kapturem okrył, a ta go jakby na na umyślnie z niego dobywa... oszalała!

Nie słuchała tego prawie pisarzowa — tak była jeszcze przejęta.

— Coś ty zrobiła? coś zrobiła? ciągnęła daléj ex-podczaszyna...

— Zrobiłam com była powinna.... nie chcę, aby w klasztorze się zakopał — nie chcę... To był jeden człowiek, na którego pomoc rachować mogłam; z Pačem lada chwila przyjdzie do rozprawy... ja go potrzebuję, a ten mi śmie iść do nowicyatu! na to nie pozwolę...

Widząc ją tak poruszoną, matka z gniewu zamilkła... Znała oną nadto Jadwigę, ażeby w ta-

kiéj chwili próbować miała ją przekonywać. Zwykle dawała się jéj wyburzyć, nim z wolna zaczęła nawracać. I tym razem ujęła ją tylko za ręke i szepnęła na ucho:

— Jadwisiu... przyjdź do siebie... co ci jest?

Tak przerywanemi słowy odzywając się tylko do siebie, dostały się wreszcie do dworku...

Pełka pozostawszy w parlatoryum, przykląkł przed gwardyanem, pocałował go w rękę i prędko wyszedł do swéj celi. Nie było tu nic do zabrania... odzież, jaką przyniósł z sobą, chcąc być wolnym od pokusy wdziania jéj na powrót, oddać kazał ubogim; musiał więc w starym habicie wynijść z klasztoru i skierował się ku furcie...

Tu go ks. furtyan chciał powstrzymać, snadź z polecenia przełożonego, ale Pełka z lekka rękę jego odepchnął i na ulicę wyszedł. Nie wiedział z razu dokąd się uda, a z tą suknią jaką na sobie miał, nie łatwo było dać radę; nie przypomniał téż sobie nikogo znajomego we Lwowie, dopóki mu na myśl nie przyszedł Kryszkowski, który tu z córką bogatego Ormianina zaswatawszy się, siedział czekając wesela... Do tego więc dopytując przechodzących ludzi wojskowych śpieszył Pełka, lecz w parę dopiero godzin wyszukać go potrafił. Jakiemś szczęściem znalazł go w domu... Na widok Pełki, o którego losie Kryszkowski wcale nie wiedział, choć Pełka o nim wypadkiem posłyszał —

stary wojak mający być teraz młodym mężem, stanął osłupiały.

— A cóż to jest? zawołał — Pełka? ty? Pełka? w habicie? Sądny dzień! co ci! oszalałeś!

Medard ścisnął go za rękę.

— Nic — rzekł, miałem trochę rozumu właśnie, ale mi i tę odebrano — i przybywam do was habit zrzucić. Taka dola — Darmo się przeznaczeniu opierać...

— Ale jakżeś ty go wdział? pytał Kryszkowski, wpadając na tęż myśl co pisarzowa — zabiłeś kogo? czy co? pokutę chciałeś odbywać?

— Słuchaj — przerwał Pełka — jakeś mi druh, nie pytaj, nie gadaj — nie dziwuj się a pomóż... Odzieży mi dasz, póki swojéj mieć nie będę...

— A cóż ze łbem ogolonym zrobisz? rzekł Kryszkowski... Będziesz musiał rekollekcye odbybywać, aż ci włosy odrosną...

Wnet się zakrzątnęli obaj około nieszczęśliwego wywłoki. Kryszkowskiemu tak o to szło, ażeby ludzie o niczém nie wiedzieli, i żeby go nazwiskiem tém nie prześladowano, iż w łóżko mu się kazał kłaść i chorego udawać...

Pełka napisał natychmiast do Jadwigi i chłopca z listem wyprawił.

W godzinę może powrócił z kartką pani pisarzowéj, na któréj stało:

— „Tegom się spodziewała po waścinym rozu-

mie i sercu. Kilka dni zabawimy tutaj z jejmością panią matką — poczém do Krakowa na koronacyę jedziemy, gdzie żebyś waszmość był, choćby bez wąsów, mocno nakazuje — a bądź mi wdzięczen, iż od obrazy Pana Boga wyratowałem go, boś na mnicha stworzonym nie był jako żywo,"

A w przypisku dodała:

„I żeby mi się moja kokarda znalazła, bo jak jéj mi waszmość nie pokażesz, na oczy go widzieć nie chcę."

Drugiego dnia sam Kryszkowski w wielkim sekrecie habit gwardyanowi odniósł.

* * *

Od owéj spalenizny szwedzkiéj i oblężenia, Kraków dziwnie się dźwignął rychło i spanialéj prawie, niżeli był przed nieszczęsnym pożarem.

Kościoły, klasztory, pałace, dwory wstawały z gruzów, odmłodzone świeże, piękniejsze... Wszystkim się to wydawało szczególnym Opatrzności darem, iż stawało ubogim zakonom na gmachy prawie nowe, że na świątynie pańskie nie zabrakło obfitych ofiar, a szlachetka, która pałace i dwory miała, powróciła na popieliska z pośpiechem się znowu budować... Nie było prawie śladu zniszczenia, chociaż liczne po niém wspomnienia zostały i powieści.

Stara stolica miała jeszcze przywiléj ten, iż

tu się zmarli chowali królowie, a obrani koronowali. Kolebką ich była i grobem. Na oba obrzędy odzywał się jeden Zygmuntowski dzwon stary — poważnym jękiem wiekuistéj tęsknoty. Na Jana III czekały tu dwie królewskie trumny: Kazimierzowska przywieziona z Francyi, Michałowa ze Lwowa... Stary obyczaj łączył żałobny obrząd z weselnym, aby nowo uwieńczonemu wieczność przypominał, dla któréj miał pracować...

Zawczasu już zewsząd się zbiegały tłumy dla widzenia wspaniałéj koronacyi królewskiéj, tak długo odwlekanéj. Dawno już Rzeczpospolita nie widziała takiéj wspaniałości, takich dworów, tak pięknego doboru rycerstwa, tak wesołych twarzy i humorów. Po smętném panowaniu Michała, z którym kraj cierpiał rozdwojony, szarpiąc się w sieci intryg poplątanéj, która mu siły odejmowała — teraźniejsze zwiastowało się zwycięztwy i blaskiem...

Sobieski, niedawno szlachcic dobrego rodu, stał o to, aby do korony przyszedł, jak na elekta przystało. Jeszcze za panowania Kazimierza dwór jego był niemal najświetniejszym z pańskich dworów; okazałości téj wymagała piękna Marysieńka, chociaż oszczędność przy niéj zalecała, lubiał ją Sobieski, zmuszał do niéj wysoki stopień, jaki zajmował w Rzeczypospolitéj. Rosła ona razem ze szczęściem oręża i sławą hetmana, a gdy Jabłonowski postawił go, jako kandydata do tronu, gdy głosy szlachty pozyskał zwycięzca Turków, należało

mu otoczyć się jak najświetniejszym dworem, aby nie przypominać poprzednika, który go nie miał wcale, na którego ubogą wyprawę składać się musiała cała Rzeczpospolita...

Było więc na co patrzeć, gdy Sobieskiego orszak wjeżdżał do Krakowa, z ową liczbą nieskończoną sług, koni, kolebek, wozów i azyatyckim przepychem, jakiego wojna z Turkami uczyła.

Na wszystkiém téż naówczas widać było znamiona zwycięztwa, bo wielu łupami zdobytemi odziewało się rycerstwo na pamiątkę wypraw swoich. Więc szabli krzywych, i siodeł, i rzędów, i buńczuków, i szat, a kaftanów od złota błyszczących, co niemiara się ukazywało. Strój nawet zachwycił coś wschodniego więcéj jeszcze... kołczanów i łubów szytych, i tarczy, i kolczug perskich, a tureckich napatrzeć się było można niezmiernie wiele. Dywdyki na koniach zdarte gdzieś były pod Chocimem... i Trembowlą.

Jedne za drugiemi następowały wjazdy panów, a senatorów i rycerstwa, które przy koronacyi pana otaczać miało. Przesadzali się możni w przepychu i liczbie dworów... Znaczniejszych witało miasto, akademia, cechy — bito we dzwony i lud napełniał ciasne ulice, aby się lepiéj przypatrzyć przodującym państwu mężom wielkich imion i sławy.

Żaden ze wspaniałych orszaków Lubomirskich, Jabłonowskich, Potockich, nie dorównywał wszakże królewskiemu, który zwiększał wybór rycerstwa,

a nawet pobrani w wojnach niewolnicy tureccy, Arabowie, murzyni, wielbłądy i tysiące koni najpiękniejszych naówczas w kraju.

Wśród powszechnego wesela wszakże miał król dwa trudne do rozwiązania węzły, które zadzierzgnął wypadek i zła wola ludzi.

W przededniu koronacyi, pomiędzy prymasem a biskupem krakowskim powstał spór nie o precedencyę, lecz o attrybucye. Obaj oni mieli za sobą różne prejudykata, żaden ustępować nie chciał, i ledwie się udało przejednać dwóch drażliwych o przywileje dostojeństwa prałatów — podziałem między nich obrzędów... pogrzebowych. Trudniejszém zdawało się zapobieżenie, by nieprzyjaciele królowéj, którym koronowanie jéj razem z małżonkiem zdawało się niewłaściwém, nie okazali publicznie swéj niechęci dla niéj. Można się było spodziewać głośnego nawet protestu w kościele, kiedy go Kazimierzowi nie oszczędził ów możny pan, czasu przysięgi uroczystéj we Lwowie na poprawę włościan doli. Musiano zawczasu myśleć, aby nie dać się podnieść głosom i zatruć chwili tryumfu...

Pełka, któremu despotyczna wola pani pisarzowéj naznaczyła Kraków na spotkanie — ledwie miał czas dać znać do Gołczwi Gabrykowi, ażeby z dworem i wozami przybywał. Tu, gdzie już się prawie tak rychłéj wieści nie spodziewano, radość była wielka. I Laskowscy oboje, i poczciwy Gabryk,

który z rozpaczy już się żenić zamyślał, ucieszyli się wiadomością o Medardzie, a wyprawa poszła tak raźnie i prędko, iż nim włosy odrosły na głowie Pełce, miał już znowu przy sobie wiernego sługę, ulubione konie, i wszystko, czego do wystąpienia potrzebował.

Trafiło się, iż do Krakowa przyszło mu wjeżdżać właśnie z królem razem. Sobieski go zdala zobaczył i posłał komornika, aby mu się zaraz stawił.

Pojechał więc Pełka na zamek, pamiętny mu jeszcze z czasów Kazimierza, aby króla powitać. Docisnąć się było trudno, i podwórza a komnaty, cale teraz inaczéj wyglądały. Dobry czas upłynął, nim się Medard posłuchania doczekał. Gdy go król postrzegł, przyszedł z uśmiechem do niego.

— Na miły Bóg! gdzieżeś mi się waszmość zadziewał, że o nim na świecie słychu nie było? Coś robił?

Zarumieniony Pełka, musiał kłamać i powiedział, że chorzał.

— To i na twarzy znać — dodał król — ale przecież siły wróciły?

A tuś mi mój Janino potrzebny — odezwał się do okna go ciągnąc — i położył mu rękę na ramieniu.

Lepszy z waćpana rycerz niżeli dworak, mówił z uśmiechem — a no, krwią połączeni jesteśmy, dla tego się do niego odezwę w delikatnéj sprawie...

Ale o tém potém — dodał rozmyśliwszy się;

tylko mi waszmość z oczu nie schodź i nie oddalaj się.

Przyszedł więc Pełka nazajutrz i następnych dni do króla z rana. Najprzód go pytał, czyby w pogrzebie nie chciał występować krusząc kopię, miecz lub tarczę, na katafalku. Tego zaszczytu, o który się wielu dobijało, odmówił Pełka, bo mu o popis i rozgłos nie chodziło wcale. Trzeciego dnia wreszcie rzekł król wzdychając:

— Janino mój — nieprzyjaciół mam i zazdrosnych — gardziłbym nimi, gdyby o mnie szło, lecz na królowę Jejmość się zasadzili, bo wiedzą, że tém mi dojedliby najmocniéj. Grożą mi, że w kościele na głos koronowaniu zaprzeczą, zaprotestują i nie dopuszczą... Nie ustąpimy przed postrachem ani ja, ani ona — lecz sromu dla domu trzeba uniknąć. Któż mi w kościele utrzyma ład, aby nie dać burdy zrobić?...

Ja na waści rachuję dodał król.

Namyślał się Pełka, nie bardzo siebie będąc pewien, lecz odmówić panu nie było można. Litość brała patrząc na niepokój jego!

Już się to zaczynało układać, jakby w kościele ustawić dozorców przy tych, coby śmieli oznaki dawać nieukontentowania — gdy Pełka, któremu przypadła część w dozorze... dowiedział się o przybyciu pani pisarzowéj.

Posłała doń natychmiast, szukając po całém

mieście, bo się dowiedziała, że pan pisarz był także w Krakowie.

Jako Pac, należał on do tych, co najwięcéj sarkali przeciwko Sobieskiemu, naśladując hetmana litewskiego, który dobosza powiesić kazał za to, że rozkazu króla usłuchał, nie czekając, aby go hetman potwierdził. Zrazu próbował zgody Pac i przypochlebiał się elektowi; gdy to nie szło, wrócił się do swojego obozu i z Pacami okóniem stawał przeciw Sobieskim.

Zbiegały się tu dwa dziwne urzędy, jakie przychodziło spełniać Pełce: król mu pana pisarza i jego stronnictwa kazał pilnować, a jéjmość téż zaklinała, aby go miał na oku, lękając się jakiéjś napaści.

Sam temu podołać nie mógł Pełka, bo szpiegować niemal należało pana pisarza, a on się doń zbliżyć nawet nie miał powodu ani zręczności.

Jadwiga trzy razy na dzień dawała znać o jakichś z ulicy chwyconych plotkach, że ją siłą chce mąż porwać i wywieść gdzieś na wieś, do zamku jakiegoś na Litwie, to, że ją osadzi w klasztorze. Król ze swéj strony instrukcye dawał i przytomności wymagał, tak, że się rozerwać było trudno, a odmówić niepodobna.

Przyszedł tedy na myśl Pełce ów usłużny a wielce zręczny Lejbuś, który mu niegdyś w wyprawie na Szląsk towarzyszył. Rzadko się dawniéj szlachcic obszedł bez żyda. Słano tedy Gabryka na wzwiady, czyby Lejby owego znaleźć kędy nie mo-

żna. Drugiego dnia zjawił się — *quantum mutatus ab illo!* poważny kupiec, okrągły już, wybielały, w żupanie atłasowym, w czapce aksamitnéj, z laską wysoką w ręku, w którym zwinnego pomocnika swego ledwie mógł poznać Pełka.

Z przekupnia był to dziś kupiec bogaty i hurtownym handlem zajęty. Z wielką radością trzęsąc czapeczką swą aksamitną i kłaniając się do ziemi, przywitał swojego pana... Zaczęły się wzajemne rozpytywania i opowiadania... Lejbuś miał ośmioro dzieci pełnych nadziei. Jeden z synów kształcił się już na rabina, drugi miał do handlu powołanie, córka starsza była zamężną. Mimowolnie westchnął Pełka, przypominając ubiegłe lata, których żywą metryką był ów Lejbuś.

— Miałem myśl, rzekł Pełka, prosić was o jedną usługę, ale widzę, że mi się jéj pono teraz podjąć nie zechcesz...

— Dla czego? spytał żyd usta wykrzywiając dziwnie — dla czego? Po staréj znajomości usłużę w czém mogę, a można mi powiedzieć co trzeba... pewno nie zdradzę...

Westchnąwszy, począł mu się skarżyć Pełka na frasunek, jaki miał z pisarzem. Słuchał Lejba uważnie.

— To jest delikatna sprawa, bo tu trzeba być z tym panem dobrze i jego zdradzić dla jegomości — rzekł żyd...

Trudne to nie jest, bo nasi panowie co w sercu mają, z tém się wygadają, łatwo nieproszeni — ale —delikatne! delikatne! mówił zamyślając się Lejba. Ja tam przystęp znajdę przez towary... przez drugich ludzi... ale...

Nie chciał się narażać widocznie Lejba, nie przyrzekał pomocy, lecz nie odmówił jéj — wziął do namysłu.

Drugiego dnia przyszedł sam. Od niego dowiedział się Pełka, iż w kościele na czas koronacyi istotnie zmowa była, żeby, jeśli jéj przeszkodzić nie będzie można, zatruć ją przynajmniéj jawną oznaką niechęci. Dwa, czy trzy nazwiska wymienił po cichu.

O żonie swéj mało pono myślał pisarz, chociaż się na nią często odgrażał. Dowiedzieć się o jego zamiarach względem niéj, było trudno...

Gdy nadszedł dzień 2go lutego, musiał Pełka zająć takie miejsce w kościele, aby się nieopodal od pana pisarza znajdował, bo on miał jakoby dać znak pierwszy mruczenia i sykania, którém królowéj dokuczyć chciano...

Oprócz Pełki, z pięćdziesięciu dworzan i szlachty królowi przyjaznéj rozstawionych było po kościele całym, aby zatamować znanych z nieprzyjaźnego usposobienia...

Wśród tego obrzędu uroczystego... który się zdawał cały naród łączyć przy tronie... grały skryte namiętności i zemsty pragnienia...

Ukazał się król blady i wzruszony, a obok niego Marya Kazimiera, jak marmur biała, ale z wyrazem energii na twarzy, który jéj piękności dojrzałéj już, szczególny nadawał charakter. Postawę oboje mieli królewską... choć Jan w tym dniu korzył się przed Królem królów na duchu i czuł jego sługą, królowa zaś zwycięztwem wywalczoném, choćby je jeszcze przypłacić miała publiczną obelgą, dumna była, i dumniejsza od małżonka...

W milczeniu stały tłumy ściśnięte pod sklepieniami wawelskiego tumu.

Pełka w całéj zbroi, w lamparciéj skórze, w kolczudze, któréj równą nikt się nie pochwalił, bo na jéj misternych kółkach wypisany był cały psalm Dawidowy... stanął obok pana pisarza. Zmierzyli się tedy oczyma, i pan Pac innego chciał miejsca szukać. Ścisk mu nie dozwolił się oddalić, a Pełka téż bądź co bądź w miarę, jak się posuwać chciał, krok w krok cisnął się za nim.

Prymas rozpoczął modlitwy i oboje królestwo na purpurowych poklękli poduszkach, gdy Pac zmieniwszy wreszcie stanowisko — ujrzał znowu Pełkę obok siebie. Lice mu się zarumieniło;. próbował cofnąć się nieco, i to mu się udało, ale Pełka był tuż.

Naówczas pan pisarz, nie zważając na miejsce święte, ani na chwilę uroczystą, odezwał się z gniewem do niego:

— Szczególna rzecz — to nieproszone towarzy-

stwo... Przestrzegam waszmości, iż mi ono nie czyni przyjemności.

— Ani mnie — zawołał Pełka — lecz zmuszony jestem stać tu, a nikt mi nie wzbroni zająć miejsca, jakie mi się podoba...

— Przepraszam — odezwał się Pac (podnosząc głos, bo księża śpiewać zaczęli) — ja waszmości życzę... obrać sobie inne...

— Jest to tylko jedną więcéj pobudką, abym uczynił to, czego sam chcę, bom słuchać nie zwykł...

— Waszmość mi w kościele chcesz burdę zrobić?

— Nie winienem, bo jéj nie zaczynałem, rzekł Pełka — a no, i tu chybić sobie nie dam.

Pochylił się nieco bliżéj ucha pana Paca, i dodał:

— Sobie — ani nikomu! Rozumie pan pisarz! nikomu!

Spojrzał groźno Pac, ale spotkał wejrzenie równie ostre i gniewne.

— Z kościoła moglibyśmy wynijść z sobą gdzieindziéj — odezwał się pisarz...

— Mam tak nieszczęśliwą rękę, żem już waćpana poprzednika w polu zmuszony był położyć — nie próbowaćby...

Pac zapomiał się z gniewu i chciał rękawiczką trącić Pełkę, ale ten ją odparł ręką chwytając...

Wtém prymas wziął z ołtarza dwie korony...

królowa wstępowała z wolna po stopniach tronu, aby zasiąść po lewéj ręce króla; Pac i jego adherenci, którzy się właśnie na tę chwilę gotowali, poczęli sobie dawać znaki, pisarz zapomniał o Pełce, i oczy, uwagę, całą swą postawę zwrócił ku ołtarzowi i tronem... cichy najprzód szmer dał się słyszeć w kościele, przebiegł po nad głowami tłumu... i zdawał się rosnąć. Pełka położył rękę na ramieniu Pacowi i szepnął mu do ucha:

— Jeśli waszmość ośmielisz się odezwać i dać znak, by ludzie jego mruknęli przeciw królowéj — nie zważając na kościół, usta mu żelazną rękawicą zatulę...

Pac był zmuszony odwrócić się. Niespodziana ta napaść zmieszała go widocznie...

— O umowie dobrze wiem, dodał Pełka, ale nie radzę jéj spełniać... Nikt się tu już odzywać nie ma prawa... Dla tego stoję przy waszmości, abym mu nie dał uczynić krzywdy majestatowi pana naszego...

Szmer i sykanie, które było się rozpoczęło odzywać w różnych stronach kościoła, ustało na chwilę, Pac zdawał się namyślać; rycerska postawa sąsiada wrażała mu obawę... Nie odpowiedział nic, i oczyma osłupiałemi powiódł po kościele, wśród którego rozsypani spiskowi czekali znaku...

Właśnie prymas w rękach niosąc korony, zbliżał się do króla i królowéj, gdy powtórnie szmer i sykanie słyszeć się dało; Pac nie odważył się

mruknąć, gdyż Pełka coraz bliżéj stając, cisnął go sobą i patrzał groźnie... W innych stronach kościoła zapobieżono również odezwaniu się niechętnych. Gdzieniegdzie nieśmiałe syczenie ozwało się i umilkło natychmiast stłumione.

Obrząd koronacyjny się kończył. Zamierzony objaw przeciw Maryi Kazimierze spełzł na niczém. Pac stał milczący, namyślając się i czując, że spór z Pełką nie może się skończyć bez spotkania... wiedział, że mu rycerski człowiek podniesienia i dotknięcia rękawicą darować nie może...

Właśnie sklepienia rozlegały się rozpoczętém *Te Deum,* gdy pisarz zwrócił się do obojętnie już i nieco daléj stojącego Pełki...

— Czekam przyjaciół waćpana... rzekł — aby się umówić o czas i miejsce...

— Nie potrzebujemy ich — odparł Pełka. Jutro rano w lesie bielańskim na was czekam...

Poczém odwrócił się i nie zważał już na Paca, który do swoich przeszedłszy, stał pomięszany przez ciąg dalszy obrzędu.

Z kościoła wprost Pełka pojechał do pani pisarzowéj. Matka, która go nie cierpiała, nie mogła teraz sprzeciwić się już córce i wymódz na niéj, aby go nie przyjmowała; okazywała mu tylko niechęć swoją w ten sposób, iż nigdy się nie pokazywała, gdy przybywał, a córkę starała się jak najgorzéj dlań usposobić.

I teraz cofnęła się do swojego pokoju, a Jadwigę zostawiła samą.

Pełka chmurny i znękany wsunął się na próg i stanął patrząc na piękną panią, która w stroju, jaki miała w kościele, okryta klejnotami, wyświeżona, z pogodném czołem — przeglądała się właśnie w zwierciedle lubując sobą.

Ujrzawszy Pełkę, uśmiechnęła mu się, nie zmieniając postawy i poprawiając tylko trochę poplątanych włosów...

— Jak mnie znajdujesz? szepnęła nie witając się — mów — otwarcie...

— Tak zawsze, cudnie piękną, zachwycającą, czarodziejską — rzekł Pełka wzdychając, ale od was należy jak od prawdziwéj czarownicy uciekać... Cóż z piękności waszéj ludziom? oczom pociecha — sercom męczarnia! Cóż z téj piękności, kiedy ona wam służy tylko... a dla drugich nieszczęściem jest?

Pisarzowa jakby nie słyszała wcale, uśmiechając się, ciągnęła daléj:

— Waćpan mnie nie widziałeś w kościele? Siedziałam około pani koniuszynéj, a z drugiéj strony miałam księżniczkę Radziwiłłównę... Koniuszyna młoda, ale wygląda jak purchawka, a księżniczka ma nos, któryby i staremu kasztelanowi wystarczył... Pomiędzy niemi dwiema było mi doskonale... Wszystkich oczy zwracały się na mnie... tylko na mnie, z dołu, z boków, z góry... łapano

mój wzrok po drodze, zapominano o królowéj — a ja śmiałam się w duchu. Ten młodziuchny, śliczny książę francuzki, który jest podobno lub mianuje się kuzynem królowéj, odkąd margrabianka d'Arquien nią została — cały był zatopiony we mnie... Słowem tryumfowałam...

Pełka węschnął.

— I to pani pisarzowéj starczy do szczęścia? zapytał zimno.

— A czegoż kobieta wymagać może więcéj nad to, by była uwielbiana? rzekła Jadwiga.

— Zawsze być uwielbianą, a saméj nie kochać nigdy?

Pisarzowa z uwagą wpatrywała się w koronkę swoich rękawów, ruszyła ramionami ślicznemi, które wiek trochę zaokrąglił, nie odejmując im posągowych kształtów.

— Zaczynasz być nudnym — rzekła zimno.

— Spojrzała też pani w kościele na swego męża, bom właśnie miał nieprzyjemność być przy nim?

Wielkiemi oczyma popatrzała na mówiącego piękna pani.

— Ani was, ani pisarza nie widziałam...

— Musiałem się w kościele z nim skłócić — odezwał się Pełka.

— O mnie? o mnie? żywo pochwyciła Jadwiga.

— Niestety! jeszcze nie — chociaż to na jedno

wychodzi — rzekł Medard. Mam dziwne szczęście, będę się musiał znowu potykać z drugim mężem pani!

I rozśmiał się sucho a smutno.

Jadwiga przystąpiła doń żywo, składając ręce jak do modlitwy.

— Czyż to może być? Będziecie się potykali? Waćpan z nim? Mój Boże! i waćpan go zabijesz?...

Na to naiwne pytanie Pełka odpowiedział półuśmiechem.

— Albo on mnie — dokończył.

— A! to jużbym wolała, żebyś mnie od niego uwolnił, boby mi was było szkoda.

Skłonił się Pełka.

— Przypuśćmy, dodał, żeś pani pisarzowa wolna... cóż daléj?

Jadwiga spuściła główkę, wzrok jéj zwolna podnosił się na Pełkę, jakby go chciała zbadać. Zawahała się i nieśmiała pono powiedzieć całéj swéj myśli.

— Nie mówmy o tém — szepnęła — to się nie godzi... Jedno tylko wiem, że wasby mi bardzo żal było, gdybyś miał nawet być draśnięty... Mówię prawdę — pan jeden, choć czasem nudny bywasz, kochasz mnie szczerze i wytrwale, i jesteś mi wierny, na was rachować mogę... żalby mi was było i źle bez was.

Nie były to bardzo czułe wyrazy, a jednak pier-

wszy raz w życiu z jéj ust usłyszane, uczyniły na Pełce takie wrażenie, że już nic więcéj nie pragnął. Przykląkł na jedno kolano przed nią, podała mu rękę do pocałowania... wstał pijany...

Jadwiga zamyślona małemi krokami przechadzała się po pokoju.

— Ale mówże mi, jak do kłótni z panem pisarzem przyszło? w kościele? czyż to podobna?

— Wiedziałem od dawna, że przeciwko koronacyi królowéj był spisek nknuty. Musiałem go pilnować, zagrozić mu, i zmusiłem go do milczenia.

— Słyszałem mruczenie... ale ono prędko ustało... przerwała Jadwiga. Mówże mi, mów, jak to było? on wyzwał was na rękę? wy jego? Będziecie się więc bili?

— Musimy, bośmy oba się starli na słowa... Pisarz mi darować tego nie może, ani ja jemu... Jutro się spotkamy.

— Jutro...

Jadwiga uderzyła się w czoło rączką i wybiegła do drugiego pokoju, ażeby ważną tą nowiną podzielić się z matką.

Pełka stał. Na stoliku leżały woniejące rękawiczki pięknéj pani, tylko co z rączek jéj zdjęte, zachowujące jeszcze cień kształtów, które okrywały.. Ze czcią i drżeniem bałwochwalcy przybliżył się do nich wzdychając... wziął jedną z nich z wolna i chciał ją do ust przyłożyć... W środku coś za-

szeleściało i wypadła mała papieru karteczka... Był to słodki bilecik czyjś, po drodze złapany gdzieś zręcznie w tłumie. Pełka zbladł. Nie śmiał ani nań spojrzeć, ani go otwierać, lecz rękawiczka wypadła mu z palców i bilet położywszy na niéj na widoku, sam się od stołu oddalił.

Słychać już było powracającą Jadwigę, która biegła z pośpiechem, szeleszcząc ciężką swą suknią jedwabną. Spojrzała na stół, zobaczyła bilet leżący na rękawiczkach, zachmurzyła się jéj twarz, zwróciła oczy na Pełkę.

— Pewnieś go pan czytał? zawołała.

— Nie... bo cudzych listów nie tykam nigdy, a nie czytając, wiem co zawiera...

— O! bo to się łatwo domyślić! śmiała się pisarzowa, mnąc go w ręku i rzucając do kąta: wszyscy piszą jednakowo, jak gdyby gdzieś z jednéj książki przepisywali... Wystaw pan sobie, że to ten młody... to książątko mnie tak prześladuje swojemi liścikami bez końca! Powiada, że umiera, że bezemnie żyć nie może, prosi o miłosierdzie...

Zaczęła się śmiać, Pełka ponury stał i prawie groźny.

— Cóż wam znowu? śmiać się powinniście ze mną! To dzieciństwo!

Obróciła się na korkach trzewiczków w koło i stając nagle naprzeciw Pełki, zawołała:

— Więc jutro, się bijecie! Na miłość bożą, wracając zaraz, natychmiast daj mi znać! będę cały

dzień chodziła jak opętana! jak szalona... Co się stanie! co się z wami stanie!...

— Będzie co Bóg da — rzekł Pełka, który już dłużéj wytrwać tu nie mógł, i zabierał się wychodzić.

W tém jakby coś sobie przypomniawszy piękna pani rzuciła się broniąc mu wyjścia.

— Zapomniałam, rzekła, dziś na zamku będę, waszmość także... Proszę być stróżem moim... Mówią mi, że pisarz miał myśl w ulicy napaść powóz mój i porwać mnie. Ludzie zbrojni, ale ja na nich się spuścić nie mogę. Choć dziś zapewne nic nie przedsięweźmie, zawsze ostrożność potrzebna. To do was należy...

Wydawszy te rozkazy tonem królowéj, wyszła do matki; Pełka wrócił do domu. O przyjaciół na dzień jutrzejszy nie było mu trudno, znalazł ich tu bardzo wielu, między innymi Wielikańca, który się był z bogatą wdową ożenił i znowu pańsko występował, Rożańskiego, Kryszkowskiego i kilku Lublinian...

Zjawił się tu i ów nieszczęsny Piotrowski, który taką odegrał rolę na elekcyi Michała, lecz znacznie podupadły na fantazyi. Smutny był, małomowny, i najdłuższe rozmowy kończył wszystkie jednakową aryngą, powtarzając z akcentem szczególnym: „Kiep świat“. Poszło mu to w nałóg tak, że mimo miodopłynnéj swady nie prosił go nikt,

aby występował z oracyami, bo i oracye nawet zamykał tém swojém: „Kiep świat — Dixi“.

Miał więc tylko trudność wyboru Pełka, i pojechał zamówić Rożańskiego, jako najwierniejszego z druchów, a Wielikańca jako najdoświadczeńszego z rębaczów. Obaj chętnie przystali, a ostatni się uradował niezmiernie, bo bez siekaniny długo obejść się nie umiał.

Rożański uścisnął Pełkę i rzekł cicho:

— Kochanie moje, Pełko miły, wszystko to dla téj nieszczęsnéj Ewy, twéj kusicielki czynisz. Kiedyż temu koniec będzie? Kiedyż zestarzejesz i rozumu nabierzesz? Plunąłbyś i postarał się sobie o żonę, toby ci to szaleństwo odeszło... To baba bez serca...

Nie słuchając tych uwag, odjechał Medard przygotować się do jutrzejszego spotkania. Zima była ostra, mróz tęgi, śniegu dosyć, i pora nieszczególna do takiéj sprawy. Dla konia i dla człowieka niewygodnie było w mróz i smagający wicher wyjeżdżać, toczyć po zaspach i bić się na gołoledzi, która wszędzie leżała pod niemi od ostatniego tajania.

Konia trzeba było kuć na ostro, broń opatrzyć dobrze, aby nie spaliła. Cały wieczór zeszedł na gawędzie i przygotowaniach. A że do dnia wyjeżdżać mieli miejsce opatrzyć na Bielanach, Wielikaniec i Rożański z zamku powróciwszy, nocowali

na gospodzie u Pełki. Było jeszcze kilku i nie uszło na sucho, lecz nikt nad miarę nie wypił.

Gdy się na brzask zbierać zaczęło, mróz wziął większy, i dzień wróżył się pogodny. Przeżegnawszy się tedy, ruszyli ku Bielanom w milczeniu. Pomimo nocnéj biesiady nikt jakoś wesoły nie był, wszyscy ciężkie serca mieli. Medard jechał posępny, bo mu się koń parę razy pomimo ostrego okucia potknął, a naówczas uważano to za złą wróżbę. Wielikaniec ziewał i żegnał się, Rożański nie dospawszy, na siodle drzémał.

Tak dobili się do lasu, gdzie między dwiema górami w zaciszu miejsce się wybrało dobre i niezbyt śniegiem zasypane, gołoledzi téż nie było, tylko mięki grunt, liśćmi pokryty.

Na drodze postawiono czaty, aby przejeżdżającym wskazały, gdzie na nich oczekiwano.

W pół godziny może ukazał się orszak pana pisarza, który dla inparycyi szlachcicowi wziął z sobą kniazia Ogińskiego i Kołłupajłę, Radziwiłłów dworaka, człeka wielce poważanego, który i szablą i językiem zarówno dzielnie władał, a pokaźny był, że za senatora go zdala wziął, kto nie znał.

Na placu już, gdy się powitano, nie było rozmowy żadnéj ku zgodzie, bo nikt nie sądził, aby się do niéj ichmość oba skłonili.

Pisarz, iż w cudzoziemskim stroju chadzał, szabli nie miał, tylko zamiast szpady, mieczyk prosty nie do rzeczy, na który ramionami ruszając, śmieli się

Wielikaniec i Różański. Za to pistoletami doskonałemi, na oko nawet rzadkiéj piękności, przeciwnika przechodził, który miał tureckie sadzone to prawda, lecz nie tak misternie wyrobione do celnego strzału.

Rozstąpili się tedy najprzód na dobrą staję i na dany znak poczęli jechać przeciwko sobie. Po Pacu, gdy się do pistoletu wziął, zaraz poznać było można, iż choć strój nosił ladajaki i pludry ze wstążkami, ale z bronią się znał bardzo dobrze...

Strzelać było wolno każdemu wedle upodobania. Trzymając się na celu jechali tak długo, z oka się wzajemnie nie spuszczając... Pełka pierwszy wypalił i pióra z kapelusza pana Paca posypały się, a tuż i ów strzelił...

Oba chcieli zaraz za drugie chwycić pistolety, gdy Pełka pochylił się, w tył chybnął, i z konia padać począł. Dopiero zobaczyli przyjaciele, że ranny był, i zaczęli krzyczéć: — Stój! stój.

Ano Pac mierzył nie bacząc i drugi raz do już słaniającego się wypalił, a jeszcze mu bezbronnemu płaszcz przebił kulą.

Byłby może z zajadłości wielkiéj znęcał się bardziéj jeszcze, bo się do mieczyka rwał, gdy Wielikaniec krzyknął, że mu w łeb wypali, jeśli się ruszy.

Wszczęła się kłótnia straszna, gdyż w pomoc Pacowi przypadli Ogiński i Kołłupajło; z Wielikańcem jednak żartować nie było można, bo i krzy-

czał za dwóch i czterech się nie zląkł. Jedni dowodzili, że obalonego nieprzyjaciela godziło się choćby dobić, drudzy, rycerskiém prawem krew sądzili dostateczną na zmycie urazy...

Pełka tymczasem z konia się zsunąwszy na ziemię, leżał na łokciu sparty. Strzelony był w biodro i kulę miał w sobie, a cierpiał okrutnie. Nie pisnąwszy jednak, w końcu omdlał i na śniegu się położył. Była w pogotowiu kolebka z Gabrykiem... która na uboczu stała.

Wielikaniec spędził w końcu Paca, wyżarłszy się z nim i jego kompanami... i pozostali sami. Różański rozpaczał i ręce łamał, bo krew uchodziła okrutnie, a nie wiedzieli, co czynić było, i nic innego nie zostawało, tylko go do Krakowa wieźć, a szukać lekarza przy akademii, któryby umiał kulę wyjąć i taką ranę opatrzyć.

Na płaszczu zaniesiono do kolébki Medarda, który ocucony kazał ranę zawiązać i choć słabym głosem drugim otuchy dodawał.

Krótka ta droga z Bielan do Krakowa, jadącym noga za nogą, wydała się niezmiernie długą, co chwila téż trzeba się było mijać z tłumami, które to z Krakowa to do Krakowa płynęły. Gabryk pobiegł przodem, aby lekarza znaleźć i co rychléj go przywieźć choćby jeszcze na pole.

Lecz, że to był właśnie dzień téj uroczystości, gdy król na Skałkę szedł świętemu patronowi siebie i państwo oddawać w opiekę, i całe miasto jeszcze

w nieładzie było strasznym, tak, że nikogo w miejscu znaleźć niepodobna było, miał Pełka czas dojechać na gospodę, nim się doktór Ławrycki znalazł, który z chodzenia około ran na owe czasy sławny był. Opowiadano o nim dziwy, jakoby z prostego chłopa na naukę poszedłszy i na trupach rozmaite tajemne czyniąc eksperymenta, do takiéj doszedł doskonałości, iż na człowieka spojrzawszy, wiedział od razu, co się w nim działo. Złém okiem patrzano na niego, z powodu tego świętokradzkiego znęcania się nad ciałami umarłych, czego on się zapierał — pewna jednak rzecz, iż czasu bitew na pobojowiska się wkradał nawet, żeby nieboszczyków dostać i nad nimi te swe odbywać praktyki.

Był to człek niepokaźny, brudny, choć święceń nie miał, noszący się po duchownemu. Ledwie się przywitawszy, do rany poszeł, rozwiązał ją i kuli domacywać się zaczął, mówiąc, że to jest pierwsza rzecz. Siedziała ona z drugiéj strony tak pod samą skórą, że ją ręką mógł poczuć. A tu nie pytając nikogo, ciął, i kula wypadła na ziemię. Dopiero tego dokonawszy, odezwał się, iż kula nic nie naruszyła, bo ją jakaś łaska boska prowadziła między kości i żyły tak, że nic jéj nadwerężyć nie dała.

— Rana, furda, mosanie! rzekł, obmyć ją, zawiązać, a da Bóg zdrowe ciało, za kilka tygodni zarośnie i zgoi się...

Dano worek dukatów doktorowi, aby przychodził opatrywać... a Pełce spoczynek nakazano...

Dopiero Rożańskiemu kazał iść, aby pisarzowéj oznajmił co się stało... czego on zrazu nie bardzo się podejmował, lecz w końcu spełnić musiał przyjaciela żądanie.

Gdy do dworku się zjawił Rożański, znany już pisarzowéj od wyprawy na Branibórz, wybiegła przeciwko niemu bardzo strwożona, ręce łamiąc.

— Gdzie Pełka? co się stało?

Myślał Rożański, iż to z wielkiéj czułości pochodziło, gdy zaraz dokończyła.

— W samą porę dał się zabić, gdy ja się nie mam kim posłużyć!

— Nie zabity, odparł Rożański.

— A czemuż go nie widzę tu?

— Bo ranny i ciężko postrzelony...

Zaczęła się tedy rozpytywać, narzekając na niezręczność Pełki, i na nieszczęście swoje. Rożański miał do niéj żal wielki za Pełkę, chwycił więc tę zręczność, żeby z serca zrzucić, co na niém leżało.

— Jestem zdawna przyjacielem Medarda, rzekł, więc mam prawo odezwać się otwarcie. Ten człowiek przez was ginie, starzeje, marnieje... Ożenić się nie myśli, nie wiedzieć na co czekając; ród na nim poczciwy zejdzie... Niech go waćpani od siebie odpędzi, i z głowy mu niedorzeczne amory wybije...

Pisarzowa odwróciła się gniewnie.

— Toś mi waszmość dobry ze swojemi nauka-

mi! — rzekła — alboż ja mu to każę kochać, albo go téż trzymam przy sobie? a zdaje mi się, że piękniéj dla niego słynąć z takiéj wiernéj miłości, niż na gospodarstwie siąść i na wsi się zakopać z lada szlachcianką!

Rożański osłupiał, skinęła mu głową, musiał iść, i na tém się skończyło.

* * *

Wackowi Rożańskiemu z głowy tego ani z serca nikt wybić nie mógł, żeby przyjaciela nie ratował. Siedział u jego łóżka dzień i noc, starając się nawrócić na lepszą drogę, i na życie rozumniejsze. Padało to zrazu jak groch na ścianę, lecz z wolna jednak na Pełce wrażenie czyniło, powtarzając się codziennie. Z różnych beczek ów przyjaciel argumenta swe czerpał, to z prawa bozkiego, to z ludzkich obyczajów, naostatek z życia pani pisarzowéj, które najlepszych mogło dostarczyć. Bo gdy Pełka jeszcze leżał obwiązany, liżąc się po strzale pisarza, w mieście opowiadali wszyscy, jak Jadwiga książątko owo francuzkie zakochane w niéj bałamuciła szukając z tego chluby, iż mu głowę zawracała. Nie było jéj z tego nic, krom zabawki i zaspokojenia próżności, bo go z dala trzymała i pod oknami tylko wzdychać pozwalała. A że z tego wielkie powstały gawędy na dworze i po mieście, pan Pac choć mężem był tylko *in partibus,*

wziął do serca serenady i bileciki, i do Francuza się przyczepił. Strzelali się tedy z nim i bili modą francuzką na szpady, i pisarz Francuza przekłół na wylot, szczęściem nie śmiertelnie, tylko mu coś w środku popsuł, że potém krwią pluć zaczął, i jechać musiał w cieple się leczyć.

Z tego pani pisarzowa tak była nierada, iż mężowi jeszcze większą zemstę poprzysięgła, a choć się w to wdawały najwyżéj stojące osoby, matrony dostojne, i senatorowie, i biskupi, na oczy go już widzieć nie chciała, powtarzając, że żyć z nim nie może i nie będzie.

Rozwodów w owe czasy nie było jeszcze prawie, i w wielkich tylko a ważnych wypadkach w Rzymie się one otrzymywały, gdy zbawieniu i sumieniu były potrzebne.

Został więc pan Pac ani żonatym, ani wdowcem, ani kawalerem, o ona téż taką samą słomianą niby wdową.

Rozjeżdżali się wszyscy z Krakowa, nagliła expodczaszyna córkę, aby i ona do domu powracała, nie chciała jednak, zwlekając zdaje się dla tego, by doczekała ozdrowienia Pełki i pod jego opieką podróż odbyła. Mówiono bowiem, że mąż na drodze zasadzkę miał uczynić, aby ją przemocą odzyskać.

Rożański znowu arcy-zręcznie się zastawiał, ażeby między pisarzową a rannym Pełką nie dopuścić żadnych stosunków, mając na myśli wywieźć go do siebie, a tam koniecznie zaswatać. Miał i

pannę upatrzoną, i plan osnuty, i Pełkę już był nieco ostudził, tak że mu się zdawało, jakby już blizko poczciwego celu stał.

W ostatku pisarzowa nie mogąc doczekać się czego chciała, gdyż doktora namówiono, aby jéj oznajmił, że Pełka i za pół roku ruszyć się nie będzie mógł, postanowiła do domu jechać, wziąwszy za Anioła Stróża niejakiego Charlęskiego, dzielnego człeka, dobrego żołnierza, ale kobieciarza takiego, że go każda na pasku wodziła, która chciała. Charlęski swoim kosztem dwunastu zaciągnął na tę potrzebę, i przeprowadził do domu pisarzową bezpiecznie, gdyż ich nikt nigdzie nie zaczepił.

Jak tylko się o wyjeździe dowiedział Rożański, nastawał zaraz na przyjaciela, aby z nim do domu jechał, pókiby zupełnie zdrów nie był. Zgodził się Pełka na to, doktór pozwolił, w maście, plastry i wody różne opatrzywszy na drogę... Ruszyli tedy ostatkami sanny, i stanęli na miejscu szczęśliwie.

Rachował na to Wacek, iż przypatrzywszy się domowemu jego pożyciu, które było bardzo zacne i szczęśliwe, wesołym dzieciakom,' dobréj żonie, spokojowi i wczasom, jakich zażywali oboje, poweźmie Pełka ochoty także ich szkosztować. Jakoż można było Rożańskim pozazdrościć ich szczęścia, patrząc na nie. W sąsiedztwie o dwie mile od Rożańskich mieszkał bardzo zamożny szlachcic, a zwał się Kmicicem.

Szlachta to była stara jak kmitowie, i od nich nie gorsza, drudzy powiadali, iż jednego z nimi gwiazda. Achacy Kmicic, mąż był dawniéj rycerski, dziś już podeszlejszego wieku, powagi wielkiéj, uczony téż dosyć, wielki ksiąg miłośnik i zawołany rolnik a gospodarz.

Ożeniwszy się późno z Elżbietą Morską, miał z nią jedną tylko córkę, imieniem także Elźbietę, dla któréj cały się wylał i poświęcił po stracie ukochanéj żony. Wyrosła mu téż Elżusia na śliczne cacko a osobliwszy klejnot, który w ludziach podziwienie obudzał. Była bowiem i piękną, i rorumną i wielkiego serca i miłosierdzia niewiastą. Ona już w domu ojcowskim wszystkiém władała, rządziła, ojcu dopomagając, życie mu słodząc i sama nie pragnąc więcéj nic nad to szczęście, jakiego doznawała. Dom był, do którego ludzie się zbiegali, aby się nań patrząc, uczyć chrześciańskiego życia, cnót i wszelkiego dora.

Rożański sam, że zawsze do niewiast miał słabość wielką, przed panną Flżbietą Kmicicówną padał niemal jak przed świętą, za co go ojciec wojski Kmicic serdecznie kochał. Dwa te dwory były z sobą w przyjaźni wielkiéj a nierozerwanéj, bo i Julia, żona Wacka, ową Elżusię kochała jak siostrę.

Nieraz z panem wojskim rozmawiając i sławiąc przyjaciela Pełkę z urody, z charakteru, z cnoty rycerskiéj, z serca wielkiego, bolał nad jego losem

Wacek, a przychodziło mu na myśl, z czém się nie taił, żeby go z Elżusią swatać i żenić.

Stary pan Achacy śmiał się, głową potrząsał i mawiał:

— Trzebaby zobaczyć... Elżusia, jak wam wiadomo, nie łatwa do wyboru, ja téż jéj musu nie uczynię. Gdyby się sobie wzajem podobali, a czemużbym nie miał dla niéj takiego kawalera pragnąć?

Pełkę jednak ściągnąć było trdno, a powiedzieć mu o pannie nie śmiał Wacek, boby tém całą sprawę popsuł. Ufał w to, że gdy ją zobaczy, pozna, sam się pokocha i o Jadwidze nieszczęsnéj zapomni. Wiózł go więc do siebie nie bez myśli, a stanąwszy w domu szczęliwie, najprzód go w samym dworze wygodnie umieścił, wyniosłszy się dla niego do oficyny. Żona téż, która mężowi zawsze rada była uczynić czego zapragnął, postarała się, aby choremu na niczém nie zbwywało. Ani we własnym domu Pełce lepiéj być nie mogło; wszelako wzdychał i tęsknił. A choć go dzieciaki bawiły szczebiotaniem, i szczęśliwe życie Rożańskich obudzało w nim może pragnienie ożenienia, nie myślał o inném, tylko o owéj Jadwisi, którą się kochać upierał.

W ostatnie dni postu przybywszy tutaj, doczekali tak Wielkiejnocy i wczesnéj wiosny, a tymczasem Pełka chodzić już po trosze zaczynał. Na drugi

dzień świąt zaprosił Rożański wojskiego z córką, gdzie i innéj szlachty się zjechało.

Medard mógł się już ubrać jak należy, a miał podostatkiem w czém wystąpić, i takich sukien, które rzadko gdzie widzieć było, bo się w tém kochał i na to nie żałował. U niego strój każdy dobrany był tak, że od buta począwszy do spinki u koszuli wszystko się z sobą godziło i razem chodzić musiało. Do każdego garnituru była i szabla, i zegarek, i zapinki, i guzy jednako sadzone... Choć się wiele po świecie obracał i nie pierwszéj był młodości, Medard uchował się krzepkim i świeżym. Ostatnia choroba trochę mu rumieńca odjęła, lecz go nie zestarzyła. Znać po nim było, iż burzliwe lata przepłynął, lecz i niejednegoby młodszego przesadził. Rysy twarzy męzkie, szlachetne, regularne, choć smutkiem były obleczone, miały wzrok dobroci, która ku sobie pociaga.

Na ten dzień, że się gości spodziewano i do kościoła miał po raz pierwszy iść Panu Bogu za ocalenie swe dziękować, Pełka się przybrał paradnie. Miał na sobie żupanik z tkaniny perskiéj, w któréj się wszystkie kolory tęczy, i złoto, i srebro, i purpura mieszały na drobną mozaikę przedziwnéj piękności. Na wierzch żupana pas wschodni na tle białém wyrabiany złotem, i kontusz czarny z aksamitu, ze sznurami złotemi.

Ponieważ ponsową barwą gęsto zaprawny był żupan, więc już i guzy i szablę koralem miał sa-

dzone, i buty ze skóry hiszpańskiéj tegoż koloru, i czapkę z kitą ponsową, w złoto oprawną.

W takim stroju gdy wyszedł do kościoła, lekką delię podbitą tumakami, z węgierska skrojoną, na ramiona wziąwszy dla chłodu, którego mu się lekarz wystrzegać kazał, zbiegali się ludzie patrzeć nań.

Takim go pierwszy raz w kościołku zobaczyła Elżusia Kmicicówna, która z wojskiem wprost przybyła na nabożeństwo. Elżusia téż ubrana była bardzo smakownie, bez tych fryzur, jakich naówczas używano, bez francuzkiego wciętego gorseta, obyczajem domowych w jupce aksamitnéj z sobolem i sukni czarnéj atłasowéj, bo kolor ten bardzo lubiła. Była blondynka urodziwa, silna, postawy dziwnie pięknéj, oczu łagodnych niebieskich, włosa złocistego, biała jak alabaster, słowem, królewna. W sąsiedztwie téż nazywano ją królewną żartami, gdyż z wielką zawsze powagą i zabawiała się, i w taniec szła, i swawoliła z rówiennicami.

Choćby sto panien było, nie mogła Elżusia oczu na siebie nie zwrócić — i pan Medard zaraz ją téż spostrzegł w kościele, a równo pewnie zastanowił go ojciec siwy, rumiany i dziwnie piękny, choć stary człowiek... Ten po staroświecku się nosił, zawsze od śmierci żony czarno.

Gdy po nabożeństwie z kościoła się wysypali goście, idąc pieszo ku dworowi, bo dzień był słoneczny i choć chłodny ale piękny, zaraz wziąwszy

pod rękę Pełkę, poprowadził go Rożański poznajomić z gośćmi swymi, nie poczynając jednak od wojskiego.

Gdy koléj na nich przyszła, a szedł wojski sam córkę prowadząc, rzekł gospodarz:

— Szanownemu wojskiemu i pannie Elżbiecie przyprowadzam najlepszego przyjaciela mego, o którym częstokroć im wspominałem, tak jak jemu mówiłem o wojskim i pięknéj córce jego; mam więc nadzieję, iż tu się łatwo i szczęśliwie zawiąże dobra znajomość. Łasce państwa polecam brata.

Panna Elżbieta, nie mówiąc nic, skłoniła się, a wojski powitał go długim i pięknym komplementem. Złożyło się tak, że szli potém z sobą aż do dworu, a czy to dzień wiosenny, czy powrót do zdrowia, czy wesołość ogólna, tak jakoś na Pełkę wpłynęły, że się jak nigdy rozgadał ochoczo i raźnie. Nie zabrakło mu o czém mówić, bo wiele świata widział i ludzi, a gdy chciał, wymowny był i miły.

Podobał się więc i z postawy, i z mowy, i z obejścia skromnego wielce ojcu i córce. Poznajomili się łatwo, snadź nawet piękność panny Elżbiety wrażenie uczyniła na nim, bo z niéj oka nie spuszczał.

Tak szczęśliwy widząc początek, Rożański się już nie wdawał w nic, aby nie popsuł sprawy. Piękna Elżusia wcale nie myślała ani ciągnąć Pełki, ani mu się przypodobywać, dlatego może większy urok dlań miała. Było panien urodziwych, córek

szlacheckich dosyć, a jedna co najgorzéj, pięknością Jadwigę i twarzą przypominająca bardzo, przecież Pełka nie okazał nawet, żeby się na tém poznał. Wesół był, rozmowny, a gdy o swych podróżach począł, wszyscy go w milczeniu słuchali, bo się okazało, że czasu służby cesarskiéj aż do Niderlandów i Hiszpanii się zabłąkał... Przygody mu się téż trafiały dziwne, które pięknie opowiadać umiał...

Rożańskiemu, co go długo widywał smutnym, milczącym i pogrążonym w sobie, wydawał się teraz, jakby go ta choroba odmłodziła i odżywiła, jakby z niéj wstał, z krwią straconą, passyi nieszczęśliwéj zbywszy. Cieszyło go to niewypowiedzianie.

Nie krył się z tém wojski, że mu się bardzo podobał i wydawał statecznym, a krom tego i wcale mu młodo wyglądał.

Co do Elżusi, nie można było spenetrować jéj sentymentów (jak się naówczas wyrażano), lecz często z ciekawością poglądała i przysłuchiwała się jego powieściom o krajach obcych i ludziach. On też nie tylko od niéj nie stronił jak od innych kobiet, lecz mile się jéj przypatrywał, snadź uderzony tym wyrazem dobroci i szczerości, który się w niéj malował.

Zabawiono się do późna, bo Rożański i jego żona sami téż do skoków byli ochoczy. Sprowadzono więc skrzypki i młodzież poszła w tany.

Pełka jako nigdy nie był zapalonym tancerzem, tak teraz dla przepisu lekarza i resztek dolegliwości od Pacowskiéj kuli, poskoczyć nie mógł, przeszedł tylko parę razy polskiego i ze starszymi gwarzył.

Wojski, który jeszcze dawniejsze czasy pamiętał, a znał ludzi mnóztwo, rozgawędził się także; kieliszek wytrawnego wina, wyedukowanego w Polsce, nie mógł zaszkodzić choćby umierającemu, zabawiano się więc przystojnie i wesoło.

Nadedniem dopiero rozjeżdżać się goście zaczęli, a Pełka razem z gospodarzem do kolasy wojskiego i córkę odprowadził, żegnając jakby dawnych a dobrych znajomych, przyczém wojski co się z nim był już poprzyjaźnił, odezwał się:

— A odwiedźcie téż nas, bo to o miedzę.... abyśmy dzisiejszych rozmów dokończyć mogli...

Skłonił się Pełka... a konie ruszyły...

Gdy nazajutrz spocząwszy nieco do nowych gości wyjść było potrzeba, bo we święta ich tu nie brakło, — gospodarz rad był Pełkę zobaczywszy wybadać, jak mu się téż wczorajsi ludzie podobali. Lecz że podejrzenia na siebie ściągnąć był nierad, jakby mu pannę forytował — boby to sprawę popsuło — nie zaraz się mógł czegoś dowiedzieć, Pełka w ogóle chwalił sobie dzień wczorajszy i wszystkich w ogóle, wojskiego wielce wynosił, o córce ani wspomniał...

Zagadnęła go potém gospodyni, jak mu się téż podobała — na chwilę się zaciął, a potém rzekł:

— Zda się tak dobra, jak jest piękna, co w niewieście wielka rzecz, bo rzadko wdzięk chodzi z dobrocią.

Z tego wniósł Rożański, że mu snadź niegodziwa pisarzowa już się przecie naprzykrzyła, i wróżył dobrze... ale milczał...

Trzeciego dnia pojechali całym dworem do Kmiciców. — Nie był to dom pański, przecie w nim starego i możnego rodu posiadłość poznał każdy. Wojny go jakoś prawdziwym cudem oszczędzały, ostał się więc modrzewiowy dom na podmurowaniu, osobliwszéj struktury, z podsieniami do koła i gankami kilku, z dachem wysokim, na którym gałki mosiężne i chorągiewki blaszane osobliwie wyglądały.

Zabudowania koło niego mnóztwo i bardzo pokaźnego, a co najpiękniejsza, lip stało przy dworze, w dziedzińcu i ogrodzie prastarych takie mnóztwo, że tam niemal pod niemi jak pod dachem przechadzać się było można.

Właśnie niektóre z nich co wcześniejsze puszczać zaczynały.

We wnętrzu téż było na co patrzeć, bo wojski był człek ciekawy i po świecie wiele rzeczy zebrał znosząc do domu. Więc pięknych starych zbroi, a sprzętu, a szaf, a szkatuł, a puzder sadzonych, a zegarów kosztownych co dni i miesiące i nowie pokazywały, a ksiąg téż nie mało się znajdowało.

I czystość była, jaką chyba w Hollandyi podobnoby kto zobaczył...

Pełce się to podobało... Przypadała królewna do pałacu, i gdyby w przedziwnych ramach wizerunek w nim się wydawała. Dostatek wielki znać było wszędzie, służby dość, a nie za wiele i wesołych twarzy wszystko... Słowem chyba ptasiego mleka brakło. Każdy się tu czuł wesół i dobrze mu było a swobodnie... Wojski i córka z gościnnością dawną przyjmowali...

Zjechało się kilka osób z sąsiedztwa z powinszowaniami, przybył bernardyn, wesoły bardzo człek O. Opuncyusz z Krakowa... osobliwego imienia, ale i charakteru niemniéj szczególnego, bo filozof był jakich mało...

Gdy więc po jajku siedli w osób dwadzieścia z domowymi do stołu, to się wszystkim twarze śmiały, aż miło. Jakimś trafem Pełkę honorując, że był obcy, a pierwszy raz był w tym domu, posadzono go przy pannie Elżusi. Musiał ją tedy zabawiać, na co się skarżyć nie mógł.

Parę razy przypadkiem się ich oczy cale spokojnie spotkały i wzajem się nie unikały... Poznajomili się tedy z sobą czasu długiego obiadu lepiéj niż pierwszym razem, bo jeść tego co podawano sposobu nie było, i służba misy stawiała, a brała prawie nietknięte, tyle ich tam nagotowano. Rozpytywała panna o kraje obce, o wojny tureckie, o dwór cesarski i wojska... a widać było, że jéj

wiele rzeczy, zwykle kobietom niewiadomych, obcemi nie były...

Bawili się tedy dobrze... i Pełka wstał w różowym humorze, wesół z panną śmieszki już strojąc, jak był przecie powinien, ażeby ją zabawił...

Po obiedzie, że czas był dziwnie ciepły, młodzież się poniosła sztuki dokazywać z łukami, z szablami, a z końmi i Pełkaby był téż nie dał się wyprzedzić, ale słowo z niego wziął Rożański, że lekarza słuchając spokojnie się zachowa.

Wziął go wojski z sobą, różne rzeczy osobliwe wskazując, których dom był pełen, i ze starszymi na gawędę, gdzie O. Oponcyusz téż trafnemi gadkami ich zabawiał...

Nie było obfitszéj w powieści stare i nowe pamięci nad O. Opuncyuszu, ani milszego nad niego gaduły; cisnęli się doń ludzie, aby go słyszeć. Na kazalnicy téż mistrzem był i cale od zwykłych różnym, bo elokwencyi żadnéj nie szukał, a począwszy od skromnego: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, prawił poufalutko, przystępnie, mądrze, jasno do słuchaczów, tak, że kazanie jego choćby godzinę trwało, kilku minutami się zdawało. Znać się był tego sposobu we Włoszech nauczył, czy mu natura mistrzynią była, ale nikt nie wyrównał słodkiemu kaznodziei. Tak samo w dobrém towarzystwie, gdy się rozgadał, nasłuchać go się ludzie nie mogli...

Miał to do siebie tylko O. Opuncyusz, iż kobiet

nie lubiał, nie mogąc darować Ewie jéj kusicielstwa i niedowierzając tym, które zwał wszystkie córkami jéj nieodrodnemi. Lubił opowiadać o nich trafne anegdotki... na których mu nigdy nie zbywało.

I tym razem jakoś rozmowa się potoczyła o kobietach. Panny Elżusi nie było, więc O. Opuncyusz mógł sobie pozwolić. — Pełka go ze szczególną słuchał uwagą.

— *Femina!* mówił śmiejąc się bernardyn, a no *nomen, omen,* bo istotnie mina gdy najpiękniejsza u nich to... *fe!* Wszystkie piękności światu się dały we znaki, począwszy od starożytnych czasów do dziś dnia, a rzadko która taki dobry ze swych wdzięków uczyniła użytek jak Judyta... Cóż mospanie mówić o Dalili? co o innych, które najmocniejszych Samsonów wodziły na pasku?...

Tu napił się kilka kropel wina O. Opuncyusz i postawiwszy kieliszek, mówił daléj:

— Gdym onego czasu był w Rzymie, gdzie o te piękne zwodzicielki nie trudno, nasłuchałem się tam tragedyj dosyć o nich, a no mi żadna nie utkwiła tak w pamięci, jak jedna o księciu, którego zwano Palmieri.

— Jeszcześ mi jéj nie powiadał — przerwał wojski — godziłoby się jéj posłuchać.

— Powtarzają onę historyę we Włoszech po dziś dzień, dodał O. Opuncyusz... Książę wielkiego był rodu i fortuny, młodzieniec piękny, parantelli

znakomitéj, tak, że go sobie zawczasu największe książęce domy wyrywały, córki mu swe swatając. Zdarzyło się wszakże, iż z inną młodzieżą zabawiając się po mieście, gdy konno uliczkę małą za Tybrem przebywali, we drzwiach brudnéj kamieniczki spostrzegli w łachmanach czternastoletnią dzieweczkę tak osobliwéj piękności, iż się wszyscy dla przypatrzenia jéj zatrzymali. Znać było z ubrania, że była ubogą, ale jak dziecko śmiałą, bo się wcale oczu owych kawalerów nie uląkłszy, stała nieporuszona, i mieli czas rozpytać co była za jedna, a jak się zwała. Już to nieroztropnością było wielką, iż szatana kusiciela zoczywszy, paśli nim sobie wzrok owi młodzieńcy, gdy powinni byli uciekać. Lecz któż się w dziecku takiém mógł natury już niewieściéj spodziewać? I stało się, że od tego wzroku Palmieri jakby oszalał. Jakoż pokryjomu za Tybr chodzić zaczął, i z dzieweczką uczynił znajomość... Odpędzała go tam matka, a dziewczę z okna wabiło... Rok nie upłynął, gdy ją ktoś zaswatał... Książę wpadł w rozpacz wielką i chorobę, a że jedynakiem był, czynili rodzice co mogli. Doktor mądry człek, odgadł słabość i powiedział, że tu ratunku nie ma, a ożenić go z nią potrzeba... Choć to państwu wielkiemu w niesmak szło, co było czynić, gdy życie ratować musieli? Posłano do owego domu, ale dziewczę było już za mąż wydane...

Palmieri chorzał, nie zmarł, wstał, wychudł,

zbiedniał, ledwie go wychuchano... Ani go dopilnować było można, by się nie włóczył za kusicielką, która się z niego śmiała, a przecież mu się wdzięczyła... Z naprawy księcia męża jéj zabito... Domyślano się kto to uczynił, ale sprawę zatarto... Jednakże księciu radzono z oczu znijść urzędowi, pókiby ślady zbrodni nie znikły. Pojechał tedy do Medyolanu i pół roku bawił.

Gdy go nareszcie powołano nazad, bo rodzice jeszcze żyli, prosto z konia pobiegł na Zatybrze. Jejmość była po drugiém weselu. Niespodziała się snadź za księcia wyjść, trafił się bogaty kupiec dla wdzięków jéj, oddała mu rękę...

Jeszcze go to nie wyleczyło, owszem zajadlejszy był niż kiedyś i gorączka w nim grzeszna rosła, bo kogo szatan opanuje, niełacno puści. Kupiec wyjechał za sprawami swemi do Malty... wzięli go na morzu korsarze...

Chodziła wieść, że i temu książę nie był obcy, a no! gdy się spodziewał owocu, prysła mu jego jéjmość znowu tak, że napytać się nie mógł, co się z nią stało... Schnął tedy tak, a rodzice go napróżno gwałtem żenić chcieli, gdy po dwóch latach znalazł zgubioną, ale już żoną trzeciego, i to szlachcica neapolitańskiego, bogatego wielce, z którym jeździła już karocą, jakby się do niéj zrodziła, w atłasach i w aksamitach, jakby nigdy zgrzebnéj nie znała koszuli.

Łatwiéj się już przyszło do niéj zbliżyć księciu,

a na złe namawiać. Nie wiadomo jak te sprawy poszły, dosyć, że się przy kościach z Neapolitańczykiem zwadziwszy, wyzwali i wyszli na plac, i książę tamtego zabił. A no mu jéjmość oświadczyć kazała, że zabójcy męża swojego nigdy ręki nie odda.

A że to we Włoszech się działo, gdzie w ludziach krew nie woda, Palmieri ów wdarł się do domu wdowy, i własną ręką ją zamordował. Poczém Ojcu Świętemu poszedł do nóg się rzucić, opętanie swe i zbrodnię wyznawszy, kaptur wdział, i resztę życia we włosienicy i paskach, biczując się, odpokutował...

Gdy O. Opuncyusz tę historyę opowiadał, Rożański, który podle Pełki siedział, ciągle go łokciem trącał, a Medard to się czerwienił, to bladł, ale słowa nie rzekłszy, do końca dosłuchał i po sobie poznać nie dał, że mógł się z owym Palmierim nieszczęśliwością i obałamuceniem porównać. Nie rzekli do siebie ani słowa, uważał tylko Rożański, iż dość wesoły wprzódy Pełka, posmutniał i pochmurniał, i został zadumany aż do wyjazdu.

Chciał już potém pan Medard koniecznie do Gołczwi powracać, lecz oboje Rożańscy puścić go nie mogli, i tak modlili a zaklinali, iż do Zielonych Świąt go wstrzymali.

Znowu tedy wojski z córką przybył w odwiedziny, a że stosunki obu dworów były ciągłe, wi-

dywano się więc co dni parę, spotykano w kościele, a coraz bliższa zawierała znajomość...

Panna była baczna na siebie, nie okazywała Pełce swéj dla niego przyjaźni, lecz i nie stroniła od niego, a przed ojcem przyznać się miała, iż pan Medard się jéj dosyć podobał.

Ten téż, choć żadnego zamiaru nie zdawał się mieć, towarzystwo wojskiego, i dom jego, i pannę polubił widocznie, i najweselszy był, gdy się z nimi znajdował.

Rożański już prawie na tryumf dzwonił, czekając tylko chwili, gdy sprawę zagai, ale razem dobrze jéj dojrzeć dając, aby zawczasu porwawszy się nie spłoszyć. Gdy mu się tedy zdawało, że Pełka w pannie zakochany, bo i wzdychał, i smutniał, i humory mienił, i trzpiotał się dla niéj, jednego wieczoru sam na sam z nim będąc, ozwie się:

— Medardzie kochany, co myślisz o Elżusi? Jakaby to z niéj dla ciebie była żona!

— Zapewne! westchnął Pełka, gdyby — gdyby gdyby i gdyby?..

— Jakież to troiste *gdyby* stoi ci na przeszkodzie?

— Gdybym ja śmiał, gdyby ona chciała, i gdyby pan Bóg pozwolił... A no, z tego trojga nie może być nic.

Dla czego?

— Bo ja dla niéj za stary i sterany, i dyabeł mi w sercu inną żagwią piecze... jeszczem nie

zapomniał o tamtéj — bo ona nie może chcieć po drugich kości ogryzać — a Pan Bóg nie dopuści, aby czysty kwiatek w zbrukane dostał się ręce.

Począł się śmiać Rożański.

— Piękna to cnota, pokora — rzekł — ale nie trzeba jéj mieć nadto, bo śmieszna. Aniś ty taki stary, ani ona taka wybredna, a Pan Bóg pobłogosławiłby, gdybyś zamiast o cudzéj żonie myśleć, własną dostał. Jużby téż czas—dodał—rozum mieć, nie powiem, znasz mnie, szalałem za kobietami do grzechu, alem się i ja wyszumiał. Patrzeć na nie lubię, a pokusy już we mnie nie rodzą.

— A wiesz dla czegoś wyszumiał? zapytał Pełka — boś szalał za *kobietami*, nie za *kobietą*. Gdyby cię jedna w różowe schwyciła pazurki, byłoby po tobie.

— Nie — rzekł Rożański — zwłaszcza, gdyby owe pazurki niejednego już wprzódy ściskały. . . Powtarzam ci tedy, i dla rodu i dla spokoju, i dla błogosławieństwa bożego ustatkuj się, ożeń, a podziękujesz mi.

— A no to nie może być! zawołał Pełka. Gdybym ja panny chciał, ona mnie nie zechce.

— Któż ci to powiedział?

— Rozum.

— A ja, choć się nim nie chwalę, mówił przyjaciel, daję ci słowo, że cię z nią ożenię. Tylko mi musisz przyrzec uroczyście, iż się tamtego starego grzechu wyprzesz i odżegnasz od pokusy...

Pełka nie odpowiedział nic, tylko wzdychał

— Jakże ty możesz bracie wymagać po mnie, abym do reszty duszę gubił, przysięgając na to, czego dotrzymać nie mogę? Albo ja wiem czyją sprawą i siłą ta kobieta władzę ma taką nademną, że mnie od ołtarza mogła oderwać, że na skinienie jéj lecę oczy zamknąwszy... że nigdy pewien być nie mogę, co uczynię... bo sobą nie władnę...

Zrozumiejże ty to, kiedy możesz, i wytłómacz mnie, dla czego ja to czynię, gdy mi nigdy nic nie przyrzekła i żadnéj nie dawała nadziei...

— Najlepiéj siebie opisałeś sam — przerwał Rożański — toć prosto *demencya* jest i szał... Dopóki byłeś młodszy, krewkość to tłómaczyć mogła—ależ dziś? Jedna zresztą rada na to: ożenić się i dać słowo, że o niéj myśleć, mówić, ani się jéj widzieć nie będzie. I jeszcze powtórzę: ożenić się, najlepszym egzorcyzmem będzie błogosławieństwo kapłańskie i serce dobréj żony, a już na świecie całym lepszéj od Elżusi nie znajdziesz.

— Człecze, a maszże ty sumienie chcieć ją wydawać za mnie? — a godzisz się to? — albobym ja uczciwym był, gdybym ją na ofiarę święcił? Toć sumienie wymaga, abym sięgając po jéj rękę, wyznał jéj, com zacz za grzesznik — zechcesz ona takiego człowieka poślubić! Puste rzeczy!

— Ej! co do spowiedzi przed panną — odezwał się Rożański — bez téjby się obeszło. Alboż ty myślisz, że o twéj historyi ludzie nie wiedzą, że

o niéj wróble na dachach nie śpiewają? Panna ją pewnie zna, jeśli nie z dodatkami jeszcze... przecież od ciebie nie stroni, ani ci wstrętu nie okazuje...

— Ale to nie może być — podchwycił Pełka — a to nie może być na żaden żywy sposób...

— A ja ci powiadam, iż być może i jeśli mi się w ręce zdasz, to i będzie... No—chcesz! mów...

Pełka aż pobladł, rękami obiema twarz zakrył.

— Daj mi ty pokój — rzekł; choćby się namyśleć potrzeba... Pójdę do spowiedzi i odbędę rekollekcye, obrachuję się z sumieniem i zajrzę w głąb' siebie.

— A! sumienny człecze, — rozśmiał się Rożański — pamiętaj wprzód, że przecie największy grzech pożądać żony bliźniego... a tyś w tym grzechu po uszy... Cóż przeciw tego inne!

Tego dnia nie mówili więcéj. Pełka istotnie spowiedź odbył; dopiero tedy po niéj zeszli się znów z Rożańskim, który go wyściskawszy powiada:

— A cóż? mam w dziewosłęby jechać?

— Nie godzi się, szepnął cicho i smutnie Pełka: mówiłem z sumieniem... nie jest czyste. Wiesz Rożański com w sobie znalazł...? Oto gdy mi na myśl przyjdzie tylko, iż ślubując drugiéj, tamtéj się wyrzec muszę, mróz mnie przechodzi. Okazuje się, że ja wciąż na śmierć pana pisarza, sam o tém nie wiedząc, rachowałem i rachuję.

— A myśliszże, iżby ona za ciebie poszła? spytał Rożański. Pamiętaj, że to Pociejówna, a za

Pacem była, że to się państwa nawąchało całe życie, że ona jeszcze może sobie senatora złapać...

— Na ten raz — cicho rzekł Pełka — inaczéjby było pono. Mam tę determinacyę, gdyby owdowiała, napaść, porwać, gwałtu się dopuścić, a ślub z nią wziąć.

— I nieszczęście téż z nią poślubić! a toć ją znasz! — mówił Rożański.

— Nie przeczę, biédębym miał... a no... a no... aby ta godzina szczęścia, na którą się cały żywot czekało.

Znowu tedy marnie poszła rozmowa i rozeszli się z niczém, ale Rożański uparty, tegoż dnia ją na nowo rozpoczął.

— Pełko, duszo moja — jedźmy do Elżusi...

Jak go tedy jął molestować, a męczyć, a przekonywać, a namawiać, a gniewem boskim straszyć, skończyło się na tém, iż Pełka zgodził się krok uczynić do wojskiego, szczerze mu wyznając wszystko.

Przez żonę wiedział Rożański, iż panna wcale nie była przeciwko Pełce i wolała go nad innych. Wojski się nie krył, iż go sobie życzył. Medard téż przyznawał się do tego, iż panna mu wielce się podobała, że chwilami przy niéj o wszystkiém zapominał.

Stanęło tedy na tém, aby się jeszcze zbliżyć starał, a Rożański brał resztę na siebie.

Tryumfował téż Wacek, jakby Tatara w niewolę wziął, a przechwalał się, iż u Pana Boga

nawet zasługę sobie zyszcze za to, że takiego człowieka ze szpon szatańskich wyrwał i na porządnego ziemianina wykierował.

— Nie ulegało bowiem już wątpliwości, iż się wszystko złoży jak najszczęśliwiéj i pan Pełka do Gołczwi z małżonką wyjedzie, a o nieszczęsnéj owéj Syrenie zapomni.

Zdało się bowiem już nawet, że się jéj całkiem z pamięci pozbył, bo ani o niéj kiedy wspominał, ani wzdychał, ani się dowiadywał co się z nią stało. A Rożański choć może co wiedział, milczał, i tak się rzeczy wiodły do szczęśliwego końca.

Rożański go jak mógł przyspieszał, aby przyjaciela związać, żeby się już mu wyrwać nie mógł. Przygotowany był stary wojski, przeczuwała Elżusia swaty i przed Zielonemi Świątkami wybrali się uroczyście prosić o rękę panny.

* * *

Dzień był naznaczony, ale znając Pełkę, nie chciał o nim zawczasu dawać znać Rożański. Najlepsze konie do wozu przygotowano, bo jeszcze Pełce dłuższéj podróży konno wzbraniano. Rożański się wygolił i wystroił, a wyglądał jak krew z mlékiem, wąsa pokręcając, gdyby za młodszych czasów. Pełka się téż poszedł odziewać...

Wydobył Gabryk co tylko było najlepszego do wyboru, pasy, spinki, guzy, kołpaki, kity... Aż, gdy się w kufrach i tłomokach grzebać zaczęto,

wypadła na ziemię spłowiała owa wstążka niebieska, którą mu niegdyś trzpiot Jadwisia rzuciła z ganku. Już ją był złożył *ad acta* Pełka, nie chcąc sobie przypominać co dla niéj wycierpiał, gdy oto, jakby naumyślnie w téj stanowczéj godzinie, znalazła mu się pod nogami.

Zapłoniony cały podniósł ją prędko i łzy mu w oczach stanęły. Tknęło go to, iż jakby przeznaczenie samo przypominało mu przysięgę, wyrzucając wiarołomstwo — i dobyło ją na jaw umyślnie.

Zadrżał, zawahał się — jużby był może nazad rzeczy pakować zaczął... a strułby się tém na dzień cały — i nie umiał ust otworzyć, gdyby Rożański, jak przeczuciem tknięty nie nadszedł. Wstyd mu było téj wstążki i schował ją szybko za kontusz... udając, że suknie wybiera.

— Nie do rzeczy dzień wybraliśmy, odezwał się Wacek wchodząc z kalendarzem w ręku: dopierom się rozpatrzył, że dwoiście *feralis*, bo i numer niedobry, i na starym księżycu i konstellacye nie do małżeństwa... Bóg widzi, że jednéj godzinybym rad was skojarzyć, i że nie bardzo w te brednie astrologiczne wierzę — a no — na twéj skórze probować nie chcę. A nuż!

Pełka odetchnął i niemal wesoło się odezwał.

— Więc dziś nie jedziemy!

— A no; nie! Za trzy dni nów, liczba wypadnie doskonała i konstellacya wyborna, więc dopiero za trzy dni.

— Gabryk, pochowaj rzeczy! zawołał wesoło Pełka i uściskał przyjaciela.

Sługa spojrzał na pana smutnie i zabrał się do składania garderoby. Gawędzili tedy o astrologach i kalendarzach, i o przepowiedniach Cunitzij Janowi Kazimierzowi, i o horoskopie Jana III — gdy przed domem zaturkotało.

Rożański wyjrzał.

— Zupełnie obce konie, uprząż, ludzie, ba i gość — rzekł, nie wiem ktoby to mógł być, chyba szlachcic, co się w kraju nieznanym zabłąkał i do brata jak w dym... trzeba iść gospodarskie pełnić obowiązki.

Wyszedł tedy lecz nie upłynął i kwadrans, gdy z owym gościem, wiodąc go pod rękę, powrócił. Pełka poznał w nim towarzysza broni z Krakowa.

Był to niejaki Zboiński, którego nazywano zbójem, jedyny człek do szabli i do ochoty, który choć parę wsi miał, nigdy domu nie zagrzał, a powodów tylko szukał, żeby od komina do komina dla dobréj myśli się ciągać. Lubiono go bardzo, bo i tańcował, i przyśpiewywał i w szable się ciął, i do zabawy myśli poddawał — jak nikt. Gdzie on był, tam się już o gości gospodarz nie miał co troszczyć — dał im rady. Złoty człek, choć go do rany przyłóż, ale krzykacz i zawalidroga i próżniak, że go w tém nikt nie przesadził. Żonę doma miał, przecież się rad zalecał, szczególniéj do wdów, i do takich, których mężów widać nie było. Ale

to tam w tém pono więcéj pozorów niż rzeczy bywało... aby się pośmiać i podurzyć. Kiedy ludzi ubawić chciał, to się do najstarszych babuniek przysiadał i koperczaki do nich stroił, aż którą rozruszał. Zboiński, albo był na wojnie, lub na wozie i po świecie, do domu przyjeżdżał konie odmienić, pieniędzy wziąć, czeladź nieposłuszną wychłostać, a trzeciego dnia ruszał znów daléj.

Ściskali się tedy wszyscy trzéj jako starzy towarzysze, przypominając czasy pana Czarnieckiego, i krakowskie biedy, i Szwedów. Pełka go od tych czasów nie widział, pytania się więc sypały bez liku.

— A no, spodziewam się, rzekł Zboiński, że ci miły Medardzie, choróbsko to odeszło, coś je miał, że od wzdychania za jakąś tam jéjmościanką mało ci piersi nie pękały.

— Tak to jest, odezwał się Rożański, iż pono do rozumu przychodzi, ale dopiero teraz i to zażywszy dla niéj biedy niemałéj. My go tu żenimy.

— Dopiero teraz! rozśmiał się Zbój — tom i ja wczas jeśli nie na wesele, to na zrękowiny przybył.

Poprowadził gospodarz gościa do żony, zostawiając Pełce czas, aby się odziewał. Tu mu dopiero opowiedział wszystko o Medardzie, i jaką z nim biedę miał, póki go nie nakłonił do ożenienia.

— Za kogóż to jego umiłowana znowu poszła? zapytał Zboiński.

— Ostatnio jest za Pacem pisarzem, chociaż z nim nie żyje, bo się z sobą pogodzić nie mogli.

— Za Pacem... pisarzem! ozwał się Zboiński: ale czyż pewna?

— Niezawodna rzecz! Widziałem ich oboje czasu koronacyi, ona od niego jak od wilka uciekała. Obawiała się do domu sama potém odjechać, aby jéj gdzie na drodze nie porwał i do klasztoru nie wsadził, bo się z tém odgrażał.

— To się już teraz nie ma nieboraczka czego lękać — szepnął Zboiński uśmiechając się.

— Albo co? zapytał przestraszony Rożański.

— Może lepiéj, żebym zmilczał! rzekł gość.

— Nie, przedemną mów wszystko!

— Pac nie żyje — dodał Zboiński po cichu — mówią, że się grzybów objadł, drudzy prawią węgorza, wody popił i w kilka godzin go nie stało! Rożański w ręce uderzył tak silnie, iż stoliki zatrzęsły.

— Co ty mówisz?...

— Szczerą prawdę: pan pisarz od tygodnia nie żyje... Wypadkiem się dowiedziałem o tém. Jéjmość tedy owdowiała...

— Człowiecze! jeśliż ci Bóg i zbawienie miłe, zawołał Wacek, milcz i pary nie puść, bo żadna siła ludzka Pełki nie wstrzyma, gdy się o tém dowié, poleci na złamanie karku do niéj, a uchowaj Boże ona za niego pójdzie, to zgubiony człowiek, zamęczy go! Tu ja mu swatam taką, co go szczęśliwym uczynić jedna może, rozumną, dobrą, bogatą i piękną. Gdy się ożeni — darmo, wtedy już

nie pomyśli o niéj... ale dziś jeszcze, choć już w dziewosłęby mieliśmy jechać, zerwałby mi się w mgnieniu oka... Więc, milczeć.

— Będę milczał! rzekł Zboiński, patrzajcie tylko, aby się którędy indziéj nie dobyła ta wiadomość, a ze zrękowinami trzeba spieszyć, to i ja skorzystam.

Wiadomość ta oboje państwa Rożańskich mocno zmieszała, aż posmutnieli. Choć o Pacu mało tu kto wiedzieć mógł, a o pisarzowéj jeszcze mniéj, naówczas znali się wszyscy i obnoszono wiadomości po dworach. Łacno się więc ktoś mógł wygadać. Zafrasował się Rożański. — A no, co robić! wola boża.

O Zboińskiego nie było się bać, miał co rozpowiadać i bez tego. Bawili się cały dzień jak najprzedziwniéj i uchmielili jak rzadko. Rożański oko miał na przybywających, i to nawet przewidział, iż ludziom, gdyby kto z listem jakim przybył, sobie naprzód znać kazał dawać.

Drugiego dnia siedzieli przy wieczerzy, gdy stary domowy Rożańskich piwniczy, panu jakieś znaki dawać począł bardzo misternie, tak, że go aż nastraszył. Wacek się zerwał od stołu pod jakimś pozorem, wypadł do niego do kredensu.

— Co ci to?

— Za panem Pełką dworzanin pisarzowéj goniąc wszędzie, aż tu się przystawił.

Rożański za głowę się chwycił.

— Trzeba było powiedzieć, że go tu nie ma i nie było.

— Ludzi poznał, a tak mu pilno i tak się dobija, że go powstrzymać nie można.

— Słuchaj Pawle, zawołał Rożański, rób co chcesz, a jego spój i zamkniéj spać i konia mu schowaj, Gabrykowi powiedz, żeby mi się o nim wspomnieć nie ważył... Weź piwa, miodu, wódki, wina, co chcesz, a człeka mi spój, by ręką ani nogą nie ruszył.

— A jak gęgnie? spytał ostrożnie Paweł.

— Gdzieś ty słyszał, żeby od tego człowiek przepadł! Wyśpi się i będzie zdrów...

Wydawszy ten rozkaz, Rożański powrócił, nie dając znać po sobie, żeby go co bardzo obeszło. Jedna żona z twarzy poznała, iż się niezwykłego coś święciło.

Że Paweł do takich spraw był jedyny, Wacek jadł spokojnie, gdy go znowu krząkającego usłyszał. Nie wypadało mu już po raz drugi tak wychodzić, zmyślił więc, że sam do piwnicy po wino musi ruszyć, i wstał. W kredensie Paweł mu na ucho rzekł, że dworzanin do ust nic wziąć nie chce, póki poselstwa nie spełni, i ani go można namówić, by spoczął.

Rożańskiego, choć był na pozór ciężki i nieobrotny, w ważnych wypadkach nigdy nie odstępowała przytomność; zręcznie łgnąć nic go nie kosztowało. Pobiegł więc coś poszeptać z jejmością,

a Pełkę na ucho poprosił, by w miejsce jego Zboińskiego zabawiał, bo musiał na chwilę odejść, gdyż na wsi ludzie pobili i trzeba ich było godzić.

Wyrwawszy się tedy z Pawłem, poszedł do przybudówki, w któréj ostawiony piwem, ba i winem, siedział dworzanin pani pisarzowéj... Chłopak był młody, raźny i z oczu mu spryt patrzał. Rozumie się że szlachcic.

Przywitał się z nim gospodarz wesoło...

— Domyślam się, z czém tu waszmość do nas przybyłeś, pewnie po pana Pełkę, bo i my tutaj wiemy, że panu pisarzowi się zmarło... to go wdowa wzywa... ani chybi? Masz waszmość listy?

— Listu żadnego nie dano, rzekł dworzanin, ustne mam polecenie, abym jednéj godziny nie tracąc, wyszukał pana Pełkę, i wnet go z sobą zabrał...

— Ale go tu nie ma! zawołał spokojnie Rożański.

— Jak to nie ma! ludzi i konie widziałem...

— Bo ci są, tylko Pełka na tydzień odjechał ztąd o mil sześć na łowy...

Niedowierzająco spojrzał młody chłopak, ale Rożański poważnie mówił, nie godziło się nie wierzyć.

— Dokąd?

— Mil sześć w bory ku Niepołomicom...

— Do kogo?

— Do Maciszewskich do Zdun...

Dworzanin się ruszył jakby wnet jechać chciał... Nie wstrzymywał go Rożański.

— Cóż myślicie? dodał — posłaćby po niego?

— Nie, ja sam pojadę...

— Jak wola, ino wam przewodnika dam, bo byście nie trafili sami...

— A! panie! a język od czego?

— Spieszniéj będzie, gdy człeka weźmiecie... ano byście może spoczęli? zjedli i napili się?..

Nie odmówił posłany, więc Pawła odkomenderował do niego gospodarz, a sam po parobczaka do stajni zbiegł, najroztropniejszego wybrawszy. Szło mu o to, aby się nie wygadał, żeby go błędnie poprowadził i jak najdłużéj z nim się włóczył.

Chłopcu więc jak łopatą w głowę kładł co miał mówić, co czynić, jak prowadzić, w jaki sposób kłamać i bałamucić.

— Już mi to Pan Bóg przebaczy — rzekł do siebie — innéj rady nie ma.

Gabrykowi po drodze, że był człowiek dobrze swemu panu życzący, Rożański wytłomaczył wszystko, aby go nie wydał, i kazał milczeć. Sam co rychléj powrócił do wieczerzy, aby tu koniecznie zatrzymać Pełkę, by się nie ukazał i nie wyszedł, pókiby dworzanin nie odjechał...

Wszystko to choć z wielkim pospiechem i łap cap zrobiwszy, szczęśliwie do skutku wyprawę dworzanina doprowadził. Dopiero, gdy już za bramą

i za wsią był, o czém Paweł mu szepnął,—Pełkę mógł z niewoli wypuścić i już na niego nie zważać.

Rad był niezmiernie Rożański, iż mu się to tak szczęśliwie udało i wesół cały wieczór baraszkował. Chłopak dodany zamiast do Zdun, po lasach miał wodzić dworzanina, pókiby tylko mógł, aby na czasie zyskać. Tymczasem spodziewał się Medarda zaswatać.

Gdy się rozeszli spać, świerzbiał mu język ze Zboińskim się poradzić.

Ten mu ganił robotę...

— Dworzanin się rychło opatrzy, spyta kogo i powróci do Zdun dostawszy, a co potém z nim robić? Jabym go był zamknął i przetrzymał karmiąc dobrze pod kluczem, a późniéj wynagrodził. Nie pierwszyzna to — dokończył Zboiński — w komorze ciemnéj rekollekcye posłańcowi odbywać, choćby i miesiącami...

— Cóż było począć? źle czy dobrze—stało się.

Trzeciego dnia wespoły ze Zboińskim do Kmiciców z paradą w dziewosłęby jechali, a że dzień był bardzo piękny i Pełka zdrowym się czuł, nie chciał inaczéj tylko konno, utrzymując, że kolasą albo wozem zajeżdżać mężczyźnie po pannę, wstyd było. Dobrał mu Gabryk spokojnego bułanka, który tak nosił, że na siodleby szklanka wody stojąc się nie rozlała, a łagodny był, że lejca prawie nie potrzebował i rześki, że się bez ostrogi obszedł. Słowem koń dla dziecka, dla kobiéty i dla żołnierza na

wojnę. Dzień był wiosenny śliczny, wesołość w powietrzu, drzewa w młodych sukienkach, niebo w lazurowéj szacie... i humory ichmościów téż różowe były.

Pół drogi ujechali szczęśliwie. Gdy na gościńcu Rożański, który miał oczy krogulcze, zoczył jezdnego... i poznał w nim, choć mało nie o ćwierć mili, dworzanina pani pisarzowéj, który powracał ze Zdun... Jechali groblą... nie było kędy z drogi mu zjechać...

— Oczewiste nasłanie Boże — odezwał się do siebie w duchu Rożański, — rozstąp się ziemio! nie ma jak radzić.

Co chwila się utrapiony ów poseł przybliżał... Szczęściem z grobli przez łąkę szła drożyna, w lasy, jeszcze w porę nimby ich tamten mógł rozpoznać, skierował się nią Rożański między krzaki łozowe, obiecując bliżéj przeprowadzić. Pojechali gęsiego, Rożański przodem, za nim Pełka i w końcu Zboiński, taką utrapioną, mokrą a grzęzką ścieżyną nad rowem, że konie po pęciny zapadały.

— Zasmarujemy się hę! — zawołał Pełka — a ja swemu koniowi kopyta umyślnie kazałem szwarcować...

— A no już darmo! wleźliśmy, jedźmy — dodał Rożański — nie spodziewałem się, aby tak mokro być miało.

Tym sposobem szczęśliwie wyminęli dworzanina, a no na tém nie było dosyć... Gdy się trochę

z grzęzawicy wydobyli, Rożański Pełkę puścił przodem i zwrócił się do Zboińskiego, szepnąwszy mu:

— Zmyśl co chcesz, do domu wracaj, i posłańca pisarzowéj włodarzowi każ do ciupy zasadzić. Innéj nie ma rady. Dać mu w bród wszystkiego i konie pochować.

Zboiński zrozumiał od pół słowa... Nuż się tedy skarżyć, że mu w kościach łamanie przyszło, które na wiosnę miewał, że go kędyś wiatr niedobry zawiać musiał.

Rożański mu dowodził, iż w końcu się przetrzęsłszy pozdrowieje — a no tamten chorego doskonale udawał, i rychło pożegnawszy ich do domu nawrócił. Tknęło coś Pełkę.

— Co mu jest? — rzekł — to jakaś sprawa nieczysta? ja tego nie rozumiem. Nie wierzę w tę chorobę...

— A cóżby miało być? — śmiał się Rożański — co ci w głowie? Juści nie do Julki w umizgi powrócił, bo wie, że onaby go wyśmiała a jabym mu kości pogruchotał.

Zmilkł tedy Pełka i jechali daléj. W istocie drożyna, którą się wzięli, zamiast zbliżyć ich, zmusiła dobre pół godziny nałożyć. Dobywając się napowrót na gościniec, musieli rów przeskakiwać i obryzgali się błotem, aż Medard w rozpacz popadł, jak przed panną stanie.

— Ale bo to ty Wacku wszystkiemu winien jesteś z twoją prościejszą drogą...

— Ani słowa, już łaj i karz... stało się... uszy stulę.

Ukazał się tedy dwór i Pełka nieco rozweselał, popędzili kłusem, do ganku rozpędzili co konie wyrwały i osadzili je w miejscu. Wojski był na wschodkach i witał.

— Dzięki Bogu już nasz chory harcuje, rzekł, to mu niewiele brak...

— Pierwszym raz konia dosiadł, aby się progom waszym pokłonić — dodał Pełka...

Rożańskiemu chciało się co najprędzéj zawiązać węzełka.

— A nie z samym pokłonem do kolan waszych przychodzimy — zawołał w pięknéj pozyturze — ale z prośbą, którą ja jako uproszony przyjaciel, z serca do waszéj miłości zanoszę. Pan Medard Pełka, nie mógł obojętném okiem patrzeć długo na niewysłowione przymioty i cnoty czcigodnéj córy pana wojskiego, z affektem przybywa i respektem, aby tego szczęścia dostąpił, byście mu w niéj dozgonnego dali towarzysza, którego we czci i miłości chować i strzedz, tak on sam jak i ja za niego, najsolenniéj się obowiązujemy.

Pełka do kolan się staremu kłaniał, który go za ramiona ująwszy podnosił rozczulony, a na słowo się jeszcze zebrać nie mógł. Rzekł tedy Medard:

— Nie mam téj prezumpcyi, ażebym godnym był przedziwnego skarbu, o który śmiem zanieść *praeces* do p. wojskiego. . . znam to najlepiéj do siebie, iż nie godzien go jestem, lecz jeśli respektem i affektem nagrodzić można co w splendorze nie dostaje, pewnie dług należny spłacę...

Wojski mocno poruszony, wahał się z odpowiedzią, a po krótkiém milczeniu rzekł zwolna:

— Zawszem był tego zdania, iż rodziców rzeczą nad losem dzieci czuwać i przestrzegać, ale gwałtu ich sercu czynić nie powinni; przetoż i ja woli Elżusi hamować nie będę i do jéj decyzyi oddaję prośbę zaszczytną dla nas p. Pełki. . . Co do mnie, chętném sercem przystanę i pobłogosławię... Niech Elżusia sama dekretuje w sprawie. Zatrzymajcież się tu proszę, dodał, abyśmy jéj nieprzygotowanéj nie wzięli; pójdę do niéj, opowiem wszystko, niech pomyśli i Ducha Świętego wezwie na pomoc, a co jéj do serca poda... *fiat*...

Wyszedł wojski, Pełka stał więcéj zmieszany i przelękły niż szczęśliwy, nogi pod nim drżały. . . i w oczach się ćmiło.

— Medardzie miły — zawołał Rożański — do szczęścia idziesz jakby na stracenie... dobra nasza! nie chmurz czoła i Bogu dziękuj!

W pół godziny wojski powrócił, nie dając znać po sobie co przynosił... Zagadał obojętnie, Rożański o pozwolenie poprosił, aby jemu jako przyjacielowi i dziewosłębowi z panną wprzódy mówić

było wolno... Na co że nastąpiła zgoda, ruszył zaraz w głąb domu, Pełkę z wojskim zostawiając sam na sam.

Panna Elżusia stała w oknie zamyślona, z rękami jak do modlitwy złożonemi, gdy Rożański, prawdziwy przyjaciel i adorator jéj wielki, wszedł w pół uśmiechnięty, na pół smutny. Coś mu w sumieniu było niedobrze — i dlatego się chciał z panną sam na sam rozmówić... Elżusia blada była, ale na pozór spokojna.

Złożył przed nią ręce jak winowajca Rożański.

— Pani, pani moja — zawołał — wiesz najlepiéj, że nademnie i żonę moją, przyjaciół szczerszych nie masz. Życzę Pełce jak bratu, jednakbym mu nie chciał szczęścia dać kosztem waszym. Znam go, że jest człek poczciwy, serca gorącego, mężny, stateczny... zdało mi się, iż na towarzysza dla was całeby się przydał... Jechałem z tém, przybyłem, i oto staję przed wami z niepewnością wielką... Znasz jego historyę, kto wie co w nim jeszcze tchnie... Nie będę taił nic; nie wie o tém, że ta kobieta świeżo owdowiała i już za nim szle, aby się nim wysługiwać, a potém go popchnąć: ruszaj w kąt miotło!..

Posłańca zamknąłem niedopuściwszy do niego; ale chcecież wy go ratować i możnaż was na to narażać, abyście swój miły spokój na niepewną szalę kładli?..

Suplikowałbym was: ratujcie człowieka — ale godziż się na to namawiać?..

Elżusia ciągle jeszcze ręce mając złożone, słuchała poważna i milcząca, po twarzy jéj biegały to płomienie, to bladość, gdy wspomniał o wdowie i posłańcu.

Rożański zamilkł.

— Byłbym bez sumienia, dodał, żebym albo co przed wami taił, lub was nakłaniał: czyńcie co wam serce dyktuje... Nie żalże wam tego człowieka, który pastwą się stanie kobiety, co już tylu pogubiła?

— A! żal mi go — wyrwało się Elżusi — i uczyniłabym co w mocy méj, aby go ratować, lecz czyż podołam temu? On ma tamten affekt głębiéj w sercu, a dla mnie jeśli go cokolwiek uczuł... czyż ja na moc jego rachować mogę?

— Nie będę kłamał — odezwał się Rożański: gotujesz sobie pani wielką troskę i nie jedną, ale tryumf pewny. Jeśli choć cokolwiek affektu dlań masz... toć my u twego boku staniemy i nie dopuścimy zguby...

Na wspomnienie o affekcie zarumieniła się panna Elżbieta.

— A jeśli mi go ona od ołtarza odbierze! zawołała, i srom uczyni...

— Nie dopuszczaj Boże! — zawołał Rożański — znam człowieka, dopóki nie przysiągł, może się wahać, gdy słowo da, dotrzyma choćby go życie ko-

sztować miało... a że poznawszy was bliżéj, o tamtém utrapieniu zapomni. . . na to przysięgam! bo nie ma człowieka na świecie, coby panny Elżbiety nie ocenił i nie umiłował...

— Ręczyliście mi za jego serce i sumienie — odezwała się Elżbieta — jednego żądam: nie opuszczajcie mnie a pomóżcie... niech się stanie co Bóg przeznaczył.

Rożański możeby inaczéj nie dziękował, gdyby sam się jéj oświadczywszy, dobre słowo otrzymał, że aż na kolana padł i w ręce całował, a Elżusia się rozpłakała. Szedł tedy a raczéj biegł po Pełkę i razem z wojskim przyszli do panny, która z powagą wielką ich przyjęła. . . W krótkich słowach oświadczył się z affektem Pełka i w niewielu mu Elżusia odpowiedziała, poczém ojcu do kolan przypadli, który płacząc błogosławił, a Pełka rękę narzeczonéj ucałowawszy, przyjacielowi na szyję się rzucił...

Tak się wszystko szczęśliwie skończyło, i Rożański pot z czoła ocierając, oddychał. Pełka się do Elżusi przysiadł. . . a że i ojciec i przyjaciel radzi byli, aby się z sobą coraz lepiéj poznawali, zszedłszy do drugiéj izby umyślnie zostawili ich sam na sam...

Jak tylko to zobaczyła córka wojskiego, wstała z krzesła... i ku oknu idąc, stanęła we wgłębieniu jego, Pełkę wiodąc za sobą...

— Było wolą Bożą, rzekła, abyśmy sobie ślubowali... bez niéj nie miałabym może odwagi oddać ręki waszmości... wiedząc i znając dobrze, iż długo affekt zachowywałeś dla innéj. Nie stanęliśmy jeszcze przy ołtarzu, czas rozmyślić się. Słabąż ja jestem niewiastą, ale nie miałam matki, chował mnie ojciec po męzku, ani mi na odwadze zbywa... Powzięłam i szacunek dla waszmości, i politowanie nad jego dolą; zgodziłam się być mu towarzyszką wierną, lecz wymagać będę i zaufania i affektu... Jeżeli w jakimkolwiek wypadku znowu waszmością owładnie wola téj kobiety, a ulegać jéj masz, jeśli słabym się czujesz i nieszczęśliwą mnie uczynić chcesz... jeszcze pora się rozejść. Towarzyszką waszmości wierną będę, ale obrazy sobie uczynić nie dopuszczę... To wam wprzód wiedzieć przyszło...

Medard osłupiał, słysząc ją z taką szczodrością zagadującą go o przyszłość, — nie wiedząc co odpowiedzieć, pochylił się jéj do kolan, jakby o miłosierdzie prosząc.

— Mam najmocniejsze postanowieuie... rzekł, ani lekceważę przysięgi, którą się zwiążę... ano... pani i królowo moja... sam siebie nie znam... sam za siebie nie ręczę. Ty mnie ratuj i wybaw z rąk nieczystéj siły... bom przekonany, że taką jest... i dlatego się jéj lękam... Ale ufam, że Sakrament moc jéj zniszczy i złamie, a że serce moje oddałem wam... Bóg widzi... Tam jeśli co zostało,

coby ciągnęło, chyba sprosna krewkość ludzka... Sam byłem słaby, przy tobie silnym być muszę...

Elżusia słuchała niestrwożona...

— A gdyby — zawołała — dziś ci przynieśli wiadomość, że owdowiała i że po was szle, a chce, abyście przybywali...

Pełki oczy zaiskrzyły się chwilowo... zadrżał.

— To nie może być! — zawołał.

— Lecz mogłoby być! — odparła Elżusia; porzuciłżebyś mnie i słowo złamał?

Zamilkł Pełka ponuro i szepnął drugi raz:

— To nie może być!

— Owszem to być może! — dodała Elżusia spokojnie — dziwniejsze rzeczy się dzieją. Cóż wy na to?

— Nie próbujcie mnie! — zawołał Pełka ze wzrokiem obłąkanym.

— Próbujcie i badajcie się wy sami, abyście się krzywoprzysięzcą nie stali... — rzekła Elżusia.

Pełka popatrzał na nią.

— Nie — zawołał — dopókim przy was i z wami, nie lękam się téj kobiety... Wy mnie od niéj uratujecie...

— Dałby to Bóg! westchnęła Elżusia; a po chwili mówiła znowu powracając do pierwszego:

— Słabą jestem kobietą... lecz uczciwości méj, prawa mojego i domowego spokoju a czci bronić będę... męztwo znajdę... Nie liczcie na to, że łzami

i narzekaniem tylko potrafię się zasłaniać... Towarzysza nie służebnicę bierzecie...

Medard rozpromieniał...

— Tego pragnę! zawołał... słabości méj dopomoże siła wasza... Bóg mi was zesłał...

I znowu się jéj do kolan pochylił, a gdy wyszli od okna po téj rozmowie, Pełka jakby odrodzony się czując, dopiero z nową otuchą poszedł wojskiemu za skarb dziękować...

Elżusia znikła na chwilę, a gdy wróciła, poszedł Pełka domagając się od niéj, aby pozwoliła ślub przyspieszyć. I na to nastąpiła zgoda, więc z Rożańskim razem na wojskiego nalegać poczęli, by nie zwlekał. Wedle obyczaju chciał stary i przygotować się do wesela, i wyprawę choć dawno już ją zgromadził, jeszcze dopełnić... i krewnych pospraszać — pokonano go jednak prośbami, a że panna się nie sprzeciwiała, posłano po indult do Krakowa nie zwłócząc. Wojski list do ks. biskupa i do officyała, który mu był przyjazny, podyktował. Pełka służył za sekretarza... Zabawili do późnego wieczoru, lecz nim jeszcze zmierzchło, niespodziany cale gość zjawił się — Zboiński.

Opowiedział się przybywszy, iż mu łamanie po kościach cale ustało, więc na sobie nie mógł wymódz, aby przyjaciołom nie służył do kompanii. Przyjął go wojski kieliszkiem, i tak jeszcze z godzinę przesiedzieli tu w ganku...

Przechadzając się odciągnął go na bok Rożański.

— Co się z posłem stało?

— Sądny dzień! rzekł Zboińsk: ludzi nam dwu okrwawił i poobcinał, wrzasku narobił, kobiety nastraszył, mieliśmy z nim taką robotę jakby z całym oddziałem, i ledwie go związanego do ciupy wnieśli. Tam tak wrzeszczał, iż musiałem mu lekki knebel wpakować w gębę, dla którego się nie udusi, a przynajmniéj krzyczeć przestanie...

Nie na rękę była Różańskiemu taka awantura, lecz cóż miał począć? pożegnali się tedy z wojskim, siedli na konie i już o zmroku pokłusowali do dworu. Całą drogę Pełka milczał, lecz z twarzy i słów, które mu wyrywali towarzysze, znać było, iż o szczęściu przyszłém marzył. Zdał się innym człowiekiem...

— Rożański, miły bracie — zawołał, zbliżając się do dworu — nie było druha jak i ty nie będzie. Tyś mnie rozumu nauczył i szczęście dał... niech Bóg ci to za mnie odda, bo ja całém życiem nie zawdzięczę...

— Ono to dobrze wszystko — odparł Rożański... miodem mnie smarujesz Medardzie... a no, nie uczyń ze mnie sobie wroga... bo, gdybyś uchowaj Boże, oszalał znowu, a ta cię szatanica obałamuciła, a krzywda się stała Elżusi... którą jak siostrę kocham — tak mi Boże dopomóż, nie miał-

byś straszniejszego nieprzyjaciela i prześladowcy nademnie.

— A niechże Bóg was od tego uchowa! zakrzyczał Zboiński — oszalałby człek, żeby taką zacną, piękną a miłą dostawszy żonę, jeszcze miał o kim innym myśleć... Ta to panie królowa... tylko patrz i dziwuj się... Szczęśliwy człowiecze!!!

Rożański dojeżdżał do dworu z trwogą, lękając się czy owego krzyku zakneblowanego dworzanina nie posłyszy — cicho jednak było zupełnie. Paweł stary w ganku stał i po łysinie się gładził czegoś zafrasowany... Z oczu mu patrzało, iż było coś nowego, co głośno się nie powiadało... Zawołał go z sobą do izby Rożański.

— A co tam? spytał.

— Pan się gniewać będziesz niechybnie, szepnął stary. Dworzanin zbiegł...

— Gdzie? jak?

— A no, związanego rzucili do ciupy, nikomu nie przyszło na myśl, kołkiem ją podeprzeć, kiedy leżał jak kloc... O zmroku poszedł włodarz zobaczyć czy się od knebla nie udusi, a tego już nie było... Sznury porozgryzał czy... Bóg go wie, z ciupy się wysmyknął, konia swego dopadł i ani wiadomo jak uszedł...

Wpadł Rożański w ogromny gniew na włodarza, na ludzi; ale po czasie i daremnie. Badanie na miejscu dowodziło, iż sznury potargał w istocie, a ze drzwiami nie miał kłopotu. Ciupa na ustro-

niu, krzakami obrosła, niczyich oczu nie ściągała; koń osobno stał w gościnnéj stajni... Chcieli pogoń posyłać, lecz w prędce się spostrzegli, iż byłaby daremna.

Miał tę myśl Rożański, niżby go potém odprawił, nagrodzić i zagodzić, teraz zaś mógł zanieść skargę i kłopotu przyczynić i kosztu we dwójnasób... Pisarzowa gotowa była za swego dworzanina o gwałt pozywać. Zgryzło to Wacka, lecz że się miał czem pocieszyć, już się w godzinę potém z awantury śmiał, którą przestraszona jeszcze żona chodziła smutna.

U wieczerzy wypito zdrowie narzeczonych ochoczo... i wszyscy się spać rozeszli...

Mieszkanie Pełki było dotąd w samym dworze —okna wychodziły na ogród, Gabryk sypiał w przedpokoju... Po północy już każdy w swoją stronę się udał i Pełka choć spać nie myślał, bo miał wiele z sobą do pomówienia, legł czując się zmęczonym mocno.

Noc była księżycowa prześliczna, a w drzewach słowiki na wyścigi się popisywały... Otworzył więc okno i tak w dumach o losie swym odpoczywał...

Już we dworze się wszystko uspokoiło i cisza panowała wielka, gdy w oknie postrzegł Pełka zdziwiony, jakby cień mary, która mignęła, stanęła i pochyliła się ku izbie.

Pierwszą jego myślą było, iż z niego żarty stroją... gdy cień ów sykać zaczął...

Najmężniejsi rycerze owych czasów na nocne zjawiska byli dość wrażliwi. Chodziły jeszcze naonczas dusze czyszcowe po świecie, zjawiały się widma i upiory. Pełka więc rozpoczął od krzyża świętego i formuły: Wszelki duch pana Boga chwali!

— Panie Rotmistrzu, jam nie duch! ozwał się stłumiony głos od okna.

Wielce zdziwiony porwał się Pełka, poznawszy głos Żaby, dworzanina pani pisarzowéj.

— Coś za jeden?

— Żaba! Żaba! czy mnie pan nie przypominasz?

— A cóż ty tu u kaduka robisz po nocy?

— Za was cierpię... westchnął przez okno wskakując pospiesznie dworzanin...

— Co to jest? co się stało? jakeś się tu dostał? powtarzał przelękniony Pełka — mów...

— O! jest o czém gadać, jeśli pan o niczém nie wiesz... dodał Żaba.

— O czémże mam wiedzieć?

— Jam tu życia niepewien, idźmy na ogród, powiem wszystko...

W głowie się pomieścić nie mogło Medardowi, co się z tym człowiekiem działo; narzucił więc co prędzéj opończę na ramiona i otworzywszy drzwi do sieni, po cichu razem z Żabą wyszedł do ogrodu. Tu żywéj duszy nie było oprócz śpiewających sło-

wików... posunęli się szpalerem milcząc ku końcowi ogrodu...

Żaba spieszył jakby go co pędziło, znać na nim jeszcze strach było...

We dworze wszyscy spali... mogli więc bezpiecznie, siadłszy na ławie, rozmawiać niepodsłuchiwani.

* * *

— Przebyłem ja tu dobrą łaźnie! wzdychając zawołał Żaba — i gdyby nie to, że dla naszéj pani pisarzowéj, jak ona każe i popatrzy na człowieka temi oczami co to na wskróś przebijają, radby każdy i w ogień i w wodę,—rzuciłbym już wszystko i do domu uciekał...

Przed kilku dniami nadeszła do nas wiadomość, że pan pisarz umarł...

Na te słowa Pełka się zerwał z ławy, stanął i załamał ręce...

— Pisarz umarł! Jadwiga wolna! Jezu mój miły... pisarz umarł!!

— Świeć mu Panie nad duszą — ale téż czas było, bo gdyby dłużéj pożył paniby nasza z nudów chyba nie wyżyła. Trzeciego dnia wołają mnie do pani... Stała w czarnéj sukni jak królowa... a! spojrzała na mnie... Rozumiesz ty Ropucho, odezwała się przezywając mnie, jak to u niéj we zwyczaju— siadaj na koń, jedź sobie gdzie chcesz, rób co ci się podoba, ażebyś mi tu Pełkę przywiózł, chceszli,

bym ci była łaskawą, a nie — to mi się na oczy nie pokazuj więcéj. Co mu mam powiedzieć? spytałem. Powiedz, że pan pisarz nie żyje, że ja sama, wdowa, sierota, opuszczona, i że mu nakazuję, aby mi tu natychmiast się stawił. Chciałem spytać i począłem już: — A gdzież go szukać? — Na końcu języka! odpowiedziała mi; masz pięćdziesiąt bitych talarów na drogę, żeby mi cię za półgodziny we dworze nie było... bo poszlę Wiercińskiego...

I tyle wszystkiego, kwadrans jechałem niewiedząc dokąd, szukaj wiatru w polu. Ale to już nie ma co opowiadać jakem pana szukał... Przybyłem tu do Rożańskich...

— Kiedy? zapytał Pełka...

— A! dni cztery czy pięć temu... Przyjmują mnie ni tak ni owak. Widzę wasze konie i ludzi, cieszę się. Wychodzi sam pan Rożański i powiada, żeście pojechali do Zdun, gdzieś w lasy niepołomickie, na łowy... Na łowy o wiośnie... coś mi się to nie zdało, a no! co było robić? Dali mi przewodnika do Zdun, pojechałem.

— Alem ja tu był! przerwał Pełka z oburzeniem.

— Otoż to... jeno mi do was dać dostąpić nie chciano... Chłop zdrajca jak mnie począł po puszczy wodzić, małom życiem nie przypłacił, okłamał mnie i drapnął. Ledwie z wielką biedą, dowąchawszy się, że tu sprawa nieczysta, ja nazad tu... przybywam dziś... pytam o was? nie ma. Wyjechał...

Konia mi zaraz odebrali. Daléj szlachcic jakiś nadjeżdża, ludzi ściągnęli, dawaj do mnie, i wiązać... Broniłem się i ludzim pociął.

— Ale za cóż wiązać! krzyknął Pełka, za co wiązać... jak to może być?

— Chcieli mnie do was niedopuścić. Myślałem, że ducha wyzionę. Siła złego, tylu drabów na jednego, rozbroili mnie, oszarpali, związali jak zbója i rzucili do ciupy...

— To nie może być! gdzie? tu? dziś? wołał Pełka... Gospodarza nie było! kto się ośmielił?...

— Ej! przerwał Żaba, nie było gospodarza, ale były rozkazy... Dosyć żem się godzin kilka w ciupie przemęczył z kneblem w gębie... alem w końcu jednę rękę, choć skórę odarłszy z pęt wyrwał, a za nią poszła reszta... Głupcy, ciupy za mną na zamek nie spuścili nawet, tak byli powrozów pewni... Wysunąłem się im jak węgórz, dopadłem konia i w nogi... Dopatrzyłem w krzakach jakeście ichmoście wracali, i postanowiłem choć życie stawić a do was się z poselstwem dostać.

Pełka stał milczący, gniewny i niemal oszalały... pierś mu się podnosiła jak kamieniem zgnieciona— myślał i walczył z sobą...

— Co oni tu z panem rotmistrzem robią, mówił Żaba daléj — ja nie wiem, ale możeż to być, żebyś pan całe życie dla téj naszéj pani poświęciwszy, teraz kiedy ona wolna—kiedy ona was woła jak jedynego przyjaciela—nie przybył i nie stawił się...

— A matka gdzie? spytał Pełka chmurno.

— Matka u nas...

— Wiedziałaż ona, że po mnie słano?

— A! uchowaj Boże! pani się widocznie kryła przed nią, bo i mnie kazała, gdyby się pytano, mówić, że do Lublina jestem posłany po kiry...

Pełka pochmurniał... Żaba mógł łatwo rozpoznać, iż coś już teraz nie tak było łatwo ściągnąć dawniéj skinieniu posłusznego niewolnika. Chodził Medard, ręce w tył złożywszy, przed ławą, wszerz i wzdłuż, myślał...

— Co to panie rozmyślać? — dodał dworzanin: na koń siadać i ruszać... póki te niepoczciwe intryganty nie zwietrzą. Ja już wiem wszystko, oni tu was łapią do jakiejś dziewuchy, a nie ma na świecie takiéj, choćby najmłodszą i najpiękniejszą była, którahy pani naszéj była warta. Żeby ona mnie wołała — mówił Żaba z uniesieniem, — z niebabym chyba do piekła za nią skoczył...

Ja pana nie puszczę... na koń i ruszajmy...

Pełka nic jeszcze nie odpowiadał, oczy sobie zakrył dłońmi i trzęsło go chwilami jakby febrą... a chodził i miotał się... to głowę na piersi zwieszając, to ją ku niebu podnosząc.

Dworzanin ciągle swoje prawił.

— Panie rotmistrzu, to nie ma co myśleć i wzdychać... na koń i jechać...

— Matka tam jest! powtórzył jakby do siebie sam Pełka...

— Ależ pan widzisz, że ona przeciw matce nawet po was śle, toż to znaczy, że ona nic nie będzie mogła przeciw wam. Nameczyłeś się pan dla niéj dosyć, życie całe, wiedzą o tém wszyscy, a gdy pora przyszła zapłatę wziąć — ważysz pan jeszcze — co poczynać... Już ona nie darmo was tam woła...

Ruszył się Pełka nic nie mówiąc, jakby już do konia, a Żaba za nim, lecz prędko stanął i ręce załamał.

— Nie — rzekł — tak nie mogę.

— A... rotmistrzu! mnie i siebie gubisz razem — zawołał, rzucając się do niego Żaba... na rany Pańskie jedźmy... a toż wdowa sama... sierota...

Zechcesz pan powracać... wrócisz... ale jéj odmówić...

— Trzeba doczekać gospodarza, aż wstanie, by się z nim rozmówić jak należy, i pozwać do ratunku...

Jak złodziéj uciekać nie myślę...

Gdy to mówił, zaszeleściało w krzakach i okryty opończą wyszedł z nich na światło księżycowe Rożański.

Obaj rozmawiający przestraszyli się z razu, a Pełka z gniewem powstał przeciw niego.

— Wziąłeś mnie waszmość widzę w kuratelę, zawołał, jak człowieka z rozumu obranego! Ślicznych się ja tu dowiaduję rzeczy... tom już nie

wolny, ale waszmości poddany... kiedy do mnie posłańców nie puszczacie.

— Hamuj się Pełko! rzekł spokojnie Rożański: com uczynił, za to przed Bogiem, ludźmi i tobą opowiadam. Gwałt popełniłem, nie przeczę, dla dobra twojego, dla przyjaźni méj. A katby mi kazał, dla innego się męczyć, krwawić i głowę rozbijać. Ja cię znam, jakeś poczciw tak słaby jesteś... baba utrapieniec, co z tylu już krew i życie wyssała.

— Héj! ty się to hamuj ze słowami! przerwał Pełka, bo to tu nie przelewki, — ani wyrazu więcéj na panią pisarzową.

— Wiesz, że do niéj nie mam nic, krom tego, że tobie życie struła — zawołał Rożański. Przyjaciel u mnie to więcéj niż brat... gdy widzę tonącego, ratuję, choćbym go chwytając okaleczył... ani się ciebie boję, ani ci się tłómaczę; gdy ochłoniesz, samo sumienie twe przemówi za mną.

Pełka zawahał się, ale wrzało w nim, zwłaszcza że mieli świadka.

— Lecz cóżem to ja gołowąs, dziecko, bez mózgu człek, że takiéj opieki potrzebuję!...

— Sam sobie odpowiedz... a popatrz coś robił przez życie... dla téj...

— Ani słowa o pani pisarzowéj! bardzo proszę! zagrzmiał Pełka... O moją i tego człowieka krzywdę upomnę się, bo i to płazem przejść nie może, a teraz... bywajcie mi zdrowi...

Rożański widząc go ruszającego z miejsca, choć czuł, że w passyi jest, rzucił mu się na szyję.

— Medardzie miły, bracie drogi — krzyknę w uniesieniu, bij mię i zabij, na zgubę cię nie puszczę...

Chwilę zdawało się, że się za ramiona pochwycą, lecz Pełkę zmogło to uczucie gorące z jakiém Rożański go objął... prawie płacząc... Wyrwał mu się z ucisku i stanął jak wryty.

— Pełko miły, przyjacielu! przypomnij sobie, żeś dziś przysięgał, żeś słowo dał, że uczciwym ludziom uczciwością swą ręczyłeś za siebie i za nas! Na rany Pańskie... odpraw tego człowieka! nie gub się! Co pomyśli ta kobieta, co ten starzec! Co spadnie na moją głowę, co na waszą duszę! Godziż się z kobiety takiej żart stroić! dla tego, aby się w jakieś tam oczy popatrzyć!

Pełka słuchał go i widocznie miękł, sam się doń przybliżył i począł go niemal łkając ściskać...

— Bóg ci zapłać! uratowałeś mnie...

Masz słuszność! nie godzi się... nie godzi...

Żaba ręce załamał... Rożański korzystając z usposobienia przyjaciela, postąpił ku niemu.

— Panie Żabo, rzekł — za krzywdę swą chcesz pomsty, dam ci ją — stanę ci do wybitéj... chcesz grzywien, zapłacę... a teraz jedź... jedź, póki... póki ci wrota stoją otworem.

Jedź... jedź! na Boga zaklinam, jedź!

Stał dworzanin zmieszany, spoglądając ku Pełce.

Wiedział, że tu już pono niewiele uczynić może... a przecie nie spieszył ustępować.

— Co mam pani powiedzieć? odezwał się cicho do Medarda.

Ten milczał długo, nakoniec postąpiwszy krok — rzekł z wysileniem:

— Powiedz jéj waszmość, żem póty jéj służył, póki wolny byłem, dziś już nie jestem. Słowo dałem, ślub za kilka dni. — Życzę pani pisarzowéj szczęścia wszelkiego, a no stawić się... nie mogę...

— A tylko coś się pan rotmistrz wybierał, cichutko szepnął Żaba. Dosłyszał to Rożański i głosem wielkim zagrzmiał.

— Jedźże pókiś cały, nieszczęśliwy pośle... radzę ci! a ludzi jak szatan, do łamania słowa nie kuś... bo mi już wątroba nabiera...

Pełka nie stanął w jego obronie, dworzanin zawrócił się w krzaki, dumnie głową pokiwał patrząc na Medarda i zniknął.

Zostali się sam na sam. Medard ledwie na nogach się trzymał. Poprowadził go na ławę Rożański i siedli na niéj razem.

— Uspokój się rzekł — uspokój — sprawa szczęśliwie skończona, nikt o niéj wiedzieć nie będzie — ja ci za złe nie mam słów twych, bom o nich zapomniał... Jeszcze dreszcz po mnie chodzi! Gdyby Opatrzność mnie tu nie zesłała... mielibyśmy dopiero tragedyę jutro! O Boże litościwy! ale Opatrzność nad wami i nademną czuwała... Teraz ja was

nie puszczę, aż po ślubie, a gdy Elżusię poznasz i zbliżysz się do niéj — już się ja o was nie zlęknę. Pełka siedział ponury; odniósł wprawdzie zwycięztwo nad sobą, lecz go ono wiele kosztowało.

— Rożański, bracie mój — rzekł kończąc rozmowę i ściskając go — nie sobiem winien, ale wam, żem uczciwym został. Niech ci to Bóg na dzieciach nagrodzi...

Żaba szedł powoli do konia, którego był za ogrodem do płotu przywiązał — a idąc klął co wlazło i pięścią się odgrażał z daleka ku Rożańskiemu.

Jak tu było do jejmości powrócić, potłuczonemu, odartemu i z takim poselstwa skutkiem? jak się było bodaj przyznać do takiéj niezdarności?...

Namyślał się wlokąc, czy mu jeszcze nie wypada się zatrzymać i inaczéj szczęścia próbować, lecz potłuczone boki, okrwawione ręce i śmiała postawa Rożańskiego nie dawały mu żadnéj nadziei, ażeby się lepiéj powieść miało.

— E! to był całe życie człek słaby! mówił do siebie Żaba... wodziła go nasza pani za nos, a teraz drudzy opanowali... nie ma co robić z tym człowiekiem...

Żaba pomyślał, że mu się spać godzi, a bodaj nad ranem, z gospodarzem rozmówić o swoją krzywdę. Nie było téż czego tak bardzo spieszyć do pisarzowéj z rapportem. Zajechał tedy do Żyda do gospody, kazał sobie siana posłać, piwa zgrzać i spać legnął.

Poznano w nim zaraz szlachcica, o którym już po całéj wsi było gadanie wielkie, arendarz więc jak świt, posłał cihaczem do dworu dać znać, że u niego nocuje. Paweł obudził z tém Rożańskiego, który kitel płócienny wziąwszy i szablę przypasawszy, poszedł do karczmy.

Żaba jeszcze spał — musiał więc gospodarz na przyzbie siadłszy poczekać, aż się przebudzi, bo czuł, że mu się po téj biedzie choć sen należał. Gdy się nareszcie na nogi zerwał i wiadro wody kazawszy sobie przynieść, wyszorował... Rożański wszedł na próg.

— Bez rankoru — rzekł spokojnie — wąsa kręcąc. Waszmość swoją sprawę uczciwie i gorliwie spełniłeś, jam czynił com był powinien. Żal mi szczerze, żem zacnego jak wy młodzieńca turbować musiał. Ale, co chcecie? chodzi to po ludziach! Ja Pełkę kocham i od podłości go bronię a od zguby; radbym przecie, żebyś i waszmość odemnie z raną na sercu nie odjeżdżał. Młodym waszmość jesteś i niedoświadczonym: przyjm dobrą radę, szukaj sobie lepszego pana, niż wasza pisarzowa, bo duszę zgubisz...

— Nic mi po waszmościnych radach — odparł Żaba, już ja sobie mam nadzieję i sam rady dać, przy pomocy bożéj. A co do pisarzowéj, tam się ja pono na oczy pokazać nie mogę, więc pewnie, że innego dworu szukać będę.

— Nie miejcież rankoru do mnie — rzekł Ro-

żański — jeśli szabli chcesz, gotowem, a na co się to waszmości zda? Ja się biję dobrze i obetnę, choć młodszym jesteś i silniejszym... Krzywdęm waszmości uczynił i na ciele i na kieszeni, jedź do dworu, wyliżesz się, a sto talarów bitych na drogę dam z braterskiego serca...

Żabie, który się był przez tę drogę wyekspensował, wcale nie od rzeczy były owe talary. Podał rękę Rożańskiemu.

— Jak mi Bóg miły, rzekł — z waszmości i przyjaciel jakich mało, i człek, który z ludźmi obejść się umie. Co się stało... puśćmy w zapomnienie; a kiedyście na mnie łaskawi... nie odrzucam... Pojadę do dworu.

— Bóg zapłać — dawałem sto talarów, pas dam lity w dodatku, żebyś miał odemnie na pamiątkę... Chodźmy pieszo, konia sprowadzić każę...

Tak tedy poszli razem. Żaba choć na pozór przejednany, miał jednak myśl, z którą się nie wydawał.

— Co to szkodzi? rzekł w duchu: do dworu pójdę, może znajdę zręczność z Pełką pomówić... któż wie jeszcze co będzie?...

Rożański ze swéj strony, choć mało człowieka znał i nie bardzo się młodzika obawiał, ostrożny był, obiecując sobie z oczów go nie spuszczać. Myślał też, iż dzień jaki wypocząwszy, pojedzie nazad do domu...

Zdziwił się Pełka, dowiedziawszy od Gabryka,

iż Żaba we dworze pozostał, a bodaj do obiadu miał przyjść. Nie bardzo mu to miłe było, bo się sam siebie obawiał. Z rana Zboiński jednać się poszedł z dworzaninem, i dopiero, gdy na stole już misy były, Pełka przybywającego Żabę zobaczył. Za stołem poili go na załatanie przykrych wspomnień, i humor się wziął dobry. Wstawszy, o koniach wszczęła się gawęda, i jak to zwykle bywało, harce w podwórzu.

Wyprowadzono różne, posiadano, toczono niemi, bo Żaba był jeździec doskonały, i znał się na wierzchowcach... A że się wszyscy końmi zajęli mocno, bo to sprawa serdeczna, i nie darmo Skarga szlachtę gromił za przywiązanie zbytnie do „kobylego syna“ — niewiele zważano na Pełkę i na Żabę, który umiał ze zręczności korzystać. Poszli Zboiński z Rożańskim na wyścigi po grobli.

— Hej, panie rotmistrzu, rzekł zbliżając się doń Żaba — co się stało trudno odrabiać. Żenicie się, daj Boże szczęśliwie... nie powiem nic — tylko że mi się serce ściska nad losem naszéj pani! Wszyscyśmy na to patrzali, cały o tém świat wie, że ona nigdy do nikogo przywiązania nie miała, tylko do was, w nikim takiéj wiary jak w was. Żeby nie matka, dawnoby ona była żoną waszą...

— I ja tak myślę, rzekł Pełka wzdychając.

— Teraz tylkoby ją przyjść i wziąć, sama się wam prosiła...

— A no matka jest...

— Ale to już nie to co bywało! rzekł Żaba: straciła wiele buty, poszedłszy za Cyrulskiego. Teraz się tylko płacze i modli, Boga za stare grzechy przepraszając. Za to pisarzowa śmielsza i ma swoją wolę w domu! Już nie bez przyczyny wołała was do siebie... boć przecie nie na obronę... nic jéj nie grozi... Ale serce przemówiło...

Pełka usta zagryzł...

— A! gdybyście ją widzieli jak wygląda! mówił Żaba z uniesieniem. Ja jakem żyw piękniejszéj nie widziałem kobiety... Nie starzeje, nie więdnieje, tylko zdaje się rozkwita coraz. Drugiéj takiéj nie ma na świecie.

— To prawda! cicho westchnął Pełka.

— Gdy jéj powiem coście mi kazali — dorzucił Żaba — nie długo będę we dworze popasał... trzeba innego szukać...

— Jedź do Gołczwi i siedź z końmi póki chcesz — odezwał się Pełka — a paś je jak ci się podoba...

Powracający Rożański ze Zboińskim nie dali mówić więcéj, gospodarz przypomniał po niewczasie, iż tam niebezpiecznego Żabę zostawił, rad był kusiciela przepędzić. Jakoż na widok jego dworzanin z ganku zeskoczył i do koni zaraz poszedł...

Po wieczerzy... rozeszli się wszyscy skoro. Rożański worek z talarami zabrał i do oficyny poszedł. Tu złożył je na stole przy Żabie.

— Com przyrzekł, przynoszę, rzekł, wyleż się

waszmość jak należy —jutro takim chłódkiem jedź... Pełka mi smutny, waszmość mu tę czarownicę przypominacie, zejdźcie lepiéj z oczu... człek się uspokoi.

Nie było już sposobu do Pełki przystąpić. Zdrajca Rożański, który o niebieskiéj kokardzie wiedział, a Gabryka za sobą miał, odkradł ową spłowiałą wstążkę, obwinął ją pięknie w papier, opieczętował i przez sługę Żabie odesłał, z tém, iż pan rotmistrz Pełka prosił o wręczenie obsigillatu tego pani pisarzowéj. Dworzaninowi było to na rękę, iż przynajmniéj do powrotu miał powód. Nazajutrz rano, nim słońce przygrzewać zaczęło, już na gościńcu był.

W drodze nie marudził, tak, że trzeciego dnia, nocami nadrabiając, przyjechał do rezydencyi. Ale do pani nie było mu pilno. Przybył wieczorem i oznajmywać o sobie nawet nie dał, myśląc do rana odwlec sprawę z poselstwa.

Ale go już fraucymer najrzał, bo pan Żaba tam miał dobre przyjaciołki, i nie upłynęła godzina, gdy pani wiedziała, a marszałek przyszedł, aby się Żaba zaraz stawił.

Nie było rady na to, przebrał się tylko, aby koniem nie śmierdzieć — wziął oddany mu papier i do dworu poszedł.

Godzina była szara... Jejmość chodziła niecierpliwie po sali.

Gdy się ukazał Żaba, pobiegła ku niemu niecierpliwa, i dumnie zawołała:

— Cóż to? sam! coś zrobił? gdzie byłeś? mów! Tupała nogą z niecierpliwości.

— Jakże to może być! mówiłam ci, żebyś mi nie powracał sam! mów...

— Żaba milczał, dobył nareszcie zbiedzonego głosu.

— A pani! rzekł — dobrze, żem życie wyniósł ztamtąd.

— Cożeś to na Tatara jeździł?

— Gorzéj, bom i w niewoli był, i zbity... i z niczém przybywam.

— Widziałżeś go?

— A jakże.

— Głowę straciłeś chyba! a no, mów!

Żaba nie był wielkim mówcą, jednak chodziło mu o skórę, żeby łask nie utracił, umiał więc przedstawić sprawę swoją w takich kolorach, jakich mu było potrzeba... Gdy doszedł do tego, że Pełka po zaręczynach i żeni się lada dzień, a potém papier wręczył, pisarzowa rozerwała go, pobiegła do okna, zobaczyła wstążkę i krzyknęła:

— Podły! nikczemny! zdrajca!..

Usłyszawszy krzyk, wbiegła matka przestraszona; to upamiętało pisarzową natychmiast, dała znak stojącemu u drzwi Żabie, zręcznie schowała papier za siebie i odezwała się ze śmiechem, że ją pająk nastraszył, bo pająków w istocie nie znosiła.

Choć matka może czego innego się domyślała, nie dała tego znać po sobie.

Z brwią namarszczoną, trzęsąc się od gniewu wewnętrznego, padła na siedzenie pani pisarzowa i milczącą pozostała długo. Uspakajającéj ją i szukającéj pająka matce, odpowiedziała ledwie kilku słowami; nareszcie łzy jéj z oczu pociekły, których nikt po ciemku nie widział, bo je co prędzéj otarła.

Matka pokręciwszy się nieco, wyszła...

Znała nadto dobrze córkę, żeby się pająkiem uwieść dała. Jakkolwiek wyprawa Żaby była sekretna, domyślała się jéj dawno. Na dworze miała ona swe potajemne związki, swe z fraucymerem stosunki i ludzi co jéj służyli. Powrót Żaby obudził podejrzenia.

Wiedziała, że chłopiec się w Strzemeszance ubogiéj sierocie kochał; natychmiast więc nasadziła ją obietnicą podarku, dla dowiedzenia się kędy był, co robił i z czém powrócił.

Choć się pisarzowa kryła, znając matki dla Pełki nienawiść, ze swą dla niego przychylnością, — matka ją o nią zawsze posądzała, a szczególniéj od owéj przygody w klasztorze lękała się, aby znienawidzony Pełka na swojém nie postawił. Na to sobie słowo dała, iż nie dopuści póki żywa.

Jak się spodziewać było można, Żaba pod okno od ogrodu przyszedł dla rozmowy ze Strzemeszanką, bo pannom po mroku wychodzić nigdzie nie było wolno. Wszczęły się tedy szepty i rozmowa. Pod oknem ławka stała, o któréj różne chodziły wieści, nawet że po niéj z okna i do okna wychodzono

i wchodzono. Bajki to jednak być musiały, bo fraucymer trzymała stara jejmość w wielkim rygorze.

Dla lepszego rozmówienia się, Żaba aż na ławkę wszedł, a Strzemeszanka się z okna wychyliła, tak, że ich nikt dosłyszeć nie mógł. Wzięła go panna na ścisły egzamen. Nie zdawało się już chłopcu, by miał sekret czynić, wygadał wszystko... skarżąc się na swoją dolę.

Tym sposobem tegoż wieczoru, za parę łokci atłasu na kabacik, pani Cyrulska dowiedziała się najdokładniéj o wszystkiem i zrozumiała co ów pająk miał znaczyć.

Nastraszyła się mocno, zwłaszcza tego, że córka się przed nią kryła... Dowodziło to wedle niéj i passyi nierozumnéj do człowieka, i mocnego postanowienia tym razem, aby na swojém postawić.

Modląc się i wzdychając mało nie do północy, tak przedumała stara pani, nie dowierzając temu, ażeby Pełka miał takie szczęście odrzucać... Prawdę rzekłszy, nie dobrze w sercu córki czytała: Była li to miłość czy fantazya? Czy chciała go mieć jako wygodnego służkę bez płacy, czy w istocie w sercu jéj się co kryło?...

Jak się tu było dobadać?

Nazajutrz gdy się spotkały, wlepiła oczy matka w pisarzową i znalazła ją smutną, chmurną, a gniewną...

— Co tobie jest? spytała, jużci tego głupiego

wczorajszego pająka czas było zapomnieć — czyś niezdrowa?

Jadwiga ramionami ruszyła — nie odpowiedziała nic.

— Bardzo mi frasobliwą wyglądasz, ozwała się troskliwa matka — a nie dziwuję się temu. Źle kobiecie wdową być, a ty jeszcze nie pozbywszy się tego trutnia, byłaś nią za jego życia... Nigdyś szczęścia nie zaznała, które ci się należy... kto tam winien, czy ja, czy los, dziś już o to nie pytać, człowiek się w rachubach myli... A no, teraz wybierz już sobie sama kogo chcesz... ja się nie sprzeciwię...

Bystro spojrzała Jadwiga na matkę.

— Nie mam kogo wybierać! westchnęła.

— To ci się śni! przerwała matka — pojedziemy na sejm... roić się będą ludzie koło ciebie. Wyglądasz gdyby róża... o adoratorów ci nie będzie trudno...

— Chyba dla rozrywki — odezwała się pisarzowa; już mnie tylko bawią jak pieski co służą na dwóch łapkach, a do nikogo serca nie mam...

— Toć na niewidziane nie sądzić! mówiła Cyrulska. Pisarzowa ręką rzuciła i wachlarz na stół się potoczył.

— Wszyscy oni, ilu ich znałam, ilu ich było, ilu się kochało — a matunia najlepiéj wiesz, że niemało... złamanego szeląga nie warci...

— Choć aby jeden musiał być lepszy?...

Pisarzowa znowu spojrzała bystro, jakby matkę badając — i zmilczała.

Nie było sposobu z niéj nic dobyć. — Strach brał matkę, bo z taką tajemnicą walka była niełatwa. Wolała dobyć na wierzch ukrytego nieprzyjaciela.

— Ten nienawistny mi Pełka — dodała — toż przecie się niby kochał...

— Tyle wart co i drudzy! wybuchnęła brew marszcząc Jadwiga. Przyznaję się, długom mu wierzyła, choć ten, choć jeden — a no — i ten — zdrajca!

— Dać bo mu pokój — przerwała Cyrulska: to już stary człek... a wartogłów... Trzy razy mu cię z przed nosa ludzie wzięli.

Jadwiga się wstrząsła..

— Powiem prawdę — zawołała jakby niemogąc się wstrzymać — dla niego jednego miałam trochę serca, ale go dziś nienawidzę!!

— Cożeś to się o nim dowiedziała? niby obojętnie zapytała matka.

— Niewarto i mówić — pospiesznie rzuciła Jadwiga — żeni się, właśnie teraz się żeni!

I poczęła się śmiać dziwnie a dziko... cisnęła znowu wachlarzem, ale o ziemię, potrzaskał się w kawałki.

— Wolałabym była go już zostawić w klasztorze, z Panem Bogiem trudno walczyć! a tom miała

go po co z kaptura wydrzeć, żeby mi się taką obrzydłą zdradą wypłacił....

Matka nie mówiła nic, iskrzyły się oczy Jadwidze...

— A to chwała Bogu, że się sobie żeni, odezwała się w końcu Cyrulska — przynajmniéj go już nie zobaczymy... mnie on kością w gardle siedział. Szlachcina jakiś, a piął się o senatorskie dziecko... Dojadł mi, dojadł... a jeśli kto winien, że się małżeństwa nie wiodły, to on... Spieszyłam się, żeby mu drogę zagrodzić.

— Tak — i mnie — do szczęścia! ponuro odezwała się Jadwiga.

— Co ci się dzieje?

— Sama nie wiem co się dzieje zemną! ofuknęła córka—to wiem, że mi się płakać chce, myśląc, iż go nie zobaczę, że mi go inna zabrała, że mnie znienawidził i wzgardził mną.

— Co ty pleciesz!.. zawołała Cyrulska z kolei... Takiego bałamuctwam się nie spodziewała, to już chyba opętanie! choć egzorcyzmy czytać nad tobą.

Z godzinę trwała rozmowa. Wyszła z niéj Cyrulska oburzona i zmieszana. Jedno ją to pocieszało, że Pełka się ożenił, i że to przejść musi, a córka łatwo go teraz zapomni.

Wieczorem kazała wołać Żaby pani pisarzowa, matkę odprawiwszy.

— Kiedy się miał żenić? zapytała...

Żaba dobrze nie wiedział, lecz słyszał, że dopiero za dni kilku, gdy papiery przyjdą z Krakowa...

Pochodziła jejmość po sali.

— Daleko to ztąd?

Żabie się zimno zrobiło. — Począł liczyć mile... Drogi kawał był spory...

— Co ona sobie myśli? gotowa jeszcze raz mnie wyprawić na zęby Rożańskiego...

Wypytawszy tak o podróż, o noclegi, o gościńce... odprawiła go pisarzowa, zawołano marszałka i koniuszego...

Jejmość zapragnęła jechać do Krakowa jak powiedziała, ale sama jedna i lekko, bez dworu... Chciała, aby nazajutrz do dnia wszystko było gotowe, ludzie, kolebka, konie...

Doniesiono o tém natychmiast matce, któréj to nie w smak poszło... Przytoczyła się do córki.

— A to co ja słyszę! odezwała się z progu: do Krakowa? jutro? nie powiedziawszy mi słowa? Cóż się stało? Od kiedyż to ja tu obcą jestem?

— Ja muszę... odparła chłodno Jadwiga — muszę...

— Cóż to jest?

— Pilna sprawa...

— Dla mnie zakryta?

— Tak! po namyśle odezwała się córka.

— Dla czego?

— Nie jestem dzieckiem... niech mi matka woli nie krępuje...

Dotąd cierpliwa pani expodczaszyna wybuchła.

— Myślisz, że ja nic nie rozumiem!

Poczęła się śmiać.

— W głowie ci się przewróciło. Dość już ludzie na nas plotą i czernią, — chce ci się nowych nieprzyjaciół i jadu... Myślisz swojego tego Pełkę od ołtarza oderwać, może na to, aby sukcedował rotmistrz po pisarzu... Ja na to nie pozwolę! ja tego szaleństwa nie dopuszczę!

Zerwała się Jadwiga z siedzenia. Stanęły przeciwko sobie.

— Jak mi to matka zabronić może?

— Na wszystko sposób — a nie dopuszczę wstydu i głupstwa...

Zawrzała kłótnia jakiéj jeszcze nigdy nie było, zapomniała się matka, uniosła córka... Zagroziła pisarzowa wyjazdem, nie wstrzymywała jéj druga. Wszystkie panny z fraucymeru, drżąc, podsłuchywały pode drzwiami... aż Jadwiga osłabłszy się rozpłakała...

Poczęły się tedy pieszczoty i przejednywenia, żale i tłómaczenia, a mimo to oświadczyła Cyrulska, iż do Horbowa odjedzie.

— Rządź się sobie i rób co chcesz! ja się do niczego nie mieszam...

Z tém się rozeszły... późno w noc...

Stara wróciła do izby i nie kładąc się już spać,

posłała do stajni po swych ludzi, aby w godzinę do drogi byli gotowi... W całym domu popłoch i zamieszanie było największe...

Nazajutrz rano, gdy pani pisarzowa, ze zwykłą sobie despotycznością, konie kazała zaprzęgać, a cała służba latała, aby co rychléj zadość uczynić jéj rozkazom — już od dawna pani Cyrulskiéj nie było.

I córka i wszyscy w domu przekonani byli najmocniéj, że wyruszyła rozgniewana do Horbowa, to téż się o to jak najmniéj troszczono. Stało się wszakże, czego nikt przewidzieć nie mógł. Stara jechała, spiesząc, by córkę do Rożańskich wyprzedzić. Żaba wszystko wyśpiewał, co do pokierowania się w drodze potrzebne było... Sypiąc pieniędzmi i umiejąc ludźmi się posługiwać, matka nim wyjechała, urządziła tak wszystko, ażeby córka nietylko jéj wyprzedzić, lecz nawet dopędzić nie mogła. Ujęci byli furmani, przekupiona służba, konie w drodze chorować musiały, tysiączne przeszkody opóźniać... Przeczuła bowiem dobrze, iż córka dla przeszkodzenia nienawistnemu małżeństwu poleci do Pełki, choćby go od ołtarza odciągnąć miała... Była tego pewną... nie mogła się omylić i nie myliła się téż wcale.

Pisarzowa w istocie powzięła zuchwałą myśl stawić się osobiście tam, gdzie przez posła nic się jéj uczynić nie udało.

Rożański tryumfował już, oczekując tylko na

indult i papiery, aby państwa młodych do ołtarza poprowadzić.

Z dnia na dzień opóźniali się posłańcy, wyprawiono za pierwszymi drugich... bo i Wacek czuł, że *periculum in mora.*

Woził co dzień Pełkę do narzeczonéj i miał tę pociechę, iż przy niéj widział go odrodzonym, wesołym, szczęśliwym, zapominajacym o starych szałach i o niezdrowych amorach (było to znane nam już wyrażenie Rożańskiego). Lecz cóż? zaledwie od Kmiciców wyjechali, a Medard sam pozostał z myślami, wpadał w melancholię i chodził jak z krzyża zdjęty. Wacek szpiegując go, słyszał po ciemku nocą do ranka niemal, przechadzającego się po izbie i wzdychającego, aż litość brała.

Jedna Elżusia umiała go oczarować tak, że mu zmysły zdrowe, wesele i ochotę do życia przywracała. Bez niéj słowa od niego trudno było nawet dopytać. Przygotowania do wesela zdawał na Rożańskiego, trzos mu cały powierzył. — „Rób co chcesz, rzekł, ja nic nie potrafię... ale rób tak, aby panna Elżbieta była rada, i co on zechce i każe". Żal było nań patrzeć, bo cierpiał okrutnie, a nie chciał tego po sobie pokazywać, i twarz mu w kilka dni wyciągnęła się jak nigdy po najdłuższéj chorobie, oczy pozapadały, a do jadła, ani do napoju namówić go nie było podobna. Czasem, prawda, do kieliszka się chwycił i pił bez pamięci,

ale tylko mu lice się zapaliło, a humoru nie zyskał ani pamięci nie tracił.

Wacek nawet przed własną żoną klął niewiasty i ich sprawy, a potém ją całując przepraszał.

— Nie ma głupszego człowieka, mówił, nad tego, który się podwiki przyczepi, — bo go już ani rozumem pożyć, ani łzami rozczulić, ani siłą odciągnąć niepodobna, póki za nią do przepaści głową na dół nie poleci.

— A cóż temu kobieta winna, że człowiek szaleje? odparła żona.

— Już ty mi nie mów, przynajmniéj o téj... bo że ta winna, i że jabym ją do klasztoru na całe życie na pokutę wsadził... to — tak mi Boże dopomóż... Do klasztoru! Pełka się bronił jak mógł, schował się aż za ołtarz! nie! i ztamtąd go dobyć musiała...

Indulty jak nie przybywały, tak nie przybywały, a Rożański głowę tracił... Był już nawet w pertraktacyach z plebanem o to, aby się bez nich obejść można. Lecz ksiądz rygorysta, zgodzić się na to nie chciał, chociaż nie byłby srodze karany, bo istotnych przeszkód nie było, a o formę tylko chodziło.

Rożański pędził codziennie Medarda do Elżusi, a sam, gdy jechać nie mógł, siadał w ganku i tych posłańców jak kania dżdżu czekał, oczy wypatrując na gościniec.

Gdy tak raz siedzi zadumany, wąsa kręcąc, iż

go mało nie wyrwie... od gospody nadbiegł z wielkim pospiechem arendarz. Zoczywszy pana w ganku, z daleka czapkę zdjął i szybko się przybliżył. Zwykle rozmowy prowadził stojąc w pewnéj odległości, tym razem po przywitaniu, wschody całe przebiegł i do jaśnie wielmożnego ucha pańskiego się pochylił, oznajmując, iż jakaś pani stoi z powozem na gościńcu przy gospodzie i pilno się z nim widzieć żąda.

— A czemuż nie zajedzie do dworu? zapytał Rożański.

— Ona prosi, żeby jasny pan sam do niéj się fatygował... bo bardzo pilny ma interes.

Próbował Rożański dopytać, jak ta pani wyglądała, i dowiedział się tylko, że była nie młoda, a otyła — a jak żyd się wyrażał, kiedyś musiała być cale nieszpetna...

Rożańskiego to tknęło, nie opowiadając się więc żonie; zwłaszcza że do gospody wcale nie było daleko, poszedł razem z arendarzem. Zaraz ze dworu widać już było kolebkę w pół obłoconą, na pół opyloną i ludzi koło niéj się krzątających. Ciekawością gnany, przyspieszył kroku... O kilka kroków był od kolasy, gdy głowę z niéj wyglądającą ujrzał, i poznawszy nieszczęsną Cyrulską, o mało się nie cofnął.

Ta go już ręką co najżywiéj powoływała ku sobie...

Z marsem na czole, kwaśny, zbliżył się ku niéj pan Rożański, witając ją zimno...

Stara jejmość, kazawszy sobie rękę dworzaninowi podać, wysiadła, odeszła kroków kilkanaście od ludzi, aby rozmowy słyszeć nie mogli, i niedługo myśląc, odwróciwszy się do Rożańskiego, zawołała:

— Chcesz waszmość przyjaciela ożenić? no — to spiesz się... ta warjatka, Panie Boże odpuść... moja córka... już tu panie jedzie, by małżeństwu przeszkodzić, a ja małom szyi nie skręciła, spiesząc przed nią, aby wam oznajmić... chcecieli być cali... żeńcie prędzéj.

Usłyszawszy to Rożański, osłupiał z razu.

— Ale!

— Czy to waszmość nie rozumiesz? — przerwała mu Cyrulska — ja nie dla miłości tego utrapionego Pełki waszego tu przybywam... niechby mu szatan karku nadkręcił... ale mi córki żal, i nie chcę, by na nią gadano...

Jéj tylko co nie widać! a że jéj żadna siła nie wstrzyma od popełnienia głupstwa, to więcéj niż pewno. Szatan ją opętał z tym Pełką! mówiła w gniewie Cyrulska, poruszając się gorączkowo.

— Indultów nie mamy... odezwał się Rożański; gdyby i były nawet dziś, toż przecie ślubu tak dać im nie można, boby ludzie nie wiedzieli co myśleć, do czego pospiech taki...

Lecz jestżeś pani pewna, iż pisarzowa się odważy?...

Ruszyła ramionami matka.

— Czy jestem pewna? zapytała — a toś dobry! Toćbym przecie nie leciała tu, nie spieszyła się z utratą zdrowia ją wyprzedzić! Powiadam wam, tylko co jéj nie widać...

Zamyślił się Rożański.

— A nie możnaby jéj wstrzymać po drodze?

— Czém i jak? zawołała stara.... ani perswazyą, ani strachem jéj nie wziąć.

— Zajedziesz pani do nas do dworu? zapytał zadumany Rożański.

— Za nic w świecie, bobym się z Pełką spotkać mogła, a tego nie chcę.

— Przecież i naradzić się, i namyślić należy, a pani odpocząć.

— O mnie nie myślcie, tylko o biedzie, odparła stara... ja sobię radę dam... A nie lekceważcie méj przestrogi... zobaczycie... nieszczęście i sromota się stanie, jeżeli temu nie zapobieżycie!

Rożański miał o kilka staj folwarczek... z małym dworkiem; do niego więc jął zapraszać, jeśliby w blizkości pozostać chciała pani Cyrulska, która ze zmęczenia zgodziła się tu odpocząć. Sam wypytawszy, kiedy się mniéj więcéj spodziewać można przybycia pisarzowéj, co najprędzéj do dworu pospieszył.

Szczęściem siedział tu jeszcze Zboiński, człek do rady i na zły raz nieopłacony.

Wybierał się właśnie na ryby z dworskimi, gdy dopadł Rożański, pod rękę go chwycił i odwiódł na stronę.

— Alboś ty przyjaciel mnie i Pełce, lub nie; bez ciebie się tu nie obejdzie; chcesz mi pomódz?

— Całą duszą.

— Orzech twardy do zgryzienia...

— Ale i zęby niczego! uśmiechnął się Zboiński — mów a rąb bez obwijania.

— Licho babę niesie, żeby ślubowi Pełki przeszkodzić. Nie udało się jéj przez posła, wybrała się sama... Matka, która Pełki nienawidzi, nadjechała tu z przestrogą. Jeśli pisarzowa pospieszy przed ślubem. Pełka ją zobaczy, przepadło wszystko... a mnie choć się powiesić.

— Ale cóż ja na to poradzę?...

— Słuchaj, zawołał Rożański: na wielkie utrapienia, wielkich trzeba broni używać; my tu prośbą i głaskaniem nic nie dokażemy...

— Cóż ty, chcesz ją jak Żabę związać i do ciupy posadzić!

— Gotówbym i na to, gdyby można, ale inaczéj zrobić można... Babę na drodze wstrzymać musimy i zasekwestrować, póki się ślub nie odbędzie... Bierz ludzi — koni ile chcesz... ja nie mogę sam... w niewolę wziąć i nie puszczać dopóki nie dam znać!

Zboiński się począł śmiać.

— Ale się tobie z téj gorącéj przyjaźni i aprehensyi w głowie przewróciło! Rożański, kochanie moje, to gwałt na publicznéj drodze.

— Ty mi to mówisz! albo to ja tego nie wiem? zawołał Rożański zniecierpliwiony — przecież się jéj nic nie stanie... Zniecierpliwi się, nałaje i po wszystkiem... Gdy my się ze ślubem ułatwimy, niechaj przybywa, ja się jéj wówczas nie boję.

Zboińskiemu było to nie na rękę i nie w smak, walka z kobietą, awantura na gościńcu, a nuż dwór pisarzowéj porwie się do szabel i pistoletów, nuż do kul przyjdzie i do utarczki... kryminalna sprawa! Pozew do trybunałú z regestru taktowego i grzywny, i wieża, a pod złą godzinę nawet infamia.

— Opamiętaj się no — pogadajmy spokojnie, mój Rożański, rzekł prowadząc do ławy w ganku...

— Ale tu czasu nie ma! krzyknął Rożański: każda chwila droga, baba może na Kmiciców na dwór najechać!

Załamał ręce Zboiński i chodził — okrutnie mu się nie chciało.

Tu innéj rady nie ma — dodał Wacek. Nie chcesz, siadam na koń i lecę po dwóch Borowskich, i ich wyszlę, ci mi nie odmówią, a swoje zrobię. Przecież gwałtu żadnego nie trzeba... Jejmość nastraszyć lada czém — powiedzieć bodaj, że od granicy tureckiéj polem aż tu mór przyszedł i lu-

dzie jak muchy padają, a nie puścić jéj pod tym pozorem.

Śmiał się Zboiński.

— Nie zbywa ci na koncepcie!

— Mów co chcesz, czyń co chcesz, byle ją zatrzymać! wołał Rożański.

Jak zaczął tak Zboińskiego ze wszech stron zachodzić, a zaklinać na co miał najdroższego, w końcu go skruszył.

— Jadę, rzekł, dziéj się wola twoja! a no, pamiętaj, że gdy się co niedobrego stanie, nie spada na mnie... Ludzi daj i koni co najwięcéj, co najrychléj, i drogę wskaż. Co robić! muszę, to jadę.

Zaczął go tedy Rożański ściskać i całować, i wnet po włodarza, po ludzi, po czeladź, konie... We dworze i na pięćdziesięciu siodeł się i żelaza znalazło... Rzecz jednak była tak niezwykła nagłe zbrojenie, iż popłoch padł po wsi i we dworze... a już ludzie prawili, że Tatarzy lub Kozacy wpaść musieli, ani im tego z głowy było wybić można. Nie bardzo ochotnie brała się czeladź na wyprawę, lecz musiała... Wrzawa, zgiełk, rwetes okrutny zawieruszył w jednéj chwili dworem i wioską... Zboiński się w pół zbroiczki odziewał i jak dowódca już na koniu siedział. Za nim zbierana drużyna, ludzie po większéj części, którzy jako ciury i czeladź już za wojskami chodzili, a z orężem i rozkazem obejść się umieli. Wyglądało to

niepokaźnie, koń nie był doborowy, rynsztunek łatany, odzież jaką kto miał, a co oręż, o tém, już i mówić nie ma co... Zboińskiemu wstyd było takiemu oddziałowi dowodzić, a no ciągle powtarzał, iż się Cygan dla przyjaźni dał obwiesić — takoż i on.

Rożańskiemu aż się lżéj na sercu zrobiło, gdy ich ruszających z podwórza zobaczył... Ścigał ich oczyma dopóki do lasu nie wjechali. Zboińskiemu innéj instrukcyi nie dał tylko: Czyń co chcesz, byleś mi jéj tu nie dopuścił.

Ten choć z razu ze wstrętem się wybierał, teraz już śmiał się z przygody, która mu się osobliwą wydawała. Drogę miał przepisaną, na któréj spotkać musiał koniecznie jadącą pisarzową.

W istocie, mimo nagromadzonych umyślnie przeszkód i po drodze zwłok bez liku, niecierpliwa wdówka zbliżała się z ludźmi swoimi, sporząc i nagląc do celu podróży... Więcéj jednak niż o dwadzieścia cztery godziny wyprzedziła ją matka, tak, że Zboiński spieszno jadąc ze swymi ludźmi, po karczmach wszystkich języka biorąc, późno w nocy dopiero z orszakiem jéj się spotkał.

Było dobrze po północy, gdy dobiwszy się do ogromnego karczmiska na skraju lasu, i zmusiwszy, aby mu otworzono — zobaczył w niém tabór ludzi i koni, których zaraz policzył, a po Żabie poznał do kogo należeli. Nie było ich nawet dziesiątka...

Swoimi Zboiński tak rozporządził, że ich piętna-

stu na łące pod karczmą, z końmi posiodłanemi, którym tylko popręg popuszczono, nocowało — a samoszóst do gospody się włamał prawie siłą, bo go puszczać nie chciano. Mimo zgody, Żaba do niego ząb miał, nie mógł mu zapomnieć, że go wiązać kazał. Narzuciwszy opończę na ramiona, wstał z posłania kwaśny, i powitawszy, chciał się go koniecznie z gospody zbyć, że miejsca w niéj nie było.

— Musimy się jako tako pomieścić — odparł Zboiński — to darmo, noc chłodna i rosa okrutna, a mnie jeszcze febra dokucza.

— Dokądże to? zapytał Żaba.

— A wy? odparł Zboiński...

My?... my... a no, w Krakowskie... zawołał Żaba.

— Toście się dobrze wybrali! my ztamtąd uciekamy...

— Albo co?

— E! czyż nic nie wiecie?

— Cóż się stało? spytał Żaba...

— Mór, mór straszny, wzdychając, począł, i minę płaczliwą czyniąc Zboiński.

— Od kiedyż?...

— Dni temu dziesięć, a co się w różne strony nie rozbiegło, to wszystko popadało... dwory i miasta pustkami stoją, na Szlązko, do Węgier, gdzie kto mógł uszedł...

Żaba słuchał uszom nie wierząc.

— Gdzież? zkąd?

— Z wiatrem jakoś od Turka przyszło, mówił z wielką powagą Zboiński — klęski takiéj u nas jeszcze nie bywało... Wczoraj zdrowi wszyscy... nazajutrz wionie i we wsi tylko trupy leżą...

— Ależ... to nie może być, toćby już po świecie słychać było?

— Tają tę klęskę, żeby ludu nie straszyć... rzekł zsiadając z konia Zboiński... Zmiłujcie się nie jedźcie...

Gdy tak gwarzyli, ze drzwi izby osobnéj głowy kobiece się powysuwały, nasłuchując... Pisarzowa ciągle niespokojna wstała i przyodziała się... bo już i na brzask rychło się brać miało.

Zawołano na Żabę; ten wystraszony pobiegł do pani i zaraz jéj wyśpiewał wszystko; nie powiedział tylko przez zapomnienie, zkąd Zboińskiego znał i gdzie go widział.

— Prosić go do mnie! odezwała się wdowa... jużci mi tego powtórzyć nie odmówi.

Zboiński nigdy w żywe oczy owéj sławnéj piękności nie widział, bardzo téż był ciekawy. Pisarzowa choć po podróży i nie mając się czasu przystroić, ani myśląc jak się wyda, gdyby z przemysłem chciała się z całą swą pięknością pochwalić, lepiejby nie potrafiła. Miała na sobie letniczek biały i bose nóżki w pantofelkach, na ramionach jupkę z futerkiem, a włosy poplątane, ale z takim wdzię-

kiem przypadkowym, żeby jéj żadna fryzura tak nie przybrała jak one.

Gdy Zboiński wszedł i popatrzał na nią, dopiero Pełki szaleństwo zrozumiał. Jejmość wprawdzie wiadomością o morze była przestraszona, lecz zobaczywszy rycersko przybranego mężczyznę, który przed jéj pięknością osłupiał, nie mogła być na to obojętną i uśmiechnęła mu się mimowoli. Nie pierwszy to raz wywierała to wrażenie, a lubiła, gdy od jéj oczu ludzie głowy tracili...

Coś mi mój dworzanin poplótł, a no zrozumieć trudno — odezwała się tym głosem wdzięcznym, który brzmiał jak piosenka bez serca... Czyście sobie z niego żartowali? Mór? u nas? w Krakowskiém? niechże na Ukrainie, na Kresach, na Rusi, ale tu, i zkądże, gdy o nim słychać nie było.

Zboiński do swéj komedyi miał się czas przygotować: westchnął i smutną bardzo przybrał postać.

— Istna prawda, odezwał się, że mór jest straszny... niektóre okolice zupełnie opustoszały... po dworach ludzie, co się nierozpierzchli—wymarli.

Pisarzowa ręce załamała.

— Gdzie? w któréj stronie?

Zboiński umyślnie okolicę wybrał najbliższą Rożańskich. Pisarzowa pobladła...

— Lecz z dworów powinni się byli do Krakowa salwować...

— Tak téż uczynili, o ile wiem, Kmicicowie, Rożańscy, Borowscy i wielu innych...

— Rożańscy? wszyscy?...

— Dziś tam żywéj duszy we dworze nie ma, w Krakowie wszyscy. Powietrze idzie istnie jako powietrze, jako burza... ale przechodzi rychło...

Nie wiedziała co mówić pisarzowa... Zboiński stał i patrzał w nią jak w tęczę...

— Że było od czego szaleć, mówił w duchu, to prawda... Cóż to musiało być przed kilkunastu laty, kiedy dziś jeszcze oślepnie człowiek patrząc na nią...

Pisarzowa spostrzegła, że na podróżnym czyniła wrażenie; w takich razach miała sobie za obowiązek ułaskawione stworzenie do wozu zaprzęgać.

— Jeśli już tak źle jest, odezwała się, a dała mi Opatrzność waszmościa tu spotkać, kobiecie pomocy i rady nie odmówisz. Jechałam właśnie w tamtą stronę — co mam począć?

— Hm — odezwał się Zboiński, choć mu serce miękło i kobiéty żal być poczynał — hm, najlepiéj tu w lesie biédę przesiedzieć, bo w lasach tylko od powietrza ludzie wolni. Mór idzie jak płomień szybko, lecz przechodzi téż prędko.

— A do Krakowa droga wolna? zapytała pisarzowa.

— Któż to wie? anibym radził się puszczać.

Zniecierpliwiona wdówka poczęła pantofelkami stukać po podłodze, załamała ręce, nie wiedziała co czynić.

Zboińskiemu i żal jéj było nieco, i śmiech go

brał pusty, że mu się z tym morem tak powiodło. Właśnie gdy nieostrożnie się sobie sam uśmiechał, z pod spuszczonych powiek pięknéj pani padło z ukosa wejrzenie, postrzegła uśmiech — i obudził w niéj niedowierzanie.

Sama historya dość już i tak była nieprawdopodobna. Zboiński w tejże chwili przybrał postawę i minę zafrasowaną, ale już było po czasie. Pisarzowa poczynała wietrzyć zdradę.

Napadła go tedy gradem zdradliwych zapytań. Zkąd jechał? kogo znał? i dobyła wiadomości, że z Rożańskimi był dobrze.

To jeszcze bardziéj w podejrzeniu ją utwierdziło.

— A dokądże się Rożańscy udali? zapytała.

— Pewnie do Krakowa — rzekł Zboiński — tyle wiem, że tam w okolicy wesele miało być, które przyspieszono, odbyto *privatissime*, i wszyscy się rozpierzchli.

— Czyje wesele? spytała wdowa.

— Jeśli się nie mylę, rotmistrza Pełki z Kmicicówną.

— Ależ się ono jeszcze odbyć nie mogło! niecierpliwie zawołała kobieta.

— Jakto nie mogło, gdy się odbyło? — potwierdzi Zboiński — niemal świadkiem byłem; a że oboje państwo młode na moje oczy widziałem, na to pani poprzysiądz mogę.

Spojrzał na panią pisarzową, na któréj twarzy

nie dostrzegł najmniejszéj zmiany, bo zwróciła się trochę ku oknu, aby wzruszenie ukryć, a gdy znowu wzrok rzuciła na niego, była całkiem spokojna.

W istocie podejrzenie się jéj wzmogło, a instynkt jéj jakiś szeptał, że Zboiński kłamał; przypuszczała już, iż wysłany być musiał, ażeby ją powstrzymać.

Lecz któżby o jéj przybywaniu miał oznajmić? tego pojąć nie mogła.

Zakręciwszy się po izdebce, skłoniła się szlachcicowi żegnając, a Zboiński, który się dłuższego badania spodziewał, wyszedł nieco zawiedziony.

W chwilę potém jejmość Żabę wezwać kazała... i stał posłuszny w progu.

— Ropucho! zawołała po cichu: ma ten szlachcic z sobą ludzi?

— Jest ich z pięciu...

— Spój mi zaraz którego z nich i dobądź z niego prawdy... Ten człowiek kłamie... Dowiedz się zkąd jadą? dokąd? o powietrzu tém! Rozumiesz? prędko... Konie mieć w pogotowiu...

Żaba był dosyć zręczny, lecz to mu nie poszło łatwo, człowieka oderwać z pod oczu Zboińskiego nie miał środka...

Chodził w koło i nierychło sobie dobrał jednego z nosem czerwieńszym, do którego poszedł w ciche konkury. Z wolna go odciągnął nieznacznie do izby szynkowéj, a tu już nie szczędząc nic, kazał

miodu dać, szepnąwszy żydowi, aby co najmocniejszego ma, stawił...

Człek był nieobrotny... rozespany... opowiadania owego o powietrzu nie słyszał, nie wiedział o niczém. Kłamać ani myślał, ani umiał. Gdy go Żaba przyparł o ów mór straszny, ramionami ruszył i rzekł, że o nim nic nie wie.

— Jakże nie wiecie, gdy od niego uciekacie?

— Co wam paneńku się śni? rzekł rozdobruchany chłopek — już my was raz wiązali, a toby pono drugi raz należało... Gdzie kto o morze słyszał?

Śmiać się począł. Żaba dopiero w nim rozpoznał jednego z tych, co go do ciupy wrzucali...

— Zkądżeście? od Rożańskich?

— A juścić! rzekł naiwnie chłop — toć was zaraz poznałem....

— Cóż u was słychać?

— Co ma być? do weseliska się przyrządzają...

Nie pytając dłużéj, aby podejrzeń nie ściągnąć, Żaba się wymknął i pobiegł do pisarzowéj z raportem.

Na pierwsze usłyszane wyrazy, natychmiast konie kazała zaprzęgać.

Zboiński stał gdy się to działo i domyślił się, że się mu iało wydać kłamstwo. Nie było już rady... wysłał człowieka i ludziom z łąki kazał przybywać, a karczmę do koła ostawić. Tych, któ-

rych miał w środku, rozłożył tak, aby wrót pilnowali i kołami je podparli.

Zaprzęgano do kolebki.

— Co to robicie? spytał spokojnie Zboiński.

— Myślimy jechać! rzekł Żaba.

— Dajcie temu pokój — odezwał się szlachcic — ja wam pod mór ruszyć się nie dam.

Roześmiał się dworzanin.

— Wolne żarty...

— To nie żarty wcale — mówił Zboiński — ja was ztąd nie puszczę...

— Widzisz pan — począł Żaba — niechno się pan obliczy, to trochę będzie trudno... Nas tu mało nie dziesiątek, a ichmościów sześciu, i gdyby na odwrót było, my sobie gwałtu uczynić nie damy.

— Wyjrzyjże — no panie bracie, trochę przez szpary od ścian — śmiejąc się rzekł Zboiński — przekonacie się, że ja na wiatr nie mówię nic... Prawda, że nas tu sześciu, a no po za karczmą też trocha jest.

Żaba pobladł, lecz sądząc, że go tak straszy na żarty, pobiegł i oko przyłożył do wrót... Za wrotami stało rzędem kilkunastu konnych i zbrojnych ludzi.

— Cóż to ma znaczyć? zawołał.

— Jużem wam mówił — ozwał się Zboiński — darmo konie zaprzęgać, nie pojedziecie.

— Dlaczego?

— A no — mór!

Zboiński sam się z tego rozśmiał co mówił.

Żaba zgłupiał, rzucił się do izby, w której była pani. Nie broniono mu. A tuż drzwi się otwarły na oścież, i pani pisarzowa wybiegła z oczyma zapalonemi wprost na Zboińskiego.

— Słuchaj waszmość, zawołała, czy mi wytłómaczysz co to jest? Prawisz mi o morze? Ludzie mówią, iż z karczmy puścić ich nie chcesz? Coś za jeden? Jakiém prawem?

Na te żywo jak grad sypiące się słowa, Zboiński miał czas namyślić się z odpowiedzią.

— Wierzysz pani czy nie, iż mór jest, do woli jéj to zostawiam — ale mi kazano w tamte strony nie puszczać ludzi — i nie puszczę.

— Kto kazał? kto śmiał? krzyknęła pisarzowa.

— Z urzędu... rzekł zimno Zboiński.

Gdy to mówił i wyplątywał się jak mógł i umiał, pisarzowa patrzała nań, badała, twarz się jéj mieniła, naostatek skinęła, aby za nią do izby szedł, i drzwi za nim zatrzasnęła.

Ze wzruszenia w początku mówić nie mogła, aż ochłonąwszy.

— Czy mnie waszmość masz za dziecko? czy za obraną z rozumu? rzekła w końcu. Dosyćby było tego trefnego dworowania, mów mi waszmość prawdę, co to znaczy? com ja waćpanu winna?

Zmieszał się szlachcic.

— Mnie nic, a nic — rzekł — ale... zrządzenie jest takie... Konjunktury, wypadki, iż pani pisa-

rzowa musi albo tu posiedzieć lub do domu pod moją strażą powracać, a daléj jechać, tam gdzie było jéj zamiarem... nie dopuszczę. Nie moja to rzecz tłómaczyć, jak, co, czemu, dla czego, przez kogo, jam tu poseł... żołnierz... o niczém nie wiem, a co mi polecono spełniam, i pani daléj nie puszczę.

Słuchając pisarzowa mocno się wpatrywała w mówiącego, zdawała się badać jego twarz, chcieć odgadnąć charakter, wyrozumieć słabość, zbadać człowieka. Oczy jéj biegały, zatrzymywały się na Zboińskim, wlepiały weń... Bladła, rumieniła się, i choć była najmocniéj poruszona, udawała wielką spokojność.

— Nic nie rozumiem, rzekła. Jakże to może być, aby kobiecie, szlachciance, wdowie po dygnitarzu, samowola i gwałt tamowały drogę, krępowały jéj swobodę? Toć waćpan popełniasz kryminał, targasz się...

Tak, tak — popełniam kryminał, odparł Zboiński; popełniam go, bo muszę.

— Cóż waćpana do tego zmusza? zapytała pisarzowa.

— Konjunktury... przebąknął Zboiński — okoliczności — wypadki... to rzecz mojego sumienia!

— I jakże długo mi tu asindziéj siedzieć każesz? zapytała pisarzowa, tłumiąc niecierpliwość.

— To się... okaże — rzekł chrząkając zakłopotany Zboiński — nic nie wiem.

— Jestem więc na gładkiéj drodze wzięta w niewolę?

W niewolę? nie, boć do domu nikt wracać nie broni...

— A wieszże waszmość dokąd ja jechać miałam zamiar?

— Supponuję, że wiem...

— Nie mógłbyś mi tego pan powiedzieć?

— A dla czego?

— Bo ja spełna nie wiem, dokąd mi się jechać mogło wydarzyć! zawołała pisarzowa.

Zboiński ruszył ramionami.

— A no! to cóż ja mam mówić?

Zdawała się zupełnie udobruchana i zaczynała wypadek w żarty obracać.

— Jak się pan nazywasz? dodała, pátrząc mu w oczy.

— Zboiński... odparł szlachcic kłaniając się.

— Widywałam Zboińskich z Kostrowca i znałam panią łowczynę...

— Stryjenką mi jest, rzekł Zboiński.

— Siadaj pan... proszę...

Zboiński sam nie wiedząc co z sobą zrobić, siadł na brzeżku żydowskiego stołka, ale w duchu mówił sobie: O! o! baba udaje obojętną — coś bardzo łaskawa, trzeba się mieć na ostrożności.

— Czyś pan służył wojskowo?

— A jakże, pisarzowo dobrodziejko, a jakże! i długo dosyć.

— Zaraz to znać z postawy... bo hreczkosieje inaczéj wyglądają... Jesteś pan żonaty?

— Dotąd jeszcze nie.

Pisarzowa gryzła w ustach koniec wachlarza, który ze stołu podjęła, a nie mogła się nigdy obejść bez tego sprzętu, tak że przy łóżku na stoliku wachlarz kładła.

— I dla czegożeś się pan nie ożenił?

— Ha! no... konjunktury, odparł niezbyt wymowny Zboiński, — przeznaczenie...

Pisarzowa się uśmiechnęła.

— Więc będziemy we dwoje pokutowali w tém karczmisku? odezwała się.

Zboiński ramionami ruszył.

— Wiesz waćpan, że tu oszaleć można.

— Cóż ja na to poradzę? możeby pani do domu jechała?

— Nie mogę — odezwała namyślając się pisarzowa — muszę w tamte strony! ale... słuchaj panie Zboiński, wam się wszystkim w głowie chyba pomięszało.

Zapytany spojrzał i milczał.

— Widzę, że wy mnie podejrzewacie chyba, jakobym małżeństwu waszego przyjaciela Pełki z Kmicicówną przeszkodzić chciała? nieprawdaż?

Zboiński bał się wygadać, rozśmiał się i głową kiwnął.

— Ale to się wam uroiło! poszaleliście ilu was jest! zawołała pisarzowa. Cóż to? miałabym się za

nim tak ubiegać? Wszakże ja i matka pozbyłyśmy się go tyle razy, iż w końcu trzeba być... obranym z rozumu, aby mnie o to posądzać! Patrzajże waszmość na mnie, panie Zboiński...

Obróciła mu się do koła.

— Czy kobieta taka jak ja... majętna, wdowa po Pacu... co także znaczy coś... może za takim Pełką latać jak szalona i awantury dla niego czynić? Powiedz sam?

— Ale ja nic nie wiem! zawołał Zboiński.

— Nie kłam mi waszmość! Wiesz, nabechtali ci niedorzeczności, dałeś się obałamucić i pojechałeś mnie wziąć do aresztu póki ksiądz mu ślubu nie da!

Zboiński się śmiał, pisarzowa mu pomagała, śmieli się tedy na cały głos oboje, tak, że w sieniach karczemnych aż słychać było.

— Co to u licha jest? rzekł sam do siebie Żaba pod drzwiami.

— Widzę, że z waćpanem sobie rady nie dam, dodała pisarzowa — trzeba uledz przemocy... Tupnęła nóżką... A no! trzeba kazać obiad gotować. Skinęła głową na pożegnanie, Zboiński wyszedł zamyślony.

— Kadukże tę kobietę zrozumie! rzekł sam do siebie.

Ranek był bardzo piękny... wysunął się więc z karczmy dla obejrzenia ludzi stojących do koła na straży. Wszystko było w porządku. Czeladź jego

przy koniach stojąc, przekąsywała i piwem się posilała.

Obszedł ich wszystkich po cichu dając rozkazy, aby z karczmy nikomu wyjść ani wyjeżdżać nie dawano. U drzwi postawił podwójne straże, u okien po jednym człowieku, potém przeszedłszy się wzdłuż i wszerz karczmy i odetchnąwszy świeżém powietrzem, powoli do środka powrócił.

Sprawa mu szła wprawdzie dotąd dobrze, ale w niéj nie smakował. Okrutne nudy obiecywały się w przyszłości, gdyby to pilnowanie jejmości potrwać miało, a prawdę rzekłszy mogło ono się przedłużać... dniami i tygodniami. Zboiński aż ciarki uczuł chodzące po skórze...

Zafrasowany deptał po szynkownéj izbie chodząc i wzdychając do południa, aż poczuł głód i kazał smażyć sobie jajecznicę. Jaj nie było... piwa zegrzać? piwo ludzie wypili. Poprosił o chleb, dano mu kawałek z zapowiedzią, że go niewiele jest i chyba do miasteczka kto po niego pojedzie... Poszedł po kątach u Żyda szukać, znalazł tylko rzepę zimową, zwykły pokarm ubogich, i trochę robaczliwego grochu...

Na kuchni pani pisarzowéj piekli coś i smażyli, aż się zapach rozchodził w sieniach...

Słońce podnosiło się wysoko... Żaba przyszedł prosić Zboińskiego na obiad do pisarzowéj. Z razu się namyślał, lecz poszedł w końcu.

— Jusciż mnie nie struje — rzekł w duchu.

W izdebce małéj na żydowskim stoliczku nakryto było na dwie osoby...

— Kiedy musimy już tu rekollekcye razem odbywać, nie chcę, byś waszmość z głodu marł, odezwała się pisarzowa... W domubym lepiéj przyjęła, tu muszę się podzielić podróżnym zapasem. Przynajmniéj waszmość o suchym chlebie nie będziesz... Jak nie stanie co jeść, to waszmość mnie będziesz musiał żywić...

Śmiała się mówiąc to i zaprosiła do stoliczka. Obiad był niewytworny, na polewkę gramatyka z cukrem, potém kawał pekeflejszu gotowanego do chrzanu, potrawka z kury... i omlecik...

Na głodny rąb wydawało się to delicyonalne... Ponieważ dla dworu była wina baryłka w wozie, dano węgrzyna lekkiego, ale pieprzykowatego, który się pił jak woda. Sama pani pisarzowa dolewała.

Człowiek głodny do sytego wcale nie jest podobny. Zboiński czuł się odrodzonym, serca mu przybyło, zwłaszcza od doskonałego pekeflejszu...

Zmiótł go talerz ogromny...

Dawszy mu się posilić pisarzowa, poczęła rozmowę.

— Wiesz waszmość co — rzekła, ja ci tu tak nie wytrzymam w tym zaduchu karczemnym... Nie nawykłam do zamknięcia, dusi mnie ono... Gdybym waszmości dała słowo, że nie wyjadę... toćbyś mi dał choć przejść się po świeżém powietrzu?

Zboiński znalazł go naturalném bardzo.

— A dla czegoż nie? ja z panią pisarzową pójdę sam...

— Ale dajże mi waćpan pokój! ja ze stróżem chodzić nie myślę. Jeśli pójdę, to sama...

— Jużcić pieszo mi nie umknie? rzekł w duchu Zboiński i zamilkł...

Przyniesiono drugi gąsiorek wina... zaczynało się robić gorąco, a wino to dziwnie chłodziło. Zboiński pił, bo się wcale nie obawiał, żeby to mu mogło zaszkodzić. Baraszkowali bardzo wesoło... Trwało to niemal do wieczoru... Wieczorem pożegnała go pisarzowa skinieniem głowy, i gdy już wychodził, odwołała...

— Zmiłujże się, poszléj z moim człowiekiem którego ze swoich ludzi do miasteczka; trzeba coś do jedzenia przywieźć, bo się zagłodzimy, a tegobyś i waszmość nie chciał.

— Kogoż pani pisarzowa komenderuje?

— Żaba pojedzie...

— To niech jedzie i sam — dodał Zboiński... ja mu nie przeczę... mnie to nic nie obchodzi, dam rozkaz, aby go puszczono... Ale dziś późno, możeby jutro rano?

— Jutro będzie po niewczasie, bo u mnie zapasu nie ma, ludzie głodni... trzeba go wyprawić, jak tylko będzie gotów...

Zboiński już ani słowa nie rzekł i do izby karczmnéj wszedł, gdzie dla spoczynku siana sobie

nasłać kazał... Nie myślał się jednak wcale kłaść, ani rozbierać, tylko nieco kości rozprostować...

Ledwie nieco spoczął, gdy Żaba odziany jak do drogi wszedł do izby.

— Proszę-no pana, odezwał się, obiecałeś pan, że mnie wypuszczą, a tu ludzie wasi mówią, iż mają rozkaz nikogo nie puścić z karczmy...

Wstał Zboiński sam, ale trochę zły, poszedł do drzwi, nakazał ludziom pokazując Żabę, ażeby go, gdy jechać zechce, bez przeszkody wypuścili, a sam na swoje siano powrócił.

Wkrótce też usłyszał, jak konia wyprowadzono za karczmę i jak na nim dworzanin do miasteczka pokłusował... Nie spał Zboiński, bo był człek czujny, ale drzemał... słyszał każdy ruch w karczmie, każde konia parsknięcie... Kilka razy nocą wstał obejrzeć swoje straże... wszystko było w porządku. Nadedniem więc głębokim snem usnął. W karczmie było jak w uchu...

Gdy się obudził, Żydzi kręcili się koło niego szwargocząc i śmiejąc się, a co dziwniejsza Żaba stał nieopodal pijąc piwo grzane, choć go powracającego Zboiński nie słyszał.

— Dobry dzień panu! odezwał się Żaba.

— A jak się tam waszmości podróżowało? zapytał oczy przecierając Zboiński.

— Mnie! ruszył ramionami Żaba.

— Kiedyś wrócił?

— E! zachcieliście — nie jeździłem...

— Jakto? przecież słyszałem, gdy wam konia wyprowadzano...

Zaśmiał się Żaba.

— Tak! konia dla mnie wyprowadzono, to prawda, ale ja na nim nie pojechałem...

— Cóż się stało?

Żaba w boki się wziął i przysiadł...

— Pisarzowa na nim pojechała! Cha! Cha! pisarzowa! pisarzowa!

Równemi nogami porwał się Zboiński, myśląc, że z niego żartują, i poleciał do izby gościnnéj. Tam sługa tylko jedna siedziała i śmiała się téż do rozpuku...

Pisarzowa znikła... Zboiński włosy sobie z głowy rwał...

— O tom głupi! wołał — o tom głupi!...

Chciał się mścić na ludziach i Żabie, bo się rozsierdził okrutnie, lecz pomiarkował wprędce, że się to nie godziło. Przyszło mu na myśl dopędzać i pędzić zbiegłą. Huknął: Na koń! na koń!...

Więc co żyło do siodeł, on téż na szkapę i w czwał nazad gościńcem...

Żaba stał we wrotach, za boki się trzymał, powychodzili Żydzi i żydzięta, i sługi... a po lesie śmiech się rozlegał... Cała czereda Zboińskiego znikła z oczu.

Dopiero, gdy dobre pół godziny minęło... Żaba wrota pozamykał i konie zaprzęgać kazał...

Kto w nocy na miejscu Żaby wyjechał, Bogu tylko było wiadomo; to pewna, że pisarzowa ukryta w małéj izdebce u Żyda, fortelem tym pozbywszy się straży, siadła do powozu i kazała bocznemi drogami pospieszać...

— Choćby konie popadały! zawołała do Żaby. Ropucho! gnać! póki sił stanie!

* * *

U państwa Kmiciców świątecznie dwór wyglądał. Przy wiosennéj drzew odzieży i mnóztwie kwiatów téj roku pory, strojny stary dworzec szlachecki jakoś się młodzieńczo uśmiechał. Wszystkie dróżyny w podwórzu i koło domu powysypywane były tatarakiem; nadedrzwiami zwieszały się wieńce z liści dębowych i polnego kwiecia. Kapliczka ostawiona była gałęźmi zielonemi świeżo rozwitych brzóz i klonów... W dziedzińcach zwijało się mnóztwo czeladzi i wszelakiéj służby poprzybieranéj świątecznie, chłopcy z popodgalanemi głowami, dziewczęta we wstążkach i krasnych fartuszkach, starszyzna w pasach i butach kolorowych...

Mnóztwo gości sproszonych było na ten dzień weselny, wojski chciał jedynemu dziecięciu sprawić wesele, któreby ludzie pamiętali, więc najdalszych kolligatów listami pościągał, przyjaciół i na okół sąsiadów, i dobrych znajomych.

Beczki wina zawczasu wytoczono dla panów szlachty, aby nie zabrakło nikomu i lać, i rozlewać — jak Opaliński powiadał. Dla wieśniaków, których też gromada się miała weselić, było piwo, cały war marcowy, aby i im się krzywda nie działa.

W kuchni gotowano na tyle osób, żeby nawet dwa razy więcéj niż się spodziewano obdzielić. Było to we zwyczaju starym, żeby raczéj zostało niż nie dostało; brak bowiem spadał na gospodarza plamą niezmytą. Dla tego uczta polska szlachecka kosztowniejsza było nad wszystkie, bo miary w niéj utrzymać nie umiano...

Tu z wielkim ładem szło wszystko, a dostatek był i zamożność wielka, nie mieli się co lękać, by gość nieuraczony odjechał. Nawet w stajniach obroki leżały nagotowane, bo i koń do gości się liczył.

Ksiądz kanonik Znamirowski z Krakowa, przyjaciel domu, na którego imię (z assystencyą proboszcza) indult był wydany, przybył dla pobłogosławienia nowożeńcom. Muzyka zawczasu przywieziona, moździerze do wiwatów stały za dworem... nic nie brakło... Goście się zjeżdżali jeden po drugim, a wojski w ganku witał, po rękach jejmoście całował i szlachtę w objęcia brał...

Pełen był dom, pełen ganek, pełen dziedziniec. *Praeter propter,* pan młody z orszakiem swym miał się stawić około południa, razem z Rożańskim i innymi przyjaciołmi. Dzień sprzyjał, bo choć chmurki

białe pływały po turkusowych niebiosach... to chyba, aby oko zabawić, tak były leciuchne i przejrzyste...

Rozpuszczone drzewa wonią świeżych liści napełniały powietrze... Śmiało się wszystko... piersi oddychały swobodnie... Starzy opowiadali sobie o przeszłości, wynosząc pod niebiosa króla Jana III, za to, że Rzeczpospolitą do dawnéj godności dźwignąć umiał.

Jutrzenka lepszych dni zdawała się wschodzić na niebie... Walczono z Turkiem zwycięzko, a Tatarowie bodaj umiejętnie zyskani, zamiast swoim dopomagać, służyli po cichu królowi Jmości...

W wielkiém téż zachowaniu i miłości był król, w mniejszém królowa... na tę z przekąsem sarkano, lecz byli i tacy, co jéj stronę żarliwie utrzymywali...

Na gawędkach o tém i owém czas schodził. Tymczasem pani podkomorzyna zastępująca miejsce matki przy Pannie Elżbiecie, ubierała ją do ślubu ze zwykłemi obrzędy... a panny druchny kręciły się, starając każda choć szpilkę wpiąć do stroju panny młodéj...

Na zegarze gdańskim wybiło pół do dwunastéj. Wojski się na zegar popatrzał — pana młodego już w téj porze się spodziewał, ale tyle rzeczy jest na taki dzień do zrobienia i pamiętania, iż spóźnić się nieco — nie nowina... Powinien był lada chwila przyjechać...

Przodem téż oznajmując go, nadbiegł przy kolasie żony Rożański, który kawalkatę pana młodego na wyruszeniu z miejsca zostawił, tak, iż w krótkim czasie powinna była i ona się przystawić...

Dwunasta wybiła — pana młodego nie było jeszcze. Wojski się krzywił... i namarszczył.

— Wacku, serce moje, czy mu się co nie stało? jakże może być, aby go do téj pory nie było? Przecież wie, że się na taki dzień spóźnić nie można...

Wysłano kuchtę na dach, żeby na gościniec spojrzał — na gościńcu było pusto, żywéj duszy. Wacek się zżymał.

— Ani chybi z koniem bieda, bo dobrał szatana nie konia, chcąc się z nim popisać... Trzeba człowieka pchnąć, niech choć na stępaku przybywa — byle raz już był...

Wyrostek Rożańskiego, najlepszego z koni wziąwszy, czwałem ruszył... zakurzyło się tylko po nim na drodze... Wojski chodził niespokojny, kryjąc w sobie niepokój wielki i troskę gniewu.

— Dyabeł mi po jego koniu! mruczał pod nosem... niechby i pieszo przyszedł, gdzie być powinien...

Rachowano kwadranse i minuty. Rożańskiego tknęło coś w serce... wysunął się cichaczem ze dworu, konia sobie kazał dać, i nie zważając, że miał suknie od parady, pogonił sam.

Wybiło pół do pierwszéj — nikogo, pierwsza — ani słychu; a już do drugiéj gdy dochodziło, całe

towarzystwo stało w ganku i szeptano sobie na ucho najrozmaitsze domysły...

Na gościeńcu pokazał się nareszcie jeździec — sam jeden... Z dala poznano Rożańskiego. Jechał koniowi cugle puściwszy, tak, że z postawy poznać było łatwo, iż coś z sobą złego wiózł. Nie spieszył wcale...

Gdy się do dziedzińca zbliżał, a twarz zobaczył, wojski struchlał i przeżegnał się. Rożański zsiadł i szedł zataczając się, i ocierając pot z czoła...

— Cóż się stało? na Boga!... co się stało z panem młodym?...

Wahał się długo z odpowiedzią Wacek, wargi mu się trzęsły...

Załamał ręce.

— Przepowiedziałem — zawołał, — jakbym widział. Koń niesworny uląkł mu się w samych wrotach i rzucił nim o słup, tak że ze zranioną głową padł o ziemię, ledwie się go docucono... Leży nieprzytomny...

Załamał ręce wojski, lament wielki po całym rozszedł się dworze...

— Wyjdzie on z tego, rzekł Rożański strapiony, jak już nie z jednego złego razu powstał zdrów i cały, lecz srodze przyboleje...

Zmieniło się tedy wesele w najcięższy smutek i niepokój. Do panny młodéj wysłano Rożańską, aby jéj ostrożnie, całéj prawdy nie mówiąc, oznajmiła co się stało... Rożański wybierał się napowrót

do chorego, ale jakoś nie spieszył. Chodził przybity ręce załamawszy, a ktoby go nie znał, mógłby ten jego żal wielki wziąć za gniew, tak dziwnie twarz się jego zmieniła...

Kazał sobie trochę poczekawszy do kolasy zaprzęgać... żonę zostawując, lecz ta mu się gwałtem prosiła jechać, aby chorego pilnować. Ruszyli z przede dworu...

Rożański rzucił się w głąb kolebki.

— Niechże prędzéj jadą! — odezwała się żona.

Wacek ramionami ruszył.

— A po co? po co? mruknął...

— Jakto? zabity? — o mój Boże! krzyknęła żona.

— Wolałbym, by zabity był! pięść ścieśnioną podnosząc ozwał się głosem stłumionym Rożański. Waćpani nie wiesz nic. Kłamać musiałem... kłamać... Jego nie ma! uciekł!...

Zboińskiemu się ta małpa wyrwała i w samą porę przybiegła...

— Kto? pisarzowa?

— Któżby miał być? Ludzie mi powiadają, że się był tylko co odział i miał na koń siadać, by jechać, gdy kolebka stanęła u ogrodu, i chłopak przybiegł do Pełki, że do niego ktoś z pilnym interesem przybył na dwa słowa...

Wyszedł, słyszę, ledwie czapkę wziąwszy, na dwa słowa — i nie wrócił...

— Cóż się z nim stało? pojechał z nią?

— A juściż! jak był, tak siadł do kolebki — i po wszystkiém.

Rożańska sobie oczy zakryła i zaczęła płakać.

— Niechże ginie, kiedy chce! Wyrzekam się go! znać nie chcę! niech przepada! Nigdy sobie nie daruję, żem wojskiego i Elżusię na to naraził... Już im się teraz i na oczy pokazywać nie mogę... Kto z kim trzyma... za tego pokutuje. Na dziś kłamstwo moje starczy, aby dom nie cierpiał od sromu... jutro wyda się wszystko...

Rożańskiego opowiadanie prawdziwe było, lecz niedokładne; w istocie pani pisarzowa zdążyła na porę, aby się o zaprzedaną sobie, duszę upomnieć. Na widok jéj Pełka, który się najmniéj spodziewał, by się jeszcze mógł z nią spotkać — chciał z razu uciekać... krzyknęła nań i zatrzymała... musiał przyjść drżący... Nie było ani wymówek, ani długiéj rozmowy, kazano mu na stopniu kolebki stanąć, gniewna pisarzowa przemówiła doń ledwie i konie ruszyły...

Pełka zniknął...

Dojechawszy do domu, Rożański, którego febra chwyciła, w łóżko się położył... mając tylko tyle pamięci, by do folwarku posłać oznajmić pani Cyrulskiéj co się stało. Małą i w niéj miał nadzieję — nie szło mu już o wyrwanie Pełki ze szpon téj kobiety, boby go Kmicicowie nie chcieli — ale po-

zbyć się był rad załogi i wszelkich z tym domem stosunków...

Dostawszy wiadomość o córce, matka w jednéj chwili konie zaprzęgać kazała. Namarszczyła się groźnie, lecz widać nie wyrzekła się nadziei, znając dobrze córkę, iż małżeństwu przeszkodzić potrafi.

-- Ślub nie tak łatwo wziąć! rzekła do siebie — a no — zobaczymy...

Kazała tedy jechać do Krakowa... Tam teraz na dewocyi mieszkał, nagle wyrzekły się świata, pan łowczy Godziemba, któremu się cała korona dziwowała, iż z obieżyświata nagle stał się tak pobożnym, że z kościoła wychodził dopiero, gdy go zamykano. Widywano go klęczącego w ławce po całych godzinach i wzdychającego, tak, że się nań ludzie oglądali. Niekiedy nawet krzyżem legiwał, nie podkładając nic na zimnéj posadzce.

Po klasztorach i z osobami duchownemi resztę czasu spędzał, a co równie dziwném było jak nabożeństwo, to, że od tych mortyfikacyj zamiast schudnąć, utył jeszcze bardziéj. Oddawszy resztę mająteczku wielce nadszastanego synowcowi, który mu miał opłacać z niego kilka tysięcy złotych na utrzymanie, kręcił się po Krakowie, z różańcem u pasa, i dobrze mu się z tém działo; bo usłużny był, i gdzie inni nie chcieli lub nie mogli, wcisnąć się umiał.

Jejmość, która wolała Cyrulskiego nad niego, rachując na dawne amory i niewygasającą nigdy ich pamięć, umyślnie udała się do Krakowa, aby go użyć do spełnienia swych myśli.

Pospieszać kazała, a że konie były wypoczęły, drogi niezłe, dni długie, stanęli drugiego dnia rano w staréj stolicy.

Wiedząc już o obyczajach nowych łowczego, jejmość zarzuciła kwef, wypocząwszy, i poszła do OO. jezuitów, gdzie zaraz w ławeczce klęczącego zobaczyła Godziembę. Nabożeństwo snadź było już ukończone, kościół pusty, dwóch dziadków mruczało w kruchcie, jedna babka tułała się od ołtarza do ołtarza... Godziemba klęczał z oczyma zamkniętemi szczelnie i rękami złożonemi. Idąc na palcach po cichu zbliżyła się ku niemu jejmość, i dostrzegła podszedłszy, że nieboraczek na medytacyach znużony usnął. Głowa mu się kiwała i spadała co chwila na ręce, podnosił ją oczu nie otwierając, i poczynał za każdym razem coś marmotać, lecz wkrótce usta przestawały się poruszać, i stary znowu z wolna ciążącą głowę spuszczał aż na dłonie...

Uśmiechnęła się Cyrulska, uklękła, pomodliła się, i westchąwszy ciężko, parę razy w piersi się mocno uderzywszy, wstała. Dotknęła zlekka rąk Godziemby... otworzył oczy powoli, wlepił je w przybyłą, i jakby przerażony zerwał się z ławy żegnając.

Zdawał się ducha złego odżegnywać.

— Chodź waćpan, panie łowczy... chodź zaraz...

Po głosie dopiero rozpoznawszy, iż nie czcze widmo, ale żywa przeszłość grzeszna stała przed nim, łowczy zrezygnowany, westchnął, ukląkł, ziemię pocałował, i powstawszy, nic nie mówiąc, poszedł posłuszny za panią Cyrulską. Ona téż bardzo pobożnie westchnęła na progu, i dopiero w ulicę się dostawszy, poczęła rozmowę z niewolnikiem.

— Waćpan wiesz, że ja tu umyślnie po niego przybyłam?

— Pani dobrodziejko! a cóżby to znowu stać się miało, żebym ja miał na co być jéj potrzebnym! Wyrzekłem się świata i jego marności... biedny jestem pokutnik...

— Pokutuj, pokutuj, nie mam nic przeciwko temu — mówiła Cyrulska — ani na pokuszenie go myślę narażać... ale starym przyjaciołom służyć i Pan Bóg nakazuje...

— A czemuż nie... w czém zakon dozwala!..

Cyrulska ramionami ruszyła.

— Chodźno do mnie, tam się rozmówimy...

— Nic jeszcze dziś w ustach nie miałem! — westchnął Godziemba.

— Każę ci polewki winnéj z jajkiem zagrzać, to cię posili.

Skłonił się łowczy. Tak doszli do gospody... Polewka została zadysponowana, a gospodyni drzwi

zamknąwszy, stanęła przed Godziembą w postaci tragicznéj.

— Wiesz — zawołała — że Jadwiga znowu owdowiała...

— Mój Boże! — krzyknął łowczy — co za los nieszczęśliwy!

— Gdzież znowu! żyć z nim było niepodobna... łotr był z pod ciemnéj gwiazdy... Chwała Bogu — przerwała Cyrulska — ale rozumu nie ma...

— Proszę! proszę! — zawołał łowczy — do téj pory!..

— Gdyby nie ja, więcéjby nabroiła niż dotąd... a teraz mi się popisała... że głowę tracę... Wystaw sobie, kochany łowczy, jak tylko to mężysko zmarło... Panie mu odpuść... z obżarstwa...

— Grzech śmiertelny! — wtrącił Godziemba.

— Nie miała nic pilniejszego nad to, by zaraz posłać po — zgadnijże po kogo?

Godziemba milczał.

— Po tego nieszczęsnego Pełkę, do którego ma słabość, a za którego ja jéj nie dam wyjść...

— Hm — odparł łowczy pamiętny dobrych stosunków i obfitego stołu — to człowiek w gruncie niezły i bardzo majętny.

— Nie chcę jego majątku i jego — gniewnie obruszyła się jéjmość — nie cierpię go, nie będzie nigdy mężem mojej córki... Ona sama nie wie co czyni... W głowie jéj świta!

Otóż ja do waszmości przybyłam, radź i ratuj...

— Ja? ja? — cofając się wykrzyknął łowczy — ale ja nie mogę, ani umiem, jam teraz w Bogu zatopiony... i wyrzekłem się świata!

— Gadaj sobie co chcesz, grzechu nie wymagam od ciebie, rozumu też, tylko posłuszeństwa. Słuchaj — dodała przybliżając się Cyrulska — Jadwisia młoda, piękna jeszcze jak róża... bogata, miła... szaleć tylko za nią... Takich wdówek na całą koronę dwóch nie znajdziecie... Trzeba mi dla niéj męża... ale z dobrém imieniem, postawnego, do rzeczy... Dwóch, trzech wesołych konkurentów musisz mi przywieźć. Ja ją znam, Pełka nie Pełka, jak nowych ludzi zobaczy, będzie się zalecała, aby im głowy pozawracać, pójdzie Pełka w kąt, a ja w tém, że ją wydam za innego. Tylko mi trzeba prędko kilku konkurentów... w tém twój rozum, wyszukać, zebrać i przywieźć do niéj... Ja tam czekać będę.

Godziemba słuchając głową kręcił.

— To będzie trudno trochę, poradzę się z ks. rektorem... a no... jakoś to będzie... Nie chciałbym Pełce przeszkadzać do szczęścia... lecz snadź przeznaczenie takie...

Pulchną choć zwiędłą rączką pogłaskała Cyrulska nieogoloną od dni trzech brodę łowczego, który od tego karesu cofał się z pewnym rodzajem obawy. Kazano mu siąść, jéjmość odzyskała humor.

— Chodzi tylko o pośpiech — mówiła — niekoniecznie pierwsi mają być tacy, żeby się na mę-

żów przydali, byle dla Jadwisi dystrakcya... waszmość mnie zrozumiesz, bo ją znasz.

— Zwyczajnie młode to i trzpiotowate... — westchnał nawrócony łowczy.

— Nie tak to ona już i zbytnio młoda — dodała matka — mogłaby być stateczniejszą, ale naturę ma moją, impetyczną, gwałtowną, a ja to najlepiéj wiem, jak podobną niełatwo zwyciężyć. Com się to ja nad sobą napracowała!..

Wniesiono polewkę, pił ją z namaszczeniem, smakując i namyślając się nad powierzoną mu missyą łowczy. Widać było, iż kandydatów szukał.

— O tém nie zapomnij, że trzeba, aby byli ludzie żwawi, weseli i do zakochania się łatwi... Posępnych i mruków mi nie prowadź, to się na nic nie przydało...

— Rozumiem — dodał łowczy — dwóch mam...

— Jacy?

— Jeden ubogi Firlej, mam podejrzenie, że nie prawdziwy, ale trochę podfałszowany, a no! imię jest, a szlachectwa dobadywać nie wolno. Bardzo łebski człek, zamaszysty, goły, potrzebujący majętnéj pani... bo lubi i strój, i huk, i uczty, i konie, i co tylko dobrego jest na świecie... Tego, abym mu szepnął, to go mam.

— A drugi? — pytała Cyrulska.

— Drugi téż niezgorszy... nawet kniaź...

— Jużeśmy jednego próbowali... — przerwała stara.

— Ten w innym gatunkn, zowie się Kozika... majętności ma na Ukrainie bardzo znaczne, to jest ziemi szmat wielki, a no, bez ludzi... Więc zbiera włóczęgów, osadza na roli i funduje wioski, i będzie kiedyś dziedzicem ogromnych włości, jak się to wszystko rozrodzi...

— A jak wygląda?

— Z chłopska, to prawda, lecz z rezonem... duży, czerwony, wesół, niebardzo gładki, ale śmiały kozak... Fantazya wielka, natura gorąca... i do żeniaczki skłonność ma mocną.

— Żeby miała w czém wybierać, jeszcze ze dwóch miéj w zapasie — szepnęła Cyrulska — a przybywaj mi prędko...

Łowczy dał znak głową, iż spełni rozkazy; wygadali się obszernie i długo, brał za czapkę kilka razy, lecz odejść jakoś nie mógł. Siadł około Cyrulskiéj blisko, gniotąc w ręku kołpaczek wytarty.

— Wszystko to, mościa dobrodziejko, dobrze... ale *nervus rerum*... tego mi braknie...

Odchrząknął.

— Na to zszedłem — dodał — włóczyło się po świecie, ludzie oszukiwali... i grosza przy duszy nie mam. Jakże ja pojadę?

— Toć cię przecież zawiozą konkurenci chętnie.

— Alebym nie chciał być na ich łasce...

Skrzywiła się jéjmość i pochmurniała.

— Przyznam ci się, mój łowczy, że tegom się nie spodziewała...

— Ani ja, ażeby do téj ostateczności kiedy dojść miało... — wzdychając i oczy w niebiosa podnosząc rzekł stary adorator.

Ale cóż? ja tu na dewocyi siedząc, nic prawie nie potrzebuję. Odzienia się z dawnych czasów zostało dosyć, stancya przy klasztorze z łaski ojców, a jedzenie to tu, to tam... u łaskawych... Po co mnie grosz? Nawet się w niego nie zasposobiłem... A w podróż bez wacka jakże się puścić?

Markotno było Cyrulskiéj, dobyła jednak woreczka z kieszeni, którą miała u boku, i kilkanaście talarów odliczywszy, wcisnęła je łowczemu, który jéj rękę ucałował.

— A żebyś mi się duchem przystawił! — rzekła. — Ja jutro jadę wprost i czekać będę. Rozumie się, iż o mnie, żeśmy się z sobą widzieli, ani pisnąć.

— Rozumie się — żegnając szepnął łowczy — samo z siebie...

Wieczorem razem jeszcze byli na nieszporach, Cyrulska i Godziemba, po których instrukcyę mu powtórzywszy, przeprowadzona do gospody przez niego, wróciła jéjmość dla spoczynku, a nazajutrz rano już była w drodze do córki.

Przybycie jéj, równie jak wyjazd, niebardzo Jadwigę wzruszyło.

Matka wprost poszła spocząć do swoich pokojów, a pilno téż jéj było rozpytać u domowników, co się działo z Pełką i jak się z nim obchodziła pisarzowa... Zaledwie dowiedziawszy o przybyciu

staréj pani, jak ją zwano, fraucymer z raportami pośpieszył... Opowiedziała Strzemeszanka, iż pan Pełka przybył z jéjmością, ale tak, jakby koniuszego przy niéj urząd sprawował, albo marszałka dworu, iż go Jadwiga często łajała, wyśmiewała i posługiwała się nim, ale o niczém więcéj słychać nie było.

Chodził nieboraczysko jak w pługu, najszczęśliwszy, że ją widywał codziennie, że mu się w coraz nowych sukniach admirować kazała, że z nią do stołu zasiadał, i że gospodarstwa, domu i porządku w nim pilnował.

Pani pisarzowa, gdy na rozmowę przybywał, trzymała go u drzwi, zdaleka, i nie szczędziła ostrych słów, jakby go na pokutę sprowadziła. Co tam między niemi były za umowy, o tém nikt nie wiedział, lecz zaręczała Strzemeszanka, że pewnie więcéj nie było nic nad to, na co ludzie patrzali. Chciała mieć w nim wiernego sługę, niewolnika i urzędowego wielbiciela. Dodawała téż, iż się jéj zdawało, że się nim już i samotnością nudzić dobrze poczynała.

W tém wszystkiém co Strzemeszanka opowiadała, tak się dobrze charakter Jadwigi malował, iż matka musiała wierzyć powieści, którąby mogła posądzać o zmyślenie w chęci przypodobania się staréj pani.

Jadwiga nie pospieszyła bardzo na przywitanie matki, przewidując, że jéj scenę za Pełkę zrobi.

Był już wieczór późny, i tego dnia z sobą się nie widziały. Nazajutrz dopiero rano Jadwiga przybyła przywitać przybyłą, ale nasrożona, dumna, jakby się zawczasu najeżyła ku obronie.

Cyrulska postanowiła nie powiedzieć i słowa, obrachowawszy się, że drażniąc, może gorsze wywołać skutki. Jadwiga więc napróżno wybuchu oczekiwała, a chcąc raz przebyć spodziewaną burzę, sama ją postanowiła wywołać.

— Pełka tu jest — rzekła.

— A wiem — sucho odezwała się matka.

— Nie dałam mu się ożenić... nie mogłam na to pozwolić...

Cyrulska ramionami tylko ruszywszy, nic nie odpowiedziała.

— Ja wiem, że matka go nie lubi, ale to człowiek posłuszny i dobry... A! żeby matusia wiedziała! jak pies mi w oczy patrzy... a tak się kocha, tak się kocha, że omdlewa... ja niby nie widzę nic. Dobrze mu tak! niech się męczy, po co się chcieć było żenić? O! będzie miał dobrą pokutę!..

Wyczekawszy chwilę i widząc, że matka na to nie mówi nic, Jadwiga zamilkła, ukłoniła się i poszła.

Trudno to tam zrozumieć serce człowieka. Na Pełkę patrzali wszyscy z ciekawością niezmierną, począwszy od pisarzowéj, nikt nie mógł odgadnąć, co on w sobie myślał. Posłuszny był, ale ponury i smutny, i chwilami strasznie mu z oczu błyskało.

Gdy na swą jéjmość patrzał, rozpromieniała mu się twarz, oczy jaśniały, rozpogadzało czoło, człowiek się robił jakby inny... czasem unosił się i prawił jéj strzeliste afekta, to znowu milczał ponuro. Gdy się sam jeden pozostał, po izbie chodził, czoło tarł, wzdychał i rzucał się jak raniony zwierz... Zapominał się, iż czasem nie wiedział z czém szedł i dokąd, tak, że go budzić było potrzeba i nawoływać do przytomności. Snadź sumienie w nim odzywało się i gryzło go za ową zdradę przeciwko pannie Elżbiecie Kmicicównie, którą tak sromotnie zawiedzioną na koszu osadził.

Pani pisarzowa postępowała sobie z nim prawie bez litości — robić musiał wszystko co kazała, we dworze, po za dworem, w stajniach, na polu... a gdy się co nie po woli stało, nie zbywało na gorzkich wyrzutach...

Pełka znosił, bo mu to opłacała występując w coraz nowym stroju, coraz nowéj fryzurze, wymalowana, wyfiokowana, uśmiechnięta zalotnica, aby głowę dla niéj do reszty postradał. Gdy wszedł, a u progu pokornie stanął, a poczęła mu się zwijać i wykręcać, patrząc po wszystkich zwierciadłach i muskając i wdzięcząc, — poglądała tylko z ukosu, jakie to na nim czyniło wrażenie, i śmiała się patrząc, jak się biedaczysko roztapiał cały w téj kontemplacyi.

Strzemeszanka zaręczała, że na podsłuchach stając niejeden raz, nigdy pół słowa tyczącego się

małżeństwa, albo obietnicy nie pochwyciła... i że umowy dotąd żadnéj chyba nie było...

Do pierwszego obiadu, gdy Cyrulska przyszła i oko w oko spotkała się z Pełką, zmierzyli się oboje wzrokiem nienawiści pełnym. Starsza pani uśmiechnęła się szydersko, jakby rzec chciała: — Nie mów-no jeszcze hoc, boś nie przeskoczył!

Pełka zdawał się wyzywać ją — ale słowa się do siebie nie odezwali...

Pisarzowa śledziła ich, i niewiele zrozumiawszy— zaczęła prawić o strojach... Pełka prawie milczał, Cyrulska gadatliwą była, chcąc pokazać, że sobie lekceważyła przytomność nieprzyjaciela.

Szło już potém życie swym trybem. Nie przeszkadzała córce pani Cyrulska w rozmowach jéj z Pełką, choć podedrzwiami bywała, niewiele zważała na rotmistrza... i zdawała się obojętną. Kilka dni tak upłynęło, gdy jednego wieczoru... Żaba wbiegł oznajmując gości...

Kto, co, jak? jeszcze nie wiedział, tego tylko był pewien, że ich było kilku, i że się w gospodzie myli z pyłu i przebierali... Nikogo z nich nie poznano... Matka spostrzegła, iż Jadwidze wiadomość ta prawdziwą sprawiła przyjemność, pobiegła co najprędzéj do swéj gotowalni, zawołała Strzemeszankę i poczęła się opinać, smarować, wyświeżać, przeglądając się we zwierciadłach. Ożywiła się, rozweseliła, wstąpiło w nią młode życie, nuciła z radości...

Nim nadjechali zapowiedziani ichmościowie, była już w sali, i tak się usadowiła, jakby o niczém nie wiedziała i na nikogo nie oczekiwała.

Po dobréj pół godzinie, nadciągnął się orszak zapowiedziany: przodem łowczy Godziemba na wozie, bo już sobie z koniem rady dać nie mógł; za nim Firlej z węgierska cudacko przystrojony, piękny chłop i dziarska postać, kołpak wysoki z kitą białą; potém Kozika poważniejszy, szerokich ramion, olbrzym niemal, ogorzały, czerwony, w delii, guzy nasadzane turkusami, ręka w bok, koniem zamiatał pod sobą jak piórkiem; wreszcie dla trójki jeszcze dobrany przez Godziembę Litwin Pokubiata, mały człowieczek, z twarzy ładny, zręczny, zwinny, śmiejący się, który wzrostu sobie dodawał ogromnym kołpakiem i suknią krótko obciętą. Koło niego też było suto i kapiąco od złota...

W ganku wrzawa się stała, gdy naprzeciw nich Żaba wyszedł, a z oficyny też przestraszony Pełka, dziko rzucając oczyma, pośpieszał. Kazali tedy się submittować gospodyni domu, jako pod opieką i protekcyą łowczego przybywający. Zaproszono ich natychmiast...

Pełka nie nadążył prędzéj, aż się to wszystko już do sali wtoczyło, a łowczy ich prezentował obu jejmościom, bo i matka się stawiła na czas...

Patrzał tedy chmurno na ten najazd od progu Medard, jednego tylko poznawszy łowczego, a nie pojmując, po co on ich tu tylu naprowadził.

Gdy ichmość posiadali, łowczy nie bez konfuzyi, która się na jego twarzy wydawała, zoczył dopiero stojącego z dala Pełkę i zbliżył się ku niemu.

Ten go marsem powitał.

— Zkądżeś się tu wziął? co cię przyniosło? mruknął Pełka... co to za kawalkata i czereda ichmościów waćpanu towarzyszy? Na wojnę czy na wesele jedziecie? Myślałem, żeś się waść w klasztorze zaszył, jak mi mówiono. Cóż tu robisz?

— Wypadkiem jestem! wypadkiem — łykając ślinę, spluwając i trąc czoło odrzekł łowczy sturbowany — mimojazdem... (tu się schylił do ucha)... gwałtem mnie zmusili, abym ich tu wiózł.

— Po co?

— Hm! ciekawi byli pisarzowéj.

— Łowczy, ciekawość pierwszy stopień do piekła.

— A mnie co do tego; jam tu zgwałcony przybył, mimo méj woli. Chcieli, niech patrzą.

— Waszmość mnie znasz, szepnął mu w ucho Pełka... nie dam sobie pod nosem brzdąkać... rozumiesz panie łowczy?...

— A któż o tém myśli... ja — nie winien jestem, jak nowonarodzone dziecię... Po drodze... przypadkowo...

Pełka nie mówił więcéj, ale snadź się burzyło w nim témbardziéj, że Cyrulska szyderskiém okiem nań wyzywająco spojrzała, a pisarzowa swoim obyczajem dworowała już z nowo przybyłymi. Choć

z nazwiska najmniéj, z postaci i ruchów podobał się jéj najwięcéj czupurny, młodziuchny, żwawy i gadatliwy Pokubiata.

Firléj téż zyskiwał wejrzenia, najmniéj ów kniaź Kozika, który niewiele miał talentu do rozmowy, lecz za to wyglądał jakby ich wszystkich mógł zgnieść w garści.

Pisarzowéj w kilka minut poznać nie było można — taka ją pusta wesołość opanowała i tak się wyłamywała, wykręgowywała przed zalotnikami, śledząc pilno, jakie na nich czyni wrażenie.

Firlej był oczarowany od pierwszego wejrzenia na nią, Pokubiata oczy wytrzeszczał i okazywał wesołością, iż mu tu było jak w niebie. Kozika patrzał, milczał a wąsa spuścistego pokręcał, czekając niby, aż nań koléj przyjdzie... Słuchał, oczyma gonił gosposię i cmokał coś.

Odszedł po chwili z łowczym na stronę...

— A co? zapytał Godziemba...

— *Ut sic* — rzekł kniaź, tylko, że do niéj przystęp pono trudny będzie — trzech mężów miała, a trzpiocze się jakby niedorostek! Oczy gdyby żagwie... usta jak maliny... czego tu więcéj pragnąć, prócz żeby statek był...

Odszedł Kozika, a Pokubiata się przybliżył.

— Łowczy, łaskawco, ożeń mnie z nią, dam ci konia z rzędem... Kobieta jak anioł... gdyby mnie chciała, plackiembym się jéj do nóg położył.

Z kolei przysunął się Firléj.

— Czarownica, mój stary! zawołał — czarownica! A no, trudno sobie pochlebiać, żeby ją człek dostał... Wysoko latać musi...

— *Audaces fortuna juvat!*

Natrzpiotawszy się z gachami, spojrzała jejmość na Pełkę: stał jak posąg, z oczyma w ziemię wrytemi; dreszcz ją przebiegł, taki był ponury i straszny. Przypominał jéj rycerzy u grobu Chrystusowego ze spuszczonemi przyłbicami stawionych w Wielki Piątek. Odwróciła oczy od niego, bo ją wesołość odbiegła...

— Co mi tam! rzekła w duchu — niech się męczy! Zdradził mnie tyle razy! dobrze mu tak!

* * *

O żałobie po panu pisarzu dawno mowy nie było. W pierwszych dniach namówiła matka dla oczu ludzkich na czarną suknię, w któréj zresztą bardzo jéj było do twarzy — ale w prędce zrzuciła ją i wzięła szarą, zamieniła na białą, do téj przypięła wstążki fiałkowe, potém czerwone, i skończyło się wszystko... Któżby zresztą po takim nudziarzu w czerni cały rok chodził, kiedy sercu było różowo?

Na przybycie gachów stroiła się wdowa w najwytworniejsze suknie, jakie jéj z koronacyi zostały... a z żadnéj nie była rada...

Nazajutrz o wyjeździe mowy nie było...

Pełka zastukał do komnaty jejmości i wszedł. Odprawiła wnet Strzemeszankę, spojrzawszy na ponurą jego twarz, i przystąpiła doń grożąc mu palcem na nosku.

— Co to waszmość sobie pozwalasz chodzić mi tu tak chmurny? Hę? Jeszcze czego nie stało! Ludzie sobie nie wiedzieć co pomyślić gotowi... że do zazdrości masz prawo? hę? Nie masz żadnego... będę robiła co chciała, będę się śmiała, bałamuciła... rozkochywała... bawi mnie to, i po wszystkiem, a waszmość moim gościom powinieneś się uśmiechać — rozumiesz!

Zmilczał Pełka, ale popatrzał na nią tak, iż w końcu zmieszała się i zbladła... Chciała mu się wymknąć z pokoju, zatrzymał ją stając w progu.

— Pani pisarzowo — posłuchać mnie musicie raz... nie mówiłem nigdy nic, nie skarżyłem się — nie broniłem robić co się podobało... ale to temu koniec być musi...

Ja mam już siwe włosy na skroni... Życie moje marnie zeszło dla was... Chciałyście złota, przyniosłem wam je... napróżno. Schroniłem się do klasztoru, kazałaś mi pani precz — posłuchałem. Miałem się żenić, nie pozwoliłaś — rozbiło się małżeństwo... Kazałaś jechać, przybyłem... Pani pisarzowo, nie godzi się człeka wodzić na pokuszenie... bo i najspokojniejsza woda... zakipi...

Oburzyła się strasznie pisarzowa.

— Ja nauki od was nie potrzebuję, a co czynić mam, wiem... Chcesz kipieć... to ci wolno! Tyś mnie dwa razy zdradził — ja ci nic nie obiecywałam i nie obiecuję.

— Mam iść precz? ponuro zapytał Pełka, pójdę téj chwili.

— Ani mi się waż! ani kroku! krzyknęła pisarzowa...

— Pani pisarzowo — dodał złamanym, grobowym głosem Pełka — człowiek wiele wytrzymać może... a no, przychodzi chwila, gdy... oszaleje...

— Szaléj... śmiejąc się rzekła kobieta... i tak rozumu niewiele masz... Cóż to? ma mi być wzbroniono z ludźmi pogadać i ucieszyć się, uśmiechnąć i nudy rozerwać? Dom ma stać zawarty dla tego, że waszmości się tak podobało? Coż się strasznego stało? com tak przewiniła? Długoż oni tu siedzą?...

Pełka, jakby się zawstydził sam siebie, głowę spuścił, nie rzekł już nic — i wyszedł. Zostawszy sama pisarzowa, stała chwilę namyślając się, ale jakby zgadując co się święci, weszła matka.

— A to pięknie! zawołała — ty tu po kątach się chowasz, a ja tam sama gości bawić muszę. Chodźże, chodź! ludzie mili... zabawa ochocza... śmieją się aż tu słychać, rozerwiesz, się trochę... co ci tam po tych rozmysłach... i dumach...

Wyszła tedy pani pisarzowa, spojrzawszy się wprzódy w lustro, czy była do ludzi... W sali

czekali na nią gachowie postrojeni na nowo... Tego dnia Firlej był najpokaźniejszy, cały czarny ze złotem... a ścisnął się pasem tak, że jak przecięty na pół wyglądał. Litwin trochę się nadto upstrzył, a kniaź stroju nie zmieniwszy, choć bogato po wczorajszemu wystąpił. Zdawało mu się snadź ze wszech względów, iż grać tu powinien pierwszą rolę. A że najmniéj czule na jejmość poglądał, dołożyła starania, by mu nie dać pozostać obojętnym. Rzuciwszy na chwilę Firleja i Litwina, poczęła się przysiadać do niego, i w oczy mu zaglądać, i białe rączki rozpościerać, i ramiena toczone pokazywać z pod płaszczyka.,. Kniaź milczący rozpatrywał się dziwnie w tych wdziękach, ale z powagi swéj nie wyszedł, tylko jak cień począł snuć się za nią.

Przy obiedzie przybyło jeszcze humorów i ochoty... Wszyscy byli weseli, oprócz Pełki, który siedział, nie jadł, słuchał i patrzał to na nią, to w okno. Łowczy, któremu wypadło siedzieć przy nim, potniał i tuwalnią się raz wraz ocierał, tak mu czegoś Pełki strach było. Parę razy ku niemu zerknął i wnet twarz odwrócił z trwogą. Medard miał ręce pod stołem złożone, a trzęsły mu się i posiniałe były, jakby febry dostał, choć dzień był gorący.

— Łowczemu się wielka wdzięczność należy — mruknął w końcu obiadu — ciesz się dziełem swojém... Patrzaj, jak się gachy biorą!

— A już gachy? szeptnął łowczy — zkąd data?

— Cóż oni są? kuglarza? spytał Pełka.

— Goście...

— Dla zabicia czasu! Dobrzeby to jeszcze, gdyby nikogo więcéj oprócz czasu nie zabito... mówił Medard...

— Jam nic nie winien — cichusieńko tłómaczył się łowczy... trudno się oprzeć było... Jak się waszmość ożenisz, noga tu moja nie postanie.

Pełka nie mówił nic...

Jeszcze dnia wczorajszego poznajomił go łowczy z przybyłymi, którzy cale nie wiedzieli *quo titulo* tu bawił i co zacz był. Wszyscy więc jako domownika lub krewnego łaski sobie zaskarbić się starali...

Po obiedzie przystąpił doń kniaź, i ująwszy pod rękę, wyniósł się z nim w dziedziniec pod lipę.

— Waszmość coś mi patrzysz jakby chory?rzekł.

— Bom i niezdrów.

— Mam dryakiew wenecką w puzderku — odezwał się Kozika — nie mógłbym służyć?

— Dziękuję — na moją chorobę nie ma pono ani balsamu, ani dryakwi.

— Dawno waszmość znasz panią pisarzową? wypytywał Kozika.

— Od dzieciństwa jéj i mojego...

— Kobieta jak łania... a humor! a żywość!... Daj go katu! Słyszałem, że trzech mężów miała? prawda to?

— Rzeczywiście...

— I jednego po niéj nie znać! mruczał Kozika... jeszczem takiéj nie widział... Myślicie, że za mąż gotowa?

— Nie wiem — odparł Pełka...

— Nie mam się przed waszmością z czém taić, śpiewał daléj kniaź. Łowczy nas tu naprowadził, abyśmy szczęścia próbowali... a ja — nie młokos, dałem się namówić na takie konkury niedorzeczne, — by we trójkę raźnie się puszczać! Hej! hej! niby trzech kłusaków na wyprzódki!

Rozśmiał się dziwnie; popatrzał, a widząc, że Pełka ochoty do rozmowy nie ma, począł o czém innném. Ale i to nie szło...

— Coś waszmość markotny jesteś? zapytał.

— To moja natura — odparł Pełka.

— Szkoda, bo mi się chciało od serca z waszmością pomówić; jam człowiek otwarty, nie lubię w ciuciubabkę grać...

Pełka nań spojrzał bystro...

— Co mi waszmość jako domownik radzisz? spytał; jest tu czego siedzieć czy nie? Jejmość śliczna, nie ma co rzec, ale ząbki szczerzy do wszystkich... Pono ona nie dla mnie.

Uśmiechnął się Pełka.

— Chcesz waszmość szczeréj rady, rzekł — jabym nie życzył tego szczęścia próbować... Kniaź jesteś człek poważny i nawykły do spraw jasnych, a z sercem kobiety zawsze ciemno...

Kozika wstał.

— Każę — rzekł, — ażeby konie były gotowe; ucieszyłem się widokiem pięknéj pani, tego mi dosyć, ale ona dla mnie za nadto wytworna i dworna. Coś mi się widzi, żebyśmy z sobą do ładu nie doszli.

I nic nie mówiąc łowczemu, który go przywiózł, kniaź niedługo czekając, przygotował się do podróży. A że go pani pisarzowa widziała na uboczu pod lipami rozmawiającego z Pełką, odjazd ten jemu przypisała... Zarumieniła się mocno z gniewu, nie rzekła jednak nic, aż do wieczoru.

Gdy się goście porozchodzili, posłała po Pełkę, aby do sali przyszedł. Stawił się posłuszny na rozkazy. Pisarzowa przystąpiła doń rozjątrzona widocznie.

— Waszmość mnie chcesz doprowadzić do gniewu? zawołała.

— Ja? czém? zapytał Medard.

— Sądzisz, żem nie widziała, gdyś się naradzał z kniaziem, który wkrótce po tém wyjechał? Rozumiesz, że ja się nie domyślam, iż waszmość ich chcesz po jednemu tak poodprawiać przez tę głupią zazdrość, która nad wami górę wzięła... Chcesz mi więc zabronić ludzi widzieć, śmiać się, rozweselić i zmusić, bym z wami na cztery oczy rekolekcye odsiadywała?

— Z kniaziem rozmawiałem, to prawda — rzekł Pełka spokojnie — alem go nie odprawiał...

— Chcesz panować nademną i rozkazywać tutaj, ale ja nad sobą nie dam przewodzić nikomu!

Pełka ręce załamawszy, stał jak osłupiały.

— Zlitujże się nademną! zawołał wybuchając — ja nic nie czynię, ja cierpię tylko — co chcesz zemną zrobić? zamęczyć mnie, zabić? Po coś mi kazała tu jechać? ażebym patrzał na płochość, która mi serce kraje?

Rozśmiała się pani pisarzowa.

— Daj-no pokój wymówkom, a dziękuj Bogu, żem ci tu pozwoliła być... Tego ci jeszcze nie dość?

Pełka podniósł głowę, wlepił w nią oczy i zamilkł... Twarz mu się wykrzywiła dziwacznie, oczy zaiskrzyły, coś dzikiego biło z oblicza, które się straszném stało... Chciał mówić i nic nie rzekłszy, zacisnął usta, biorąc za klamkę... Tego jeszcze nie dosyć było kobiecie, poczęła się z niego wyśmiewać.

— Co mnie ty jak dziecko chcesz straszyć? A! nie zlęknę się! Nie waż mi się żadnego z tych co pozostali odstręczać... Mówić zabraniam, rozumiesz mnie!

Pełka popatrzał i wyszedł. Jak stał tak nie zatrzymując się, z rękami założonemi na piersiach, pustą drogą poszedł ku lasowi, aby się przechadzką ochłodzić.

Dopiero późno w noc powrócił do swojego mieszkania, w którém na klucz się zamknął. Nazajutrz

rano nie przyszedł jak zwykle na pokoje; dopiero koło południa zwlókł się blady i posępny tak, że nawet Cyrulska popatrzawszy nań uczuła strach jakiś niezrozumiały dla niéj. Łowczy niezmiernie pokornie przyszedł go przywitać, dowiadując się o zdrowie. Pełka nic mu nie odpowiedział...

Z dwóch pozostałych, Pokubiaty i Firleja, jéjmość widocznie sobie wybrała ostatniego na ten dzień. Z nim chodziła, rozmawiała, śmiała się, żartowała i ku niemu zmierzały wszystkie jéj wejrzenia napojone wyzywającą pokusą. Pokubiata, aby nie dać poznać, że go to mocno obchodziło, bawił z rozpaczy starą Cyrulską, i śmiał się coraz głośniéj.

Firléj téż umiał sprawę prowadzić: najprzód prawił słodycze, śpiewał pochwały, potém umiał o swych stosunkach i pokrewieństwach paplać łatwo i wiele, wszystkie gusta jejmości odgadywał — a natarczywy był niezmiernie i szturmem się serca i ręki dobijał. Litwin daleko się za nim został... tak, że i dogonić się nie spodziewał...

Ku wieczorowi dopiero pisarzowa opuściwszy znowu Firleja, zajęła się Litwinem i naprawiła co ranek popsuł, okazując mu wiele życzliwości. Nie wiedział już co myśleć...

Pan Medard do żadnego z nich ani się zbliżył, samopas chodził nadąsany i przez okna w podwórze patrzał.

Zabawa pociągnęła się we dworze dosyć długo, aż wreszcie goście z łowczym odeszli i obaj wstąpili na kwaterę do Godziemby. Patrzali na siebie z ukosa, łowczy był milczący i skruszony. Był to piątek, zapomniał się, zjadł mięsa, i nie mógł tego sobie przebaczyć.

— Mospanie Pokubiata — zawołał zwracając się ku niemu Firléj, gdy u łowczego się rozgościli — trzeba nam z sobą pomówić. Przybyło nas tu trzech...

— To jest czterech — rozśmiał się Litwin.

— Łowczego nie liczę... bo ten tylko był *powodyrem*, jak go kniaź nazywał. Teraz zostało nas dwóch — hę? ja i waćpan... a zdaje mi się, że obaj się tu nie pożenimy — więc jednemuby pora ustąpić...

— I ja tak sądzę — począł w boki się biorąc Pokubiata. Zatém kwestya: któremu?

— Otóż to...

— Tak jest! dodał Litwin... Ja odjeżdzać nie myślę.

— I ja téż!

— Będziemy więc siedzieli obaj, aż któremu z nas sama jejmość da odprawę.

— Ja inaczéj myślę, rzekł Firlej.

— Może być, że odprawę dostaniemy obaj, począł ciszéj Litwin, zbliżając się do Firleja... łowczy nas w pole wyprowadził.

— Słyszeliście go! krzyknął Godziemba: a to mi piękna wdzięczność!

— Albo waszmości w pole wyprowadzono, kończył Pokubiata. Ja mosanie, mam zwyczaj nim charty ze smyczy spuszczę, dobrze pole opatrzyć, rozsłuchać się zkąd wiatr wieje i powąchać... co niesie... Poszedłem i tu na wzwiady. Myśmy tu pono na cudze wesele przyjechali.

— A to co? na jakie? poczał łowczy...

— Cała tajemnica w tém, że matuś nie chce pana Pełki, który się w jejmości kocha z dawna, i ona go téż pono...

— Któż to waszmości powiedział? rozgniewany burknął łowczy. Że on się kocha, nie przeczę, ale ona! Cha! cha! ona się kochać... ona! cha! cha! Ona za Pełkę się wydać! cha! cha!

Firlej słuchał a patrzał.

— Jam z twarzy tego ponurego jegomości wyczytał, że tam w sercu na dnie u niego coś siedzi. Gdy spojrzy na pisarzową, jakby strzelił.

— Mogłeś się pan przekonać, że gdy ona na niego popatrzy, to widać że drwi, — dodał Godziemba.

— Cieszę się niezmiernie, iż tak rzeczy stoją — rzekł Pokubiata; więc między panem Firlejem a mną sprawa. Co waszmość myślisz? kto tu z nas komu ustąpi?... Ja nie mam ochoty, wy pono także. Bić się nie wypada.

— Mnie się widzi — zawołał Firlej, — że ani, wy, ani ja o tém stanowić nie będę, ale jejmość tylko.

— A no tymczasem jeden drugiemu przeszkadzać będziemy, i co sobie zarobi który przez kilka godzin, to mu drugi odbierze. Nie, szanowny Firleju, mówił uparty Litwin — jeden z nas musi zostać, a drugi precz jechać.

— Jedź waćpan... rozśmiał się Firléj.

— Ja powiadam: ruszajcie wy...

— Coście ichmość poszaleli! — niecierpliwie wtrącił stając między nimi łowczy. Albo-to pierwszyzna, że się kilku o jedną stara? a przecie się nie wypędzają. Wolno każdemu.

— Ja proponuję co innego — dodał Pokubiata śmiejąc się, i jakby mu w istocie nie bardzo o to szło, kto z nich zostanie. Stoi tu warcabnica u łowczego, zagrajmy z sobą... a kto przegra... ten... fora ze dwora.

— Fiksat czy co! sam do siebie mruknął łowczy.

Pokubiata miał także charakter wesoły, i figlarz był z temperamentu.

Firlej się namarszczył: — W warcaby nie gram, rzekł...

Pożartowali chwilę i rozeszli się. Litwina to bawiło, lecz dobijać się bardzo snadź nie myślał. Firléj, człek ubogi, czując i grosz i skuteczną w żonie protektorkę, chciał się dobić koniecznie. Przez

dwa pierwsze dni zrozumiał wszystko i poczuł, że się bez Cyrulskiéj nie obejdzie.

Żabę sobie pozyskał darowaną szabelką piękną, ten mu szepnął, aby przez Strzemieszankę,, któréj pierścionek dać trzeba było, wyrobić posłuchanie u matki. Dał i pierścionek Firlej, bo się wyjeżdżając w dodarki dla dworu zaopatrzył. Z rana kazano mu w ogród iść, aby z jejmością starszą pomówić.

Jakoż znalazł ją na ławce wachlującą się, choć było rano, bo w lecie otyłość jéj ciepła najmniejszego znosić nie dawała.

Rozmowa wszczęła się od rzeczy obojętnych, potém przyszła do pisarzowéj, dla któréj z affektem niezmierzonym oświadczył się Firlej.

— Będziesz pani miała we mnie zięcia posłusznego i dogodnego, rzekł — racz mi pomódz, jak się o to serce starać.

— Napastliwie i śmiało — rzekła Cyrulska... Tego Pełkę, o którym słyszałeś pewnie, przy okazyi wyśmiewaj waszmość. Pokubiata ci nie straszny... Ja poprę waszmości — ale nie dawaj żelazu ostygać... i nie odjeżdżaj nie dobiwszy się do końca...

W rękę ją pocałowawszy i długo naprawiwszy o przyszłych swych pięknych projektach, odszedł z dobrą fantazyą Firlej. Tymczasem, gdy on tu składał radę z matką, Litwin Córkę bałamucił, a że żartami sypał jak z worka, rada mu była. Zastał

ich w najlepszéj przyjaźni: Pokubiatę, jakby na cztery konie wsiadł, a jejmość trzymającą się za boki.

Tak się cały ten dzień ważyły losy między obu pretendentami... I nie byłoby dziwu, gdyby to jeden tylko lub nawet parę dni trwało, że ich na próbę brała i poznać się starała... — przciągnęło się to do dwóch tygodni, bo ich ciągle zatrzymywano, gdy odjeżdzać chcieli. Zapraszano sąsiadów i wesoło niezmiernie przechodziła żałoba, tylko że skrzypek nie sprowadzano. Matka i łowczy niespokojném okiem poglądali, co z tego wyniknie, a rzeczywiście odgadnąć było trudno koniec. Jednego dnia przeważał Firlej, i już się zdawał blizkim słowa, drugiego Pokubiata go spędził i tryumfował.

Pełka nie chodził już do jéjmości, i ta go do siebie nie powoływała, nie mówili z sobą wcale. Milczący przychodził na pokoje, patrzał, słuchał i powracał do mieszkania tak ponury i chmurny, jak zawsze. Można było dostrzedz tylko, że Jadwiga z pod oka poglądałą ku niemu czasem niespokojna i ruchy jego śledziła. W chwilę jednak potém zapominała o nim i trzpiotała się w najlepsze. W drugim tygodniu, Pokubiata, zagadkowy człowiek, któremu humoru nic zepsuć nie mogło, nawet gdy jéjmość sam na sam z Firlejem w pokoju zasiadała na poufną rozmowę, zbliżył się do Pełki.

— Mój dobrodzieju — rzekł — żeby my téż we dwóch na jednym dworze kilkanaście dni żyjąc, nie pokumali się? Waszmość chodzisz z pozwoleniem jak odyniec, a tak masz na czole napisane wyraźnie, że ci na świecie źle, iż na niego spojrzawszy, wszelkie wesele odbieży.

— Cóż waszmość chcesz? każdy to dźwiga na sercu, co mu los włożył, wszyscy chodzimy w jukach...

— Ale moje to przynajmniéj ze dzwonkami! — śmiał się Pokubiata. — Ja to udaję, że się umizgam — rzekł ciszéj — bo mnie to bawi... Dawnobym pojechał ztąd, ale jakże Firleja samego zostawić? Nie można, trzeba mu choć psoty płatać... Do domu się nie mam czego spieszyć... więc smalę cholewki...

Pełka nań popatrzał.

— Jużci mnie waszmość nie masz za takiego, z pozwoleniem, Mazura — rzekł Litwin — bym ja tu się czego spodziewał... Wiem dobrze, że to wszystko żarty... Pani pisarzowa nie dla Pokubiaty, choć Pokubiatowie stare kniazie i bojary... ale w koronie kto o tém wie!.. Myślicie, że my barszczem żyjemy i zieleniną, a w samodziałach chodzimy, na niedzielę tylko sera kosztując. Cha! cha!..

Sądził, iż Pełkę rozweseli; nie udało mu się to, patrzał tylko na niego jak na ciekawość.

— Malowaną taką tobym bardzo chciał mieć do powieszenia na ścianie — mówił daléj Poku-

biata — a no, żywéj strach... jeszcze na takie munsztuków nie wynaleziono...

Nagle przerwał sobie Litwin.

— Nie gniewasz mi się waszmość? prawię co myślę...

— Za cóżbym miał się gniewać? to dowód zaufania — rzekł Pełka.

Poprzyjaźnili się z sobą od tego dnia, choć to łatwo nie przyszło. Zrazu Medard milczący był bardzo, usta mu się powoli rozsznurowywały, serce wolniéj jeszcze; poznawszy jednak lepiéj Pokubiatę, przylgnął do niego. Chodzili z sobą rankami i wieczorami.

Z Firlejem jéjmość coraz bliżéj była, doszło do tego, iż po jego twarzy i obejściu się w domu znać było, że sobie obiecywał wkrótce tu panem być.

Pełka śledził każdy krok.

Jednego wieczora na trzecim tygodniu, późno już kazał się Strzemeszance oznajmić do pani pisarzowéj, iż ma z nią do pomówienia. Wpuszczono go do sypialni, do któréj tylko co była weszła. Dawno już bardzo nie mówili z sobą, chłód widoczny ich rozdzielał. Zobaczywszy Pełkę wchodzącego na próg, pisarzowa zbladła nieco i uczuła jakby przestrach, ale prędko odzyskała śmiałość.

— Cóż mi pan powiesz? — zapytała.

— Kilka słów — odezwał się zimno Pełka, którego głos był bardzo zmieniony. — Pani pisarzo-

wa zechcesz mnie posłuchać, bo to może być ostatni raz...

Dlaczegóż ostatni?

Na to nie odpowiedział Pełka. Zwykle pokorny, tym razem miał postawę dumną i nie korzył się wcale.

— Z życia, pani pisarzowo, trzeba i Bogu i ludziom zdać rachunek.

— To się waszmość przygotuj do niego.

— Jam gotów, ale wy?

— Ja mam czas...

— Nie żartować przyszedłem — mówił Pełka — czekałem długo... całe życie czekałem na to, abyś mi pani moją wierną miłość dla niéj zapłaciła. Naostatek jesteś wolną, mam prawo do tego i otwarcie mówię, że ręki jéj się dopominam... a nikomu innemu po nią sięgnąć nie dozwolę...

Pisarzowa odwróciła się i popatrzała przez ramię.

— Co takiego? — zapytała.

— Odebrałaś mi waćpani żonę, która moją być miała... musisz pójść za mnie... Zatém te konkury tu pod moim nosem, to całe bałamuctwo ustaćby powinno...

— Co mówisz? co waszmość śmiesz mi mówić?.. — krzyknęła wdowa.

— Znałaś mnie pani dobrym, powolnym i dającym z sobą czynić co chciano... Zmieniłem się dziś, na wszystko jest czas i koniec...

— Waszmość oszalałeś! — śmiejąc się z przymusem zawołała pisarzowa.

— Może to być... a któż mnie takim uczynił? Moja miłość dla was... Będę czekał ile się podoba... ale że za innego pójść nie dopuszczę, i że każdego co mi na drodze stanie, zabiję — rzekł Pełka — na to przysięgam...

Ostatnie wyrazy z wielką gwałtownością dopowiedziawszy, wyszedł. Obejrzała się pisarzowa, gdy drzwi stuknęły za nim, już go nie było. Chciała odwołać, namyśliła się i dała mu iść. Poziewnęła, rozpuściła włosy i poczęła się rozbierać.

— Plecie — myślała w duchu — ale tego się zrobić nie waży... Ten to mnie kocha, ale zaczyna mnie nudzić. Firlej zabawniejszy i młodszy... ale kto tam wie, co się w nim kryje!..

W téj chwili zapukano i weszła matka, która pono podsłuchiwała.

— Czemu ty się nie kładziesz, moje dziecko?— odezwała się. — Słyszę, żeś tu jeszcze dawała Pełce audyencyę... O! tegoby dawno czas był odprawić... to zgaga ten człowiek...

Pisarzowa słuchała obojętnie.

— To bo dziwna rzecz — rzekła — gdy u mnie jest, nudzi mię, gdy go nie ma, tęsknię po nim...

— Boś nawykła do tego niezdary!.. I po cóż go było odbierać téj jéjmościance, a sobie brać ciężar?.. On ci tu nie pomoże do wyjścia za mąż,

a przecie wyjść trzeba... Ten wdowi stan przeciągać... na nic się nie zdało...

— Nie lepiéj mi było z mężami! — ziewając odezwała się pisarzowa.

— Firlej, szczerze powiem, jak stworzony dla ciebie. Chłopak piękny, niegłupi, obrotny... podobał ci się... to mąż dla ciebie... Tylko go umieć trzymać dobrze, a lepszego nie potrzeba.

— Trzpiot mi się wydaje...

— Aż nadto stateczny na swój wiek, a statysta! ho! ho! Przy twoim majątku i twarzyczce, jego imieniu i zręczności, senatorskie krzesło w kieszeni... Ale jak go zmęczysz i każesz czekać, to inna go pochwyci...

— Pełka już grozi — cicho ozwała się pisarzowa — że nikogo do mnie nie dopuści...

Cyrulska ruszyła ramionami.

— Nie ma się go co bać, a z Firlejem kończyć...

— To mi pójdzie precz... — westchnęła pisarzowa — a ja tego nie mogę znieść...

— Sama już nie wiesz czego chcesz — poczęła gromiąc matka. — Mówię ci, raz się go pozbyć... Ja Firlejowi, który usycha z miłości, zrobiłam nadzieję.

— Ale czyż usycha? — spytała pisarzowa. — Wiesz matusiu, już ja teraz nie mogę jak dawniéj ludźmi miotać... Bywało popatrzę, popatrzę, głowę tracą ilu ich jest... teraz się pośmieją, przymilą —

i idą wolni. Firlej się tak nie kocha, jak bywało drudzy, a co paskudny Pokubiata, to jakby sobie jeszcze żartował...

— Odprawić go z kwitkiem...

— Żaden mi się jeszcze nie oświadczył, trudnoż z domu wypędzić...

— Toćbyś mogła wywołać?

— A czegóż się spieszyć? — zakończyła piękna pani — ja jeszcze sama nie wiem, co pocznę!

Usłyszawszy to matka, wpadła w gniew wielki, wedle dawnego sposobu nastając gwałtownie na córkę, ażeby koniec temu położyła. Pisarzowa nie odpowiadała prawie zamyślona.

— Widzę, żeś ty nieporadna — odezwała się w końcu matka — a więc ja muszę wszystko wziąć na siebie... Zobaczysz, przyjdzie szybko do końca... daj mi tylko się zawinąć koło nich...

Nie odebrawszy odpowiedzi, wyszła pani Cyrulska, a pisarzowa pozostała nieruchoma w krześle, patrząc w stojące przed sobą zwierciadło. Myślała o Pełce... Prawdę rzekłszy, zamążpójścia za niego nigdy nie przypuszczała. Był to wierny sługa, obrońca, ofiara... stworzenie przeznaczone na to, aby wzdychało, słuchało i cierpiało.

Zaczynała się rachować pierwszy raz z sumieniem, czyby mu téż się co więcéj należeć mogło?.. W dziwném tém sercu nie znalazło się nic dla niego, oprócz oburzenia, iż śmiał więzy swe targać i upominać się o cokolwiekbądź.

Wszystko, co wycierpiał, zdawało się jéj obowiązkiem — czego pragnął, zuchwalstwem.

— Matka ma słuszność, raz się go trzeba zbyć. Postarzał, siwieje, nudny... coraz więcéj wymagający... Trochę po nim zatęsknię, ale to przejdzie... Wtem przyszło jéj na myśl, że się ożenić może.

— A! tegobym nie zniosła, nigdy! nigdy!.. — zawołała w duchu. — Przysiągł mi... jest moim... O! nie! Wolałabym, żeby umarł.

Z lekkomyślnością dziecięcą myślała o tém wszystkiém, ziewała, drzemała, uznała się najnieszczęśliwszą pod słońcem istotą... potém zapatrzyła się w zwierciadło, i koło ust znalazłszy przepowiednię małego zmarszczka, odepchnęła je z gniewem.

— Temu wszystkiemu ten Pełka winien — mruczała — czego mnie nudzi!

Następnego dnia Pełka, którego oczami szukała, nie pokazał się; na zapytanie o niego doniesiono, iż chory. Łowczy, który rad mu się był zasłużyć, poszedł się dowiedzieć. Znalazł go w łóżku wyciągniętego, ręce podłożone pod głowę, oczy w górę, pierś odsłoniona, kołdry rozrzucone. Na widok Godziemby zmarszczył się.

— Cóż to rotmistrzowi? — spytał łowczy.

— Słaby jestem, nie wiem co mi jest — rzekł Pełka. — Wszystkie rany, jakiem w życiu kiedy miał, strzykają we mnie, jakby się znowu chciały otworzyć... a po głowie, jakby konie podkute chodziły.

Godziemba radził różne rzeczy, mruczał i wyniósł się prędko, zalecając najmocniéj wypoczynek i łóżko.

— Nim wstanie — rzekł w duchu — będzie pewnie po wszystkiém, bo Cyrulska nie zaśpi gruszek w popiele. Żeby mu jeszcze balwierz krwi dobrze upuścił!

Nie wstał Pełka w istocie ani tego dnia, ani następnych; nikt się o niego nie dowiedział, nikt nie postał tam, oprócz wiernego Gabryka. Przez niego wiedział, co się we dworze święciło.

Trzeciego dnia zjawił się Pokubiata z wesołą miną; lecz przypatrzywszy się wychudłéj twarzy Pełki i zżółkłéj cerze, nastraszył się go i siadł zdaleka.

— Przyszedłem się z miłym panem pożegnać — rzekł — bo taki już nie mam tu co robić. Przeszkadzałem Firlejowi dopókim tylko mógł... nie udało mi się, pomaga mu tam skuteczniéj matka niż ja szkodzę... to darmo... Trzeba na boćwinę do domu. Tylko co nie widać, jak się zaręczą.

— Myślisz waszmość? — spytał Pełka.

— A no, nieochybnie, Firlej pewien swego... Wczoraj ze stada sobie już zawczasu do cugu konie wybierał...

Obejrzał się Pełka na mówiącego.

— Tak to już blizko? — spytał.

— Wczoraj tylko z sobą chodzili z kąta w kąt na szeptach... matka za niemi jak kura za kurczę-

tami, żeby im tam jaki jastrząb nie przeszkodził. Miłe Firleisko rozkochany gdyby kot, a o swém szczęściu prawi tylko...

Ja mu go nie zazdroszczę...

Gdy po gawędce téj wyszedł Pokubiata, Pełka jak leżał w koszuli tylko, wstał i począł do przyległéj izby, w któréj Gabryk siadywał, bić w ścianę pięściami, żeby go przywołać.

Nadbiegł sługa.

— Daj mi się odziać — rzekł — a prędko.

— Gdzież panu iść? jak? a toć dwa dni w ustach pan nic nie miałeś?

— Tylko słuchać! — groźno powtórzył Pełka — odzież mi daj!

— Jaką?

— Czarną.

Nie można mu się] było sprzeciwiać. Gabryk począł kufry przerzucać i pomagać do ubrania. Nie myśląc o tém co czynił odziewał się Pełka, musiał mu poddawać, opinać, ociągać Gabryk, a że był przez tych dni ostatnich wychudł strasznie, wisiało na nim wszystko, jakby pożyczane. Czapkę mu w rękę wcisnął na końcu Gabryk i wyprowadziwszy za drzwi, widząc, że się na nogach chwieje, a idąc zatacza, poszedł za nim.

W pół dziedzińca jednak, jakby go co nagle odżywiło; Medard począł iść śmielszym krokiem, żywszym coraz, a dopadłszy do dworu, drzwi gwałtownie otworzył i rzucił niemi.

W sali siedzieli wszyscy. Gdy się na progu ukazał, pierwsza nań spojrzała pisarzowa i snadź przelękła się jego twarzy, gdyż długo na nim zatrzymała oczy. W istocie Pełka był prawie nie do poznania zmieniony, żółty, wychudły, a oczy mu gorzały wpadłe, jak u dzikiego zwierza. Wszedłszy u progu przystanął, potém postąpił kroków kilka, zajął na ławie miejsce i patrzał.

Wprędce pani pisarzowa zwykłe swe żarty znowu rozpoczęła. Firlej téż dokazywał, huczno rozpowiadając swoje i cudze przygody, śmiechem mu potakiwała Cyrulska, kiwaniem głowy łowczy.

Po krótkiéj chwili już, jakby tego widma Pełki nie było, nikt nań nie zważał. Ten z ławy się krokiem nie ruszał, patrzał i milczał... zapomniano o nim. Zawołano do wieczerzy, został na téj ławie sam jeden w pustéj sali, a że jadalnię przeze drzwi widać było i głosy z niéj dolatywały, karmił się patrząc i słuchając.

Matka doprowadziła tego dnia tak daleko sprawę Firleja, iż już na pół żartem, pół na prawdę zdrowie przyszłych państwa młodych pito.

Gdy ten kielich wnoszono, wstał dopiero rotmistrz i zwolna się zbliżył ku drzwiom, żeby lepiéj dosłyszeć, jak łowczy trochę podochocony, trafnie sobie z dwóch herbów czynił igraszkę wiążąc je z sobą.

Pisarzowa, któréj twarz widać było, śmiała się patrząc na Firleja, ten z założonemi siedział rę-

kami, jak w cudowny obraz w nią wpatrzony, bo też tego wieczoru cudnie wyglądała odmłodzona weselem...

Wśród rozgłośnego śmiechu, który towarzyszył wiwatowi, Pełka się zwrócił z wolna i krokiem mierzonym oddalać się począł.

W cieniu stał z równą ciekawością przyglądający się z kąta Żaba. Postrzegłszy Pełkę — ustąpił mu z drogi, pozdrawiając.

— Po co to rotmistrz chory wychodzi?

— Co? spytał Pełka śmiejąc się — juściż na takie gody popatrzeć, wartoby i umierającemu przyjść? Jak myślisz? wszak to nasza pisarzowa za mąż wychodzi? prawda?

Żaba ramionami ruszył.

— Trzebaż się na wesele przygotować — dodał Pełka... bo to się pewnie prędko odbędzie... Toć i ja tam być muszę!

Spojrzał nań Żaba zdziwiony, ale Pełka już znikł.

* * *

— Gabryk — sposobić się do drogi — odezwał się wchodząc do mieszkania Pełka.

— Panu w drogę?

— Słyszałeś!...

— Kiedyż?

— Dziś w nocy... Konie posiodłać, wozy wyładować, sepety powiązać...

— Ale pan nam w drodze gdzie zapadnie...

Nie odpowiedział Pełka nic — zegarek dobył z za pasa i położył na stole przed sobą.

— Daj mi tu pistolety — rzekł do Gabryka, w drogę się tak puścić nie można, trzeba je opatrzeć.

— Nabite one dawno?...

— Wykręcić, a dać mi tutaj... stare naboje licha warte...

Gabryk posłuszny być musiał; przyszły tedy pistolety na stół... a Pełka sam je począł nabijać. Nie żałował prochu garścią go sypiąc, skałki opatrzył, panwy podsypał i położył je przed sobą.

Tymczasem, rad nie rad, Gabryk poglądając na siedzącego pana, do drogi się musiał sposobić.

Gdy po wieczerzy towarzystwo podochocone wróciło do sali, Żaba, na którym rozmowa z Pełką dziwne jakieś uczyniła wrażenie, szepnął łowczemu...

— Dobrzeby kto z Pełką pomówił... źle mu coś z oczu patrzy... Gdyście tam zdrowie pili, przysłuchiwał się, potém zaśmiał i wyszedł ztąd ale jakby niespełna rozumu. Kto go wie co mu jest...

Łowczy na czczo byłby może odwagi nie miał szukać Pełki, po wieczerzy i kielichach, czułość go dlań wzięła i troskliwość... Chwycił za czapkę i potoczył się do jego mieszkania. Zastał go jakeśmy zostawili siedzącego nad stołem, na którym leżały pistolety; głowa na dłoniach, oczy wlepione w deskę... Gabryk pakował sepety...

— Cóż to robicie? co to jest? na rany pańskie? Co waszmości? zawołał zbliżając się i trącając Pełkę.

Ten, jakby się przebudził, głowę podniósł — i spytał szydersko:

— Cóż tam słychać? hę? udały się waszmości swaty? zapijaliście pono zrękowiny...

Łowczy stanął gładząc brodę...

— No to cóż? zapytał — przecież raz się skończyć musiało? Trzeba się z przeznaczeniem pogodzić... Wybrała go sobie... no, to i dobrze... Jako przyjaciel domu cieszę się ja, i waszmość cieszyć się powinieneś.

— A jest bo z czego? rozśmiał się Pełka.

— Ale nie dziwacz — wyrwał się rozochocony łowczy, chłop piękny, młody i w głowie co się zowie... Niech się biorą. Juściż za ciebie nie pójdzie... wyczekałeś się dosyć... cóż masz robić? Mojem zdaniem wykręcić się na weselu. Cha! cha!

— Ja to tak i myślę... a wesele trzeba żeby było paradne! śmiejąc się mówił Pełka... trzeba sprawić im takie, jakiego świat i korona polska nie widziała.

Łowczy słuchał nie wiedząc czy żartuje, czy prawdę mówi. Głos drżący i szyderski niepokoił... Zamilkł...

— A tak! dodał Pełka — kiedy gody to już gody gębą całą!... Sproścież wy na nie, panie

swacie, ludzi wcześnie, bo ja wam powiadam, że będzie patrzeć na co...

Gabryk — ozwał się do sługi: konie żeby mi były gotowe... natychmiast...

— A po cóż pod noc jechać? Ot widzisz asindziéj, przerwał łowczy, to już rankory, to gniewy, na co się to zdało? wątrobę sobie napsujesz, i po wszystkiém.

Pełka wstał. Miał na sobie żupan atłasowy podpasany, a na wierzch aksamitny kontusz wolno... Wziął pistolety oba ze stołu i pozatykał je ostrożnie za pas pod kontuszem. Łowczy się przypatrywał...

— A to co? spytał.

— Ja to tak zawsze w drogę biorę, aby mieć pod ręką — odezwał się Pełka. Nie wiadomo z kim się człek spotkać może.

Podniósł głowę na Godziembę patrząc, którego po wieczerzy czkawka dusiła.

— Idź stary spać — odezwał się — nie dobrze ci tak na nogach stać długo...

— I mamy się pożegnać? hę? zapytał Godziemba...

— Zapewne, że bezpieczniéj dziś, niż czekać jutra... Bywaj zdrów, stary — bywaj zdrów... Nie mam do ciebie żalu, idź z Bogiem...

Pokazał mu na drzwi. Łowczy widząc, że w dłuższą rozmowę wdawać się byłoby nie w porę, wyśliznął się pomięszany...

— Cóż mu jest? rzekł w duchu — humory zburzone... człek jakby po febrze... nie dobrze z nim być...

W sali rozmowa i wesołe śmiechy, trwały do późna... Trzy razy wychodził Pełka patrzeć, czy się nie rozeszli i powracał niecierpliwy, za czwartym wreszcie, zapytał sługi, który mu oznajmił, iż pani do swéj komnaty się udała...

Pełka ruszył znajomą sobie drogą wprost do niéj. U drzwi zastąpiła mu Strzemeszanka, oznajmując, iż pani potrzebowała spoczynku.

— Powiedz jéj, że przychodzę ją pożegnać i widzieć się muszę... a zamkną mi drzwi, to jeszcze mam tyle siły, że je wyłamię.

Ustąpiła przestraszona Strzemeszanka, Pełka wszedł. Pisarzowa stała przed zwierciadłem, włosy rozpuściwszy i rękami je zbierając, obejrzała się gniewna.

— A to wy? rzekła...

— Tak — to ja — to tylko ja, pani pisarzowo głosem niezwykłym począł Pełka, dziwnie niby wesoło a szydersko... Przybyłem dla porachunku?

W téj chwili drzwi za sobą na klucz spuścił, a klucz do kieszeni schował.

— Co to ma znaczyć? krzyknęła przelękła kobieta...

— Przyszła naszego porachunku godzina... mówił Pełka zwolna. Zaręczyłaś się pani z tym młokosem, a no, już tego dosyć! Cierpiałem dłu-

go, milczałem, czekałem... Szydziłaś sobie ze mnie — szydzili ludzie... trzeba za to zapłacić... Tak pani pisarzowo... a już dziś nie czém inném tylko życiem...

Jadwisia słuchała, jakby nie rozumiejąc i niedowierzając swym uszom, Pełka się rozogniał coraz więcéj...

— Padnij na kolana proś Boga, żeby ci przebaczył, bo o to stoi mistrz i żywą ztąd nie wyjdziesz...

To mówiąc, dobył pistoletów ręką drżącą.

— Niech ziemia takiego stworzenia nie nosi... niech raz skończą się twoje zaloty a moja męczarnia... Módl się, bo chwile twe policzone...

Jadwiga, która zrazu się przelękła, odzyskała całą swą dumę i przytomność...

— Oszalałes! zawołała — precz ztąd! bo zawołam na sługi i związać każę.

— Módl się! powtórzył Pełka... nim ktokolwiek nadbieży — ciebie nie będzie... Daję ci chwilę dla skruchy, abyś ratowała duszę... nie chcę jéj zguby... ale ty... ty zginąć musisz... Żyłaś dosyć na nieszczęście ludzkie...

Nie mogąc słowa wymówić pisarzowa, rzuciła się jak obłąkana ku oknu... Pełka podbiegł za nią, chwyciwszy za włosy rozpuszczone wstrzymał... podniósł pistolet, przyłożył do piersi — i wystrzelił...

Krzyk przenikający rozległ się po cichym domu... Ludzie zaczęli dobijać się do drzwi...

Jadwiga leżała na wznak z przestrzeloną piersią, z której krew toczyła się strugą po sukni... Pełka stał chwilę nad nią, patrzał obłąkanemi oczyma, bezmyślnie uderzył ręką w okno, które się posypało w kawałki i w ogród wyskoczył.

Razem prawie padły wyłamane drzwi i co żyło w domu rzuciło się do izby. Matka, łowczy, sługi, Żaba, a wkrótce za nimi Firléj i Pokubiata... Podniesiono z ziemi omdlałą i zdającą się dogorywać nieszczęśliwą Jadwigę, której oczy otwierały się niekiedy, a ręka spazmatycznie za pierś rozdartą chwytała...

Rana była głęboka i na pozór śmiertelna, lewy bok przeszyty, lecz kula przebodłszy go, wyszła ośliznąwszy po żebrach... Rzuciła się matka z płaczem, obejmując ją i tuląc do siebie, a brocząc krwią, która obficie spływała... Nie było komu ratować, ani sądzono, by ratunek jeszcze co pomógł, dopiero Pokubiata pierwszy wołać zaczął, o tamowanie krwi, widząc, iż pisarzowa żyje... Rzuciły się tedy sługi opamiętawszy obwiązywać bok chustami, i złożyły ciało na łożu...

Firléj pobiegł po konia, aby z miasteczka felczera przywieźć. W tym popłochu i płaczu a lamentach, nie myślał nikt nawet gonić ani chwytać Pełkę, który znikł. Gabryk mający konie w pogotowiu ujrzał przypadającego pana bezprzytomnego,

wołającego: Zabiłem ją! poddał mu konia, i nim miał czas sam drugiego dosiąść, Medard znikł mu z oczu. Dworscy ludzie rzucili się na niego chcąc drogę zaprzeć, do których Pełka raz jeszcze wystrzeliwszy, w czwał przez pola zbiegł. Gabryk téż ze swemi natychmiast chciał ujeżdżać, ale dworscy napadli go i wstrzymać usiłowali.

Przyszło do strzałów i do szabel, tak, że poczciwy sługa ratując siebie i mienie pańskie, musiał się wyrąbywać rozganiając tłum napadający i ledwie z życiem uszedł, jeden z wozów porzuciwszy.

Sądny dzień stał się we dworze... Jedni po księdza, drudzy po cyrulików, inni po sąsiadów dla rady i pomocy pędzili, — niektórzy o sobie myśląc na wypadek śmierci, już węzełki przysposabiali chwytając swoje i cudze, co pod rękę wpadło.

Co chwila nowa wieść z sypialni wybiegała na dziedziniec, który się tłumem ludzi dworskich i wiejskich napełniał... jedni wyskakiwali donosząc, iż kona, drudzy z wiadomością, że żyje i oczy otwiera... Powtarzały się mdłości i jęki po nich, lecz Pokubiata, który widział ran wiele i postrzelanych, zaręczał, że jéjmość wyżyje...

Jadwiga wiele razy oczy otwarła, z przestrachem wodziła niemi po otaczających ją, jakby kogoś szukała i zamykała je znowu... Matka leżała na ziemi obejmując jéj nogi i płacząc... niekiedy wyrywał się z jéj piersi wykrzyk i przekleństwo na zbójcę...

— Mówiłam zawsze, że temu rozbójnikowi źle z oczu patrzało... wołała. Czemu go nie schwytano i nie związano! O! głową nałożyć musi! Chybabym nie żyła, chybaby się za świat skrył, pójdę patrzeć, jak go kat ścinać będzie...

W godzinę Firléj za siebie wsadziwszy na siodło cyrulika, przybył z nim konia niemal zabiwszy, tak, że u ganku się rozparł i po chwili padł.

Przyprowadzono wystraszonego tém i drżącego Izraelitę, który nie śmiał zrazu ani się dotknąć rany, ani radzić nic, bojąc się odpowiedzialności...

Gdy bok przestrzelony odsłoniono i kazano mu go opatrzyć, obłąkanym wzrokiem spojrzał nań i dopiero się uspokoił... cicho powiadając jak obwiązywać miano.

Łowczy go natarczywie pytał, czy pisarzowa wyżyje...

— Gdyby tak mężczyzna, szepnął przywieziony — nie byłoby mu nic, ale co ja mogę wiedzieć o kobiecie?... Kto widział kiedy takie wielkie państwo delikatne... postrzelone od kuli?

Wstąpiła wszakże nadzieja we wszystkich... poodprawiano tłum, zamknięto drzwi, założono okno okiennicą, nakazano spokój i ciszę, została tylko przy pisarzowéj matka i dwie sługi.

Firlej i Pokubiata odeszli, obaj po cichéj naradzie zamierzając odjechać do Krakowa, aby nie być domowi ciężarem. Łowczy także radby się był salwował, ale mu Cyrulska zostać kazała.

Nad rankiem już konie gachów były gotowe i cicho pożegnali to miejsce, do którego tak wesoło, z dobrą myślą przybywali.

Firléj szczególnie pochmurny był i zamyślony. Wahał się czy mu pozostać wypada, czy jechać, pytać kazał matki, a od téj odebrawszy dyspozycyę, aby się na czas jaki oddalił, wielce rad temu razem z Litwinem wyjechał po cichu.

— Kto wie — szeptał Firlej do towarzysza oddalając się — ten desperat może się po okolicy włóczyć i czychać... aby i na moje życie godził... trzeba się mieć na ostrożności... Strzelił do niéj, jeszcze i mnie ze świata zgładzić zechce. Ale któż to mógł odgadnąć, patrząc na niego stojącego u proga, że się tam zbiera taka passya i taka złość? Już przyznam się waszmości, że choć mi pisarzowa droga, i miłuję ją jak nigdy w życiu nikogo — przecież radbym się z téj biedy wycofać... Ten człowiek, jak teraz słyszę, od dzieciństwa za nią szalał, i pono z dwoma mężami jéj miał rozprawy, nie uszedłbym i ja...

Ruszył ramionami.

— Jam o tém wiedział dawno — dodał Pokubiata — a waszmość się ani dowiadywać, ani słuchać kogo chciałeś, takeś się zacietrzewił...

Mówiąc tak, wjechali powoli w las dębowy, którym droga wiodła... Słońce już było dobrze podeszło i dopiekało... Na gościńcu pusto jak zajrzał... Tu dopiero odetchnąć mogli nieco i my-

śli pozbierać... Jechali więc to gwarząc, to milczący, godzinę może, gdy nade drogą postrzegli konia osiodłanego, który z głową zwieszoną stał.

Jeźdźca przy nim widać nie było, tylko coś czerniało na ziemi. Nie mogąc zrazu rozpoznać co to znaczyło, pośpieszyli raźniéj, a koń, który z głową zwieszoną stał, podniósł ją i rżeć ku nim zaczął. Zbliżając się, dostrzegli dopiero, iż wierne stworzenie pilnowało pana, który z rękami rozciągniętemi, twarzą na ziemię padłszy leżał. Nieopodal od niego widać było kołpak, który mu się z głowy stoczył. Mężczyzna odziany był czarno i zdawał się jakby zabity, bo nieruchomy był... Koń to go wąchał, to przy nim nogą grzebał, to się rzucał w bok i powracał...

Gdy się tuż przysunęli, Firléj i Pokubiata domyślili się raczéj niż poznali Pełkę... Nie było na nim znać ani postrzału, ani widać krwi przy nim, domyślali się więc, iż omdlały z konia upaść musiał. Stanęli przy nim radząc się oczyma co poczynać.

Wtém na odgłos koni, ów jakby nieżywy leżący westchnął, podniósł się, głowę dźwignął, a gdy wzrok jego padł na Firleja, gwałtownie na nogi się pochwycił i choć w pierwszéj chwili zachwiał, z dziką postawą i krzykiem wprost przypadł ku niemu, ręką za pasem pistoletu szukając. Firléj téż dobył prędko od siodła i stanął cofając się

w obronie, a Pokubiata skoczył między nich i za rámię Pełkę przytrzymał.

Słowa jeszcze nie rzekli do siebie... Nie znalazłszy pistoletu, Medard do szabli się wziął, któréj ręką bezsilną dobyć nie mógł, usta mu się poruszały, a słowo z nich nie dobyło żadne, potém krzyk przerażający jeden i z nim znowu na ziemię padł.

— Przez ciebiem zbójcą — leżąc począł wołać Pełka: — Stój i bij się, abyś mi życie wydarł, które mi zbrzydło, lub ja twoje... Stój!...

Firléj się téż nie ruszał.

— Opamiętaj się szalony człecze — zawołał Pokubiata z konia zsiadając — co on ci winien? czemuś mu słowa nie mówił ani przestrzegał? Nie dosyć ci jednéj krwi?

Głowa Pełki omdlała opadła mu na piersi.

— Zabiłem ją? zabiłem ją! — powtarzał i śmiał się obłąkany.— Dobrze jéj tak — zabiła ona mnie. Pan Bóg sprawiedliwy...

Litwin dał znak Firlejowi, aby precz jechał, sam pozostał i przy leżącym przykląkł. Zrazu uciekać nie chciał wyzwany, lecz rozmyśliwszy się, iż tu bić się nie ma z kim, zwolna ustąpił. Ani go już wstrzymywał Pełka — mruczał tylko: — Trzeba ją było zabić. Zabiłem ją.

— Nie zabiłeś jéj — odezwał się Pokubiata — postrzeliłeś okrutnie, ale żyje, i Bóg da, żyć będzie...

Na te słowa z oczyma zaiskrzonemi, jakby znowu chciał iść i dobić ofiarę, Pełka niespokojnie się miotać zaczął, ale mu Litwin ruszyć się nie dał...

Gdy się to działo, Gabryk, który z wozem jednym i końmi małemi drożynami się puścił unikając pogoni, na gościniec wyjechawszy, nadciągnął. Na widok pana podbiegł co żywiéj, a ten choć nie ranny i nie tknięty, dogorywać się zdawał. Bezwładnego wzięli go we dwóch na ręce i zanieśli do wozu... Nie było już co czekać, ażby pogoń nadbiegła, a uchowaj Boże schwytano Pełkę, natychmiast więc Gabryk z nim z gościńca zjechał i bez drogi się prawie, leśną ścieżyną na oślep puścił.

Pokubiata z wielką litością popatrzywszy na leżącego na wozie, który jęczał twarz kryjąc w rękach, sam konia dosiadł i za towarzyszem się puścił.

Dopiero w gąszcze wjechawszy, miał czas Gabryk namyślać się co z panem swym pocznie. Wieźć go do domu nie było podobna, bo go tam najprędzéj szukać miano — gdzie się z nim schronić nie wiedział. Dając więc koniom spoczywać, a słowa nie mogąc dopytać się od Pełki, pociągnął z nim małemi drożynami ku Krakowu, gdzie jeszcze najbezpieczniéj skryć się było.

Przez całą drogę milczał, nie bardzo będąc przytomnym Pełka... Gabryk go poił czém mógł,

aby w nim życie utrzymać, bo jadła żadnego nie tykał. Musiano odpoczywać po drodze, gdyż gorączka się rozwijała i chory majaczył, a wóz trzęski i znużenie chorobę zwiększały. Tak z wielką biedą dostali się nareszcie do stolicy, gdzie już przynajmniéj izbę i lekarza znaleźć było można. Gabryk pobiegł natychmiast po doktora Ławręckiego, który w ostatnim pojedynku rannego opatrywał i leczył, a bardzo Pełkę pokochał.

Dowiedziawszy się o wypadku, przybiegł z nim natychmiast, lecz zastał w takim stanie Pełkę, iż się nic radzić nie ważył.

— Dać mu pokój — rzekł — a naturze nie przeszkadzać, ona tu swoje dzieło rozpoczęła, przy którém lekarz głupi — walczy w nim życie z chorobą — można chcąc dopomódz życiu, przyjść w pomoc chorobie. Będę patrzał i pilnował, ale się go tknąć nie ważę. Dawajcie mu cokolwiek zapragnie, a strzeżcie od wszelkiego wrażenia, od widoku, od ludzi...

Położono tedy Pełkę w izbie przyciemnionéj, a Gabryk siadł przy nim, dniem i nocą go nie odstępując. Pragnienie snadź paliło chorego, bo wody wołał, a lekarz jéj nie wzbronił, więc pił nadzwyczaj wiele i gorączka jeszcze się wzmagać zdawała, a doszedłszy do największego stopnia nagle opadła, i Pełka począł osłabiony spać... coraz spokojniéj...

W przerwach snu tego pojono go rosołem, i doktór Ławręcki w kilka dni szepnął, iż ma nadzieję, że silna, zdrowa natura zwycięży. Tak się stało po śnie tym, Pełka się zbudził przytomny, rozpytując Gabryka, gdzie się znajdował, a powoli przychodząc do pamięci wypadków. Gdy ta mu powróciła, zamilkł i nie pytał więcéj.

Poznawszy nazajutrz Ławręckiego, uciszył się bardzo i rozpłakał rękę jego ściskając... Osłabiony był i doktór mu dłuższéj rozmowy zabronił.

W kilka dni dopiero, gdy siły powracać zaczęły, dzięki lekarstwom i pokarmom a najbardziéj spoczynkowi, Pełka zamknął się z doktorem.

— Wiecie — rzekł — com uczynił? słyszeliście...

— Coś... głucho — ale o tém nie mówcie — odezwał się doktór. Co się stało, odstać się nie może... najprzód trzeba zdrowie odzyskać...

— A po cóż mi zdrowie i życie teraz?— rzekł Pełka — co z sobą zrobię? Nabroiłem tyle z powodu téj kobiety, iż mi żywot obrzydł... Czy umrze, czy żyć będzie... mnie na świecie nie ma co robić. Byłem już raz laikiem u bernardynów, i gdyby nie ona, jużbym dziś szczęśliwy Bogu służył... zamyślam powrócić do klasztoru na pokutę.

Doktór Ławręcki, choć sam na pół duchowny, zamiaru tego zganić nie mógł, jednak długo pomilczał nim odpowiedział.

— Uczynisz waszmość jak chcesz — rzekł — ale z wdzianiem sukni duchownéj, a témbardziéj zakonnéj, zawsze się dobrze rozmyślić należy. Niewielu do niéj powołanych, Panu Bogu zaś do ołtarza nieść resztki, które się już światu na nic nie zdały — nie wielka dlań pociecha. Jeszcze waszmości z serca ta miłość grzeszna nie ustąpiła — poczekaj i rozmyśl się. Zechcesz potém wdziać habit, zawsze czas.

Pełka uznając słuszność téj uwagi, nie sprzeciwiał się, posłał list do siostry i szwagra potajemnie i na nich czekał. Nie chciał się bowiem wydać z sobą tutaj, obawiając procesu i pozwów o gwałt a zabójstwo. Gabryk téż mało się w ulicy pokazywał, i pytany o pana nazwisko, inne powiadał.

Upłynęło parę tygodni od wypadku nieszczęsnego, gdy jednego dnia biegnąc do apteki OO. jezuitów po lekarstwo, Gabryk, niemal nos w nos spotkał się z łowczym Godziembą, idącym z różańcem po staremu do kościoła... Stary go poznał, a że zawsze ciekawym był i plotkarzem, za połę go pochwycił i zatrzymał.

— Gabryk, na rany pańskie! — zawołał. Co ty tu robisz?

— Ja? a no... z Laskowskiemi przybyłem.

— A Laskowscy tu co robią?

— Chłopca do szkół odwieźli.

Kłamał biedny Gabryk bardzo zręcznie.

— No, cóż się z tym zbójcą stało? — zapytał — gdzie on?

— Za granicę uszedł — rzekł kończąc Gabryk.

— Po co? na co? — odparł łowczy.

— Boć pewnie go pozwą.

Łowczy ramionami ruszył.

— A to ty nic nie wiesz — rzekł cicho, do ucha mu się nachylając. Pisarzowa żyje, rana się niemal zgoiła, a no, wstała z łóżka jakby inna kobieta. Gdzie onaby go pozywać miała!... ona za nim szaleje... ona o niego się tylko frasuje... aby jéj przebaczył!

— O kogo?

— A o tego utrapionego Pełkę — rzekł łowczy — tak ją skonwinkował, mosanie... Matka się chciała coś odezwać — gdzie? co? ani słowa nie dopuściła nań powiedzieć. Dobrze uczynił, że mnie ukarał, wartam była tego... Padłabym mu do nóg, gdybym go zobaczyła... błagając o przebaczenie...

Taka... z pozwoleniem, głupia! — dodał łowczy — kto kiedy babę zrozumiał!...

Firlej jak się o jéj zdrowiu dowiedział, przystawił się zaraz z pierścionkami. Gdzie zaś! nie dała mu się na oczy pokazać, pojechał jak zmyty... Matce się oparła stanowczo i powiedziała: Albo za Pełkę pójdę, lub za nikogo...

Mnie, starego przyjaciela domu, com im tak dobrze życzył, za to, że tych gachów przywiozłem

(ale nie z własnéj myśli — Bóg widzi), kazała precz — precz, co najrychléj wyprawić. Nie dali mi nawet na drogę... Cyrulska się skryła... Ledwie u Żaby wyprosiłem furmankę chłopską i obroku trochę, a dla siebie bigosu faseczkę... Musiałem w piątek się nim żywić, a teraz pokutuję z suchotami... Ale — no — już mnie teraz żadna baba nie wyciągnie — to darmo. Panu Bogu służyć będę do końca dni moich...

Gabryk niezmiernie był zaciekawiony opowiadaniem, począł więc go badać i dopytywać o szczegóły...

— Życie wcale nie było w niebezpieczeństwie, tylko przestrachu doznała wielkiego, kula bardzo grzecznie poszła... nie tknąwszy nawet delikatnych jejmościnych kosteczek... Zaraz trzeciego dnia cyrulik zapewnił, iż się to rychło zgoi. Pokładli plastry... kazali się zachować spokojnie i rana się goiła tak szybko, że drugiego tygodnia wstała.

— Ale — jak mi Bóg miły, tak zmienionéj kobiety nie widziałem. Fraszka to, że pobladła nieco i trochę schudła, to jéj nawet na korzyść wyszło, ale humor, fantazya... wszystko w niéj inne. Spokojna, łagodna, smutna — pokorna prawie... snadź jéj tego tylko trzeba było, żeby ją kto postrzelił.

Matka, co dawniéj umiała i wiedziała, jak sobie z nią rady dać, teraz zupełnie z tropu została zbita. Chciała zaraz zabawiać... A no! ani sły-

chu o tém! Firléj przybył, myślała, że ją skusi nim — nie pozwoliła mu przyjść nawet, przeprosić kazała i nie dopuściła do siebie. Pierścionków nie przyjęła... z grochowinami pojechał...

Wszystkoby to Cyrulska zniosła jeszcze i zgryzła, tylko tego nie mogła, że na Pełkę słowa powiedzieć nie pozwalano. Ta go zbójcą nazywała, a pisarzowa — zbawcą. Skłóciły się z sobą raz i drugi... Cyrulik zagroził, że to ranę zaogni, dała matka pokój — ale poznała, że się tu jéj panowanie skończyło.

Łowczy mówił i wzdychał...

— No, gdzieżby to rozumny człowiek odgadł, takie bałamuctwo téj kobiety?

Jak żyję na świecie, o niczém podobném nie słyszałem, a gdybym na moje oczy tego nie widział, nie uwierzyłbym.

Poszedłszy tedy Godziemba do kościoła, a Gabryk do apteki i do domu... Jako prosty człek nie wiedział co począć z tém co słyszał. Mówić panu czy zmilczeć?

Tegoż dnia, gdy doktór Ławręcki odchodził, wysunął się za nim poczciwy Gabryk i opowiedział mu rzecz całą, prosząc o radę. Stary, który więcéj leczył rany ciała niż serca, w wielkiéj téż był niepewności, jak tu sobie postąpić należało... Obawiał się, aby wiadomość ta spirytusu na ogień nie dolała...

17*

— Milczno jeszcze — rzekł — niech odejdzie, niech się uspokoi, nie ma z czém śpieszyć.

Gabryk więc zamilkł, lecz z panem się już nie widział powodu taić, gdy mu nic nie groziło, mówił o nim otwarcie, i radby mu był sprowadzić ludzi, aby go z gnieżdżących się w samotności czarnych myśli wyprowadzili. Znajomych jednak nie było jakoś w Krakowie, i znowu dni kilka upłynęło w ciszy... gdy jednego rana, idąc po bułki do straganu, Gabryk w pośród rynku postrzegł konno przejeżdżającego Rożańskiego. Chciał mu z oczu zejść, bo z nim jednym spotkać się nie życzył, ale już było po czasie, Rożański z koniem na niego natarł.

— Co ty tu robisz? — zawołał zdziwiony — stój! na rany Chrystusowe, gadaj... Co się z wami dzieje? Zaleźliście mi za skórę porządnie, i słyszę, pięknieście téż na tém wyszli. Gdzie ten szaleniec się obraca? Czy prawda, że zabił pisarzową? gadaj — czego się mieszasz?

Wszystko to tak natarczywie i prędko jeszcze na koniu siedząc mówił Różański, że Gabryk nie miał czasu się rozmyślić co z nim pocznie. Znając Rożańskiego żal i obrazę, nie śmiał mu się przyznać do tego, że był z panem, ani o Pełce oznajmić.

— Mów, czego się mnie trwożysz? nie zjem cię!... Prawda, że ją zabił?

— Nie zabił — odparł Gabryk cicho i niewyraźnie — nie zabił. Strzelił to prawda, ale mu

Pan Bóg chyba odpuści tę winę, bo go już do ostatka ta kobieta przywiodła. Wszak znowu za innego za mąż iść miała... Biedne panisko głowę straciło, żal serce ścisnął, a żal pamięci nie ma...

A! co tam o tém mówić wiele — dodał Gabryk, i chciał odchodzić. W téj chwili Rożański z konia zeskoczył.

— Co ty odemnie uciekasz? — krzyknął, ja cię tak nie puszczę. Zły jestem na Pełkę, bo mi się niewdzięcznością wypłacił, alem mu był przyjacielem i gniew gniewem (krew nie woda), a źle mu nie życzę... Gdzie on jest?

— A no — nie wiem, uciekł! — rzekł Gabryk — bo myślał strzeliwszy, iż ją zabił.

— Dokąd?

— No — nie wiem, pewnie na Szlązk... Odchorował, mało nie zmarł...

— A tyś tu jak? z kim? czemużeś go opuścił?

Spojrzał mu w oczy i nagle dopatrzywszy, że Gabryk się zmieszał, zawołał:

— Kłamiesz! co ty mi pleciesz! nieprawda! wszystko nieprawda! gdzie twój pan!

Ruszył ramionami Gabryk, słowa nie mówiąc.

— Człowiecze! mów mi prawdę! wołał Rożański — on tu jest! on tu musi być, bo tybyś go w złym razie, chorego nie porzucił... Przecież mimo, że mnie srodze obraził, sercam dla niego nie stracił. Załatałem tę biedę z Kmicicami, pannę

za mąż wydałem za stryjecznego brata... zapomniane rzeczy... Nie lękaj się... mów! zaklinam.

Jeszcze Gabryk się wahał, gdy go Rożański pochwycił za ramiona.

— Ale ja cię nie puszczę, ślad w ślad za tobą chodzić będę, mnie się tak lada czém nie pozbędziesz... Gadaj...

— Nie mogę — rzekł Gabryk — ledwie z choroby wychodzi, gdyby was zobaczył, toby go to dobiło. Doktór zakazał ludzi puszczać.

— Jaki doktór?

A Ławręcki...

Puścił go zaraz Wacek i rzekł tylko:

— No więc z Ławręckiem się zobaczę, i ciebie już nie potrzebuję... Bywaj zdrów. O pana się nie lękaj, złego mu ani życzę, ani zrobię.

Pomimo tego zapewnienia, Gabryk zmieszany do domu powrócił, a że doktora zastał, wziąwszy go na bok, zaraz mu się ze swéj przygody wyspowiadał, aby go uprzedzić, iż Rożański z nim o tém mówić będzie. Chory miał się lepiéj, lecz przychodząc zwolna do zdrowia, coraz mocniéj przy swéj myśli stał, by do klasztoru wstąpić.

Rożański tegoż dnia w kilka godzin późniéj, zetknął się z Godziembą. Od łowczego, którego z sobą zaprosił na podróżną przekąskę, dowiedział się dopiero ze szczegółami o całéj historyi przyjciela, którą po świecie bardzo różnie opowiadano. Miał tyle pomiarkowania Wacek, iż o ucieczce na Szląsk

posłyszawszy od Godziemby, wcale temu nie zaprzeczał. Opisał mu łowczy i owe konkury, których winę z siebie na matkę zrzucił, i ów straszny wieczór, i jego skutki. Rożański się niezmiernie zdziwił zmianie usposobień pani pisarzowéj.

— Szkoda tylko, że dziesięciu laty wprzódy o pistoletach nie pomyślał, kiedy to tak zbawienny miało skutek — dodał ramionami ruszając. Nie do uwierzenia to, lecz łowczybyś nie skłamał, bo takiéj rzeczy wymyślić trudno...

— Klnę się waszmości na wszystko najświętsze, prawda jest... Kobiety téj teraz nie poznać...

Od łowczego poszedł zaraz Rożański do doktora.

— Rób ty sobie co chcesz, uprzedź go o mnie, czy mnie bez ogródki wprowadź, ale ja się z nim widzieć muszę.

— Zobaczymy — mruknął doktór... dobiorę chwilę... zobaczymy...

Nazajutrz, niby od niechcenia siedząc przy łóżku, bo mu jeszcze wstawać nie dawał, odezwał się Ławręcki:

— Widziałem téż w mieście kogoś, któregoby waszmości miło było pewnie zobaczyć.

Chory oczyma pytał ciekawie...

— Pylada waszego, pana Wacka Rożańskiego?

Pełka pobladł.

— Czyście uchawaj Boże mówili co z nim o mnie?

— O was mówiłem, alem nie powiedział, że tu jesteście, bo wam spokojności potrzeba...

— Klął na mnie i piorunował?

— Wcale nie — ubolewał tylko, a mówił z wielką kompassyą, bo to człowiek dobry i serce złote — rzekł doktór. Wiele pono miał biedy z waszéj przyczyny, lecz się to już załatało... Panna wyszła za mąż.

Pełka odetchnął.

— Długo on tu zabawi? spytał...

— Jeszcze dni kilka. Powiedziano mu, żeście na Szlązk zbiegli, nie chciałem go z błędu wywodzić, radby się bardzo z wami widział...

— Byćże to może?—a? to mi go prowadźcie! szczęśliwy będę, gdy mi przebaczy i spokojniejszy się już na pokutę zakopię.

Ławręcki głową pokiwał.

— Gdy mi waszmość pozdrowiejesz... zobączymy... wzruszać się bardzo nie należy — spokojnie przyjmować rzeczy... a Bogu dziękować, że jeszcze tak źle nie wypadły, jak mogły...

Dawszy choremu wewnętrznie się przygotować i usposobić do widzenia z przyjacielem, Ławręcki dał znać Rożańskiemu, który tylko na to czekał, a gorzał z niecierpliwości.

Gdy się wcale nie spodziewał tego, z rana doktór iść mu pozwolił samemu, zastrzegłszy tylko, aby się rozmową zbytecznie nie poruszali, i by uchowaj Boże do sporu nie przyszło...

Pełka posłyszawszy w drugiéj izbie chód, poznał od razu Rożańskiego, zerwał się i siadł na łóżku. Z uśmiechniętą twarzą, z otwartemi rękami wszedł Wacek słowa nie mówiąc, do łoża przystąpił i rzucili się sobie na szyję, ściskając długo a płacząc... O przeszłości mowy nie było... ale gdy po kilku słowach począł Pełka o klasztorze i pokucie natrącać — Rożański się ofuknął.

— Ani ty mów o tém; zobaczysz, inaczéj Pan Bóg sprawę tę obróci... i raz przecie spokoju ci da zażyć i szczęścia...

Palec położył na ustach.

— O tém potém.

* * *

Pisali wiele starożytni o przyjaźni i przyjaciołach; trafiali się dawniéj druchowie a bracia, co sobie dotrzymywali uczuciem świętém a czystém do zgonu — dziś o tém słuchamy jak o archeologicznych zabytkach. Serca nam wystygły i nauka co miłość wpajała odepchnięta i odrzucona została. Przyjaźnią zowie się stosunek, który do niczego nie obowiązuje, oprócz do ukłonu i ściśnięcia ręki... Wacek Rożański należał jeszcze do tych starych przyjaciół co mawiali: *Calles antiquos serves, veteres et amicos.*

Cały ów dzień przesiedziawszy z Pełką, dopóki go pod wieczór doktór nie przepędził, powrócił na-

stępnego dnia, i w rozmowie z wolna począł mu to co słyszał od łowczego o pani pisarzowéj powtarzać.

— To nie może być! — krzyknął Pełka — nie może być!... wy mnie bałamucicie, abym spokojniejszym był, lecz uwierzyć temu nie mogę... na żaden sposób...

— Sprowadzę ci łowczego, jeśli chcesz, niech on powtórzy! — rzekł Rożański...

Pełka wpadł w zamyślenie długie, słowa wymówić nie mogąc, a gdy Wacek nastawał ciągle na to, że mu szczerą prawdę mówił — milczał.

Dla przekonania go, trzeba było załagodziwszy łowczego — sprowadzić, ażeby żywemi usty mu powtórzył, co słyszał i widział.

Z nieufnością i niedowierzaniem słuchał Pełka, aż nareszcie zdawał ulegać oczywistości... Poruszonym był mocno... co myślał i zamierzał z tém się nie odzywał, o klasztorze mniéj było mowy, zawsze jednak powracał do tego, iż na pokutęby chciał iść i resztę życia jéj poświęcić.

— Uczynisz co zechcesz — rzekł Wacek, ale mi dasz słowo, że bezemnie i wiadomości méj się to nie stanie. Jest na to czas wielki, a doktór ci do dwóch miesięcy z domu wyjść nie dozwala. Ja teraz muszę do żony jechać na dni kilka, bo ona tam sobie z chłopcami rady nie da... Wszystko to powyrastało jak na drożdżach... wrócę najpewniéj w przyszłym tygodniu... pomówimy o wy-

borze, czy ci już bernardynem bez brody, czy kapucynem z brodą zostać wypadnie.

Mówiąc to Wacek śmiał się, uściskali się serdecznie, i tegoż dnia wyjechał Rożański.

Lecz wcale nie do domu, domyślić się łatwo, że do pani pisarzowéj się wybrał, która dotąd o Pełce nie wiedziała co się z nim stało. Na czas niebytności swéj, nadzór nad chorym oddał Wacek siostrze i szwagrowi Laskowskiemu, którzy właśnie do Krakowa przybyli, poleciwszy im, aby go z oka nie spuszczali i nic mu nie dawali o sobie stanowić.

Rożański był człowiek zręczny i z ludźmi obchodzić się umiał. Na statystę nie chorował, wyglądał na hreczkosieja, lecz w życiu powszedniém nie było człowieka, któryby lepszą dał radę i skuteczniejszą pomoc...

Do pisarzowéj przybyć umyślnie nie życzył sobie, nie chciał uchodzić za posła od Pełki, aby nie sądziła, że się on znowu do niéj dobijał. Mądrze więc bardzo koło złamał niedaleko od probostwa, i do księdza się wprosił, dopókiby mu nowego nie kupiono lub starego nie połatano.

Księdzu się przedstawił, jako pilno jadący na jarmark dla skupienia wołów, bynajmniéj nie wiedząc kto tam mieszkał... Dopiero z rozmowy niby się dowiedział o pani pisarzowéj i wzięła go ciekawość wielka, bliżéj się o jéj losach dowiedzieć.

Staruszek księżyna gadatliwym był, więc się z nim łatwo było porozumieć.

— A to téż trafunek osobliwy! — zawołał Rożański — wiele o tém słyszałem, ale różnie ludzie plotą... a prawdy dojść trudno. I trzeba, żebyś dobrodziéj wiedział, że z tym Pełką byłem niby Orest z Pyladem, póki mnie na dudka nie wystrychnął... uciekłszy od ślubu, z panią pisarzową razem...

— Jakże to było? jak to było? — mój ojcze.

Ojciec zasiadł do gawędy, która mu się rzadko trafiła, i począł *ab ovo* historyą Pełki i pisarzowéj, tak jak ją słyszał od ludzi, przeszedł potém do tego, na co własnemi oczyma patrzał, do przybycia Pełki, do konkurów ostatnich i do tragedyj onego dnia pamiętnego.

— Niezbadane są drogi Opatrzności — dodał — któżby się był mógł spodziewać, że ta kobieta, bardzo zresztą dobra i zacna, kollatorka a dobrodziejka moja osobliwsza — zupełnie tryb życia i sentymenta zmieni... Nietylko, że nienawiści nie ma do mordercy, ale dlań opowiada się z wdzięcznością i affektami nie kryjąc. Sam to od niéj na moje uszy słyszałem...

— Wieszże co ojcze, rzekł Wacek, a toćby to dobry uczynek był, jeśli tak rzeczy stoją, zbliżyć ich do siebie, ku zobopólnemu szczęściu... Ja chętnie ku temu rękę przyłożę. Idźcie do dworu... powiedzcie jakim przypadkiem tu jestem, jeśli się

zechce zobaczyć ze mną, może się z tego dla nich obojga, co lepszego niż jest wywiąże.

Proboszcz chętnie się ofiarował do dworu iść. W godzinę może pędem starowina powrócił z zaproszeniem Rożańskiego do dworu. Odział się zaraz Wacek i pieszo ruszył, konie i ludzi zostawując na plebanii.

Z ciekawością wielką zbliżał się do dworu... gdzie go w progu oczekujący nań Żaba przywitał, jak starego znajomego i do sali zaprosił. Tu jednak nie zastał jejmości, która jeszcze trochę osłabiona, w przyległéj komnatce siedziała.

Była to taż sama piękna Jadwiga, lecz wielce zmieniona, więcéj w obejściu i obyczaju, niż z twarzy. Bledsza nieco, i jakby uspokojona, wyglądała starszą i poważniejszą, smutną, ale wdzięku pełną. Strój téż, choć zawsze bardzo wytworny, czarny był i jakby żałobny.

Na widok Rożańskiego, podniosła się nieco rękę mu podając i zarumieniła mocno, lecz wprędce bladość pierwsza zastąpiła rumieniec. Zaczął od kłamstwa Wacek, opowiadając, jakim osobliwym wypadkiem tu się znajdował i dowiedział dopiero od proboszcza o rezydencyi pani pisarzowéj. Nie tknął nic przeszłości, dowiadując się tylko o zdrowie.

Bystre rzuciła nań spojrzenie.

— O wszystkiem waszmość przecież wiedzieć musisz... — odpowiedziała. Stało się ze mną, co

z niewielą ludźmi się dzieje, wróciłam z tamtego świata, ale odmienną i bodaj lepszą...

Westchnęła.

— Wszystkom to Pełce winna, który mnie ukarać chcąc, na com zasłużyła — do opamiętania przywiódł. Biednemu człowiekowi, który mnie kochał prawdziwie, dawno przebaczyłam, co więcéj wdzięczna jestem... Nie słyszałeś waszmość, co się z nim stało?

— I owszem— odparł Rożański — wiem o tém, że jak oszalały na Szląsk pono był uszedł, gdzie że z gorączki, na którą zapadł z żalu i aprehensyi wielkiéj, nie umarł, cudem jest prawie. Mówiono mi, że ledwie ozdrowiawszy, do klasztoru chciał powracać.

Pisarzowa ręce załamała.

— Do klasztoru? a! nie! nie dacie mu tego uczynić! wstrzymajcie go... mnie się to klasztor i pokuta należy, nie jemu, bom stokroć więcéj winna...

Rożański się uśmiechnął.

— E! — rzekł wesoło — po ludzku i po Bożemu, gdy już tak dziwny obrót rzeczy wzięły, iż zamiast nienawiści, affekt się w sercu waszém obudził — a w jego nigdy nie wygasł — nie o klasztorze myśleć a o weselu... dosyć się biedaczysko wyczekał na to szczęście i drogo je oboje państwo przypłaciliście.

Chwyciła pani pisarzowa za rękę Rożańskiego.

— Przyjacielem mu byłeś — zawołała — a jam to waszą drużbę rozerwała, wróćże mu serce. Chcesz dobry uczynek spełnić, przejednaj nas, zbliż i niech się stanie co Bóg przeznaczył...

Zarumieniła się oczy kryjąc...

— Pani pisarzowo — rzekł — świadczę się sumieniem, będę wam służył chętnie, ale mi zawodu nie uczyńcie. Jeśli myśl macie stałą, porzucę wszystko, pójdę go szukać i do Krakowa go wam sprowadzę. Jedźcie tam zaraz, a czekajcie na mnie. Chyba żyw nie będę, jeśli wam Pełki nie przystawię.

— O mój Boże! zawołała pisarzowa, jednéj godziny jechać jestem gotowa, a dla was wdzięczność zachowam przez życie całe. Tylko mi nie odmawiajcie...

Tak rozpoczęta rozmowa pociągnęła się do popołudnia. Stanęło tedy na tém, ażeby wdowa zaraz się w podróż wybrała. Rożański tegoż dnia miał nawrócić i Pełki szukać, bo się z tém wydać nie chciał, że o nim wiedział i że umyślnie z tém przybył. Na probostwo przybywszy i koło znalazłszy gotowe, puścił się w drogę nazad tak szczęśliwy, jak niegdyś, ludzi pędząc i śpiesząc, bo się cieszył niewymownie, iż mu się tak podróż powiodła.

Mało co téż wyprzedził pisarzową, która następnego dnia, wedle przyrzeczenia wyjechała.

Przbywszy do Krakowa, Rożański zaraz do Pełki poszedł, przy którym znalazł Laskowskich, a chorego znacznie już sił nabierającego... Jednak zawsze o klasztorze mówił, Gołczwią i dostatkami swemi, chcąc rozporządzić, oprócz funduszu, który dla klasztoru przeznaczał.

Z dobrym humorem wpadł na to Wacek... a zobaczywszy raptularze téj ostatniéj woli na stole, niedługo myśląc je poszarpał.

Pełka się chciał gniewać, rzucił mu się na szyję.

— Będzie czas! wstąpisz sobie do kamedułów nawet kiedy wola, a no, nie prędzéj aż ja pozwolę... — zawołał Wacek — ja i doktór Ławręcki mamy teraz nad tobą władzę, jak opiekunowie nad małoletnim...

Boleśnie jakoś uśmiechnął mu się Pełka, i nie sprzeczał się więcéj. Zdrowie zwolna powracało, lecz nie ochota do życia, téj w nim rozbudzić nie było podobna. Używano na to środków różnych, słuchał chętnie gwaru około siebie, zdawał się nim rozrywać, lecz się do niego nigdy nie wmieszał.

Łamał sobie głowę Rożański, jakby tu bardzo mądrze ich zbliżyć i niezręcznością sprawy nie popsuć. Wpadał na myśli różne, żadna jakoś nie zdała mu się zupełnie dobrą i pewną.

Pisarzowa czekała oznajmienia, codzień wprawdzie przypominała Rożańskiemu o sobie, lecz z dnia na dzień odkładano, pókiby doktór nie zawyroko-

wał, iż Pełce wielkie wzruszenie, radość i szczęście nie zaszkodzą.

Lato było bardzo gorące, a w murach miejskich skwar się więcéj czuć dawał, niż w odkrytém polu i cienistych lasach... Jednego dnia Ławręcki przybywszy z południa i widząc chorego przechadzającego się po izbie, wziął go za rękę.

— No, rotmistrzu — odezwał się — jużbyś téż świeżego powietrza mógł użyć śmiało, i posłużyłoby ci, gdybyś nim odetchnął. Do konia téż nawykłeś, przejażdżka ci nie zawadzi, jedźcie z panem Wacławem do Bielan...

— Do Bielan? — zapytał Pełka — a no — dobrze, do Bielan — nic nie mam przeciwko temu... lecz po cóż mi jeszcze koń, poszlibyśmy pieszo, z koniem się trzeba pożegnać.

— Co zaś? — zawołał doktór — waćpanu zawsze to kapucyństwo, do którego nie jesteś stworzony, na myśli... Jedź konno doktór każe.

Rożański, który na to tylko czekać się zdawał — dodał.

— Konie nawet Gabryk nagotował...

Gdy przyszło wyjeżdżać, Pełka jak stał w szaréj opończy domowéj, tak się już wybierał ruszać. Rożański się sprzeciwił.

— A! dalipan! przybraćże się trzeba... Gabryk dawaj suknie, jużci się tak Pełce w ulicy pokazać trudno...

Medard jak dziecko był posłuszny.

Wybrano mu suknie, Różański niemal je sam na niego kładł i dobierał, sam mu szablę przypasał, bo i o téj nieodstępnéj towarzyszce był zapomniał... Gdy w dziedziniec wyszli kędy konie stały, a zobaczył swojego, trochę mu w oczach pojaśniało, pogładził go ręką drżącą po karku... widać było, że mu się wspomnienia nawalnie tłoczyły... Na siodło skoczył lekko... zaraz mu się głowa podniosła, rozprostował się, niby inny człowiek... Pojechali zwolna... W ulicy już znowu, jakby się siebie wstydził, głowę spuścił, i koniowi w grzywę tylko patrzał a milczał.

Dzień był prześliczny, wietrzyk chłodził powietrze, miło było całą piersią niém odetchnąć. Gdy się za miastem znaleźli — Pełka sobie przypomniał ową wycieczkę z Janem Kazimierzem i powrot z niéj, i łuny palącego się Krakowa i spotkanie z matką i córką. Dużo czasu upłynęło — wiele się zmieniło rzeczy — westchnął ciężko...

Pod laskiem Bielańskim, stał powóz i konie — kobieca suknia migała daléj na drodze. Snadź na przechadzkę wyjechawszy pani jakaś, pieszo ją tu daléj odprawiała w cieniach pięknego gaju. Na widok ludzi, koni i kobiety, Pełka się zatrzymał.

— Cóż ci to? — spytał Rożański.

— Zawrócimy — rzekł — nie chcę się spotykać z nikim.

— Ale ba! dla wilka nie iść do lasu — roześmiał się Wacek — cóż to z ciebie za tchurz! Co nas tam obchodzi, że się kto przechadza, pominiemy go i pojedziemy daléj. A toćby przyszło z domu nosa nie wytykać, gdyby człowiek twarzy kobiecéj unikał...

Z widocznym przymusem Pełka nierychło, na usilne nalegania przyjaciela, konia trącił i daléj ruszyli.

Powóz stał w cieniu drzew... ludzie przy nim nieznajomi, nieobudzili żadnego podejrzenia w Medardzie.

— Wiesz co Pełka — rzekł Rożański — najlepiéjby i nam tu konie porzucić, niechby je Gabryk potrzymał, a my byśmy pieszo się sobie przeszli.

Na kilkanaście kroków przed nimi, szła zwolna kobieta, od któréj oczu nie mógł oderwać Pełka. Nie widać było jéj twarzy, bo ją kwef zakrywał, ze spuszczoną głową odwrócona do nich bokiem ku lasowi dążyła...

Pełka zatrzymał konia.

— Coby było najlepszego to, żebyśmy wrócili do miasta — rzekł — mój Wacku, proszę cię.

— A ja cię proszę, chodź i odetchnij powietrzem zdrowem... Co nam tam kto zawadza? dzikim się stałeś nad miarę...

Widząc, że Rożański sam zsiadł, Pełka rad nie rad, choć opornie z siodła się zsunął i konia oddał. Wacek go pod rękę wziął i poszli drogą.

Kobieta już była w ocienioną lasem weszła drożynę, suknię jéj tylko migającą między drzewy widać było.

Rożański zagadując o królu Janie Kazimierzu, prowadził przyjaciela coraz przyśpieszając kroku. Droga się zawracała, i idącéj przodem pani widać już nie było. Pełka jakoś lżéj oddychał...

Nagle na zawrocie, gdy się może nie spodziewał z nią spotkać, Medard krzyknął wyrywając się — o trzy kroki przed nim stała blada z założonemi rękami na piersiach, z twarzą odsłonioną pani pisarzowa...

Przez chwilę nie można było wiedzieć co pocznie, tak straszliwie zbladł i zmienił się. Wtém ręce złożone otwarły się i spuściły ku Pełce, jakby wyzywając go ku sobie...

Medard wyrwał się i pobiegł... jak szalony, padł na kolana, a potém twarzą na ziemię, za nogi chwytając Jadwigę i łkając...

Ta schylając się, ręce mu na próżno wyciągała, dopiero Rożański przypadłszy, podniósł go gwałtem, i Pełka miał odwagę spojrzeć jéj w oczy...

— Ani słowa o przeszłości! — zawołała kobieta — ani dziś, ani jutro, i nigdy, ja jéj nie chcę pamiętać, ty ją musisz zapomnieć. Przebacz mi... Żyjmy dniem dzisiejszym, jaki nam Bóg dał...

Otóż, jak się po prostu historya pana Medarda z Gołczwi Pełki skończyła, dzięki Rożańskiemu.

O kapucynach, bernardynach i klasztorze mowy nie było. Nazajutrz poczęto czynić przygotowania do indultu i wesela, które się po cichu i *privatim* odbyć miało w Krakowie.

Posłano o tém dać znać pani Cyrulskiéj, boć zawsze to była matka i zachowanie pewnych względów się jéj należało; lećz stara odpisała list ostry, iż córki i takiego zięcia ani znać, ani o nich wiedzieć nie chce... Musiano się bez niéj obejść, gdy nie było można inaczéj.

Na wesele téż nie proszono nikogo... ślub się odbył w kaplicy u księży dominikanów, na którym tylko Rożański i kilku ciekawych było... We dwa dni potém zebrawszy się na miodowe miesiące, pojechali do Gołczwi, bo tam zawsze Medardowi było najmiléj. Poprzedzili ich Laskowscy, aby wszystko przygotować.

Cyrulska była w Horbowie, lecz znaku życia nie dała; owszem, dowiedziawszy się, iż Pełkowstwo do Gołczwi zjeżdżają, uciekła do męża, z którym była źle, aby córki nie widzieć i gniew jéj swój okazać.

Tu starym obyczajem, Medart nie mógł po cichu przybyć i nie przyjąć sąsiedztwa, więc z Warszawy z dworku, co było do przyozdobienia i użytku zdatnego, sprowadziwszy — na dziesięć mil w około panów ziemian sprosił na przenosiny. I wystąpił po pańsku, iż długo o tém późniéj nietylko w powiecie, ale w województwie całém wspo-

minano. Pięć dni trwała uczta... tany, wiwaty, moździerzowe strzały, illuminacye i zabawy. Mało kto cały uszedł, żeby choć raz pod ławę się nie stoczył, bo Laskowski, który na siebie częstowanie wziął, był jak pijawka niezbyty, a gdy się na kogo uwziął, trzeźwy mu się nie wymknął.

Odżyła pani Pełkowa, wyzdrowiał rotmistrz. Gołczwia inaczéj poczęła wyglądać, pana i pani się doczekawszy. Małżeństwo, które Medard tak długo się wysługując, dobił naostatek, gdy wszelką jego nadzieję stracił, zdaniem wszystkich było bardzo szczęśliwe... Pani rotmistrzowa zawsze lubiła ludzi i towarzystwo, i nie była obojętną na aplauzy i admiracye, jakie obudzała; starczyła jéj jednak miłość męża, który do szaleństwa był w niéj rozkochany. A gdy w rok potém na świat przyszedł dziedzic imienia, któremu imię dano dziadowskie, u kolebki syna dopiero przeistoczyła się Jadwiga do niepoznania. Nie mogła się na chwilę oderwać od niéj, zdawało się jéj, że na świecie piękniejszego i rozumniejszego dziecięcia nie było i nie będzie nad jéj jedynaka... Tym węzłem połączyły się ściśléj jeszcze serca... Na chrzciny znowu próbowano ściągnąć babkę, i oboje rodzice list do niéj pełny submissyi napisali zapraszając w kumy...

Babka tym razem trochę się powściągnęła, odpisała zimno, składając się chorobą i wiekiem, a dziecku posyłając podarek, przybycia odmówiła. Trzymał więc Rożański z panią Laskowską, a w dru-

giéj parze gromada Gołczwi, w osobie wójta i kowalowéj.

Chrzciny znowu cały powiat ściągnęły...

Gospodarząc, polując i synaczka chodując, Pełka nie ruszał się z kąta, ani téż jejmości do świata było tęskno, bo cały świat teraz miała w dziecięciu; tymczasem nadeszła wyprawa wiedeńska, a że na nią ludzi rycerskich, doświadczonych siła było potrzeba, król Jan sam wezwał Pełkę, aby mu do Warszawy przybywał i z nim szedł. Nie było się co wymawiać, ani składać wiekiem i zdrowiem... musiał pan Medard konie skupić, ludzi zebrać, poczet sobie sztywtować i do króla ciągnąć.

Została jejmość sama pod opieką Laskowskich, z dziecięciem, w śmiertelnéj trwodze o męża, do którego się przywiązywała codzień mocniéj.

Z tego oddalenia się pana Medarda dopiero skorzystała Cyrulska, aby do Horbowa przybywszy, na ostatek córkę w Gołczwi odwiedzić. Z mężem jéj było źle, na świecie tęskno, dolegliwości wieku złamały ją i do niepoznania zestarzały; serce jednak zostało jakie było, mściwe i nieprzebaczające nikomu...

Więc nawet na wnuka patrzeć nie mogła, dla tego, że jéj Pełkę przypominał, a gdy o nim mowa była, nie mogąc już mówić źle, milczała.

Przez posły, które woziły listy królewskie do królowéj, pisywał téż z wyprawy, z pod Wiednia i późniéj po bitwie pod Parkanami Pełka... Raz

był strzałą tatarską draśnięty, zresztą cało uszedł, a łup znaczny do domu z sobą przyprowadził. Gdy się go w Gołczwi spodziewano, stara Cyrulska wyjechała od córki, i niczém jéj wstrzymać nie było podobna.

Wiedeńska ekspedycya ostatnią téż była w życiu Pełki, który po niéj oręż zawiesił na ścianie dla syna, już się nie ruszając z domu.

W dzienniku jego odtąd same gospodarskie znajdujemy notaty i urodziny dzieci, któremi im Pan Bóg błogosławił. W nim téż pod rokiem 1685 zapisał rotmistrz:

„Dnia 11 Septembris o jedenastéj przed północą, zmarła w Horbowie Jmość pani matka żony mojéj, nie długo chorując, choć niemoc ją lat kilka trapiła. Dali nam znać późno, tak, że jejmość przybywszy, już zimne zwłoki zastała. Sprawiliśmy pogrzeb wspaniały, na którym mąż Jmpan Cyrulski *sub pretextu* choroby nie był. Zakonników i duchownych sprowadziłem przeszło dwudziestu, a ks. Jacek z Lublina miał egzortę wymowną, po czém na żałobny chleb sproszonych osób do dwustu częstowałem. Któréj Jmpani matce jéj złéj woli dla mnie i com od niéj swego czasu ucierpiał, Panie Boże nie pamiętaj, i daj wieczne odpocznienie! Amen.

KONIEC.